

Quick Matthew

Niezbędnik obserwatorów gwiazd

WSTĘP

Czasami udaję, że moim najwcześniejszym wspomnieniem z dzieciństwa jest rzucanie do kosza z tatą na tyłach naszego domu.

Jestem mały, więc tata daje mi mniejszą piłkę i obniża regulowaną obręcz. Każe mi rzucać, aż trafię sto razy z rzędu, co wydaje mi się niemożliwe. Potem idzie do domu zająć się moim dziadkiem, który niedawno wrócił ze szpitala bez nóg, trzymając w ręku różaniec mojej babci. W naszym domu od dłuższego czasu jest cicho i mam wrażenie, że moja mama już nie wróci, ale nie chcę myśleć o tym, co się stało, więc robię, jak mi kazał tata.

Najpierw nie jestem nawet w stanie dosięgnąć piłką kosza, choć ojciec go obniżył. Rzucam całymi godzinami, aż od nieustannego patrzenia w górę sztywnieje mi szyja i jestem cały mokry od potu. Wtedy zachodzi słońce. Tata włącza reflektor, więc rzucam dalej. To lepsze, niż siedzieć w domu i słuchać, jak dziadek płacze i jęczy, a poza tym tata mi kazał.

W moim wspomnieniu rzucam do kosza przez całą noc i nie przestaję przez kolejne dni, tygodnie, miesiące. Nie robię przerw nawet na jedzenie, sen albo pójście do toalety. Po prostu rzucam do kosza i odpływam myślami, udając, że nigdy już nie będę musiał wejść z powrotem do domu – że nigdy nie będę musiał pamiętać o tym, co się zdarzyło, zanim zacząłem rzucać.

Można się zatracić w powtarzaniu – wyciszyć myśli. Przekonałem się, jakie to cenne, w bardzo młodym wieku.

Pamiętam liście, które spadły z drzew i kłębiły mi się pod stopami, płatki śniegu, które parzyły mi skórę, żółte kwiaty na długich łądych, które kwitły przy płocie, a potem zostały spieczone lipcowym słońcem. Przez cały ten czas nie przestawałem rzucać.

Pewnie robiłem i inne rzeczy, na pewno chodziłem do szkoły – ale rzucanie do kosza na tyłach domu to jedyna rzecz, którą pamiętam z

dzieciństwa.

Po kilku latach tata zaczął więcej się odzywać i rzucać razem ze mną, co było miłe.

Czasami dziadek zatrzymywał wózek na końcu podjazdu i powoli pił piwo, przyglądając się moim idealnym rzutom.

Obręcz była podnoszona za każdym razem, gdy trochę podrosłem.

Wtedy pewnego dnia na tyłach mojego domu pojawiła się dziewczyna. Miała blond włosy i uśmiech, który zdawał się nigdy nie znikać.

– Mieszkam trochę dalej na tej ulicy – powiedziała. – Jesteśmy w jednej klasie.

Nadal rzucałem, licząc, że sobie pójdzie. Miała na imię Erin i wydawała się bardzo miła, ale nie chciałem się z nikim zaprzyjaźniać. Chciałem tylko przez resztę życia sam rzucać do kosza.

– Ignorujesz mnie? – zapytała.

Próbowałem udawać, że jej tam nie ma, bo w tamtym czasie udawałem, że nie ma całego świata.

– Dziwny jesteś – powiedziała. – Ale mi to nie przeszkadza.

Piłka brzdęknęła o obręcz i odskoczyła prosto w jej twarz, jednak dziewczyna miała dobry refleks i złapała piłkę ułamek sekundy, zanim ta walnęła ją w nos.

– Mogę spróbować? – zapytała.

Kiedy nie odpowiedziałem, po prostu rzuciła piłkę i trafiła prosto do kosza.

– Trochę gram z moim starszym bratem – wyjaśniła.

Gdy rzucaliśmy z tatą, ten, kto trafił do kosza, dostawał piłkę z powrotem, więc oddałem ją dziewczynie, która trafiła raz, drugi, trzeci.

W moim wspomnieniu trafia setki razy, zanim udaje mi się odzyskać piłkę, ale mimo to nie opuszcza naszego podwórka. Razem rzucamy przez kolejne lata.

PRZED SEZONEM

*Pytanie, które bardzo mnie nurtuje:
Czy inni oszaleli, czy to ja wariuję?*

Albert Einstein

Tydzień przed rozpoczęciem ostatniej klasy liceum Erin ma na sobie treningową koszulkę do gry w kosza. Przez otwory rękawów widzę jej czarny sportowy stanik, co jest całkiem seksowne, przynajmniej dla mnie.

Próbuję się nie gapić – zwłaszcza że jemy śniadanie z moją rodziną – ale kiedy tylko Erin się nachyla i podnosi widelec do ust, odsłania otwór rękawa pod pachą i doskonale widzę kształt jej małych piersi.

Przestań się gapić! mówię do siebie, ale to niemożliwe.

Nie słyszę ani jednego słowa z rozmowy nad jajecznicą z kiełbasą.

Nikt nie zauważa, że się gapię.

Erin ma w sobie tyle charyzmy i jest taka piękna, że tata i dziadek nigdy nie zwracają na mnie uwagi, gdy w pobliżu jest moja dziewczyna.

Tak jak ja zawsze patrzę na Erin.

Kiedy zbieramy się do wyjścia, mój beznogi dziadek krzyczy ze swojego wózka:

– Daj powód do dumy kilku Irlandczykom, którzy jeszcze zostali w tym mieście!

– Po prostu daj z siebie, ile możesz – motywuje mnie ojciec. – Pamiętaj, to dopiero początek, więc pod koniec zawsze masz szansę wygrać z talentem dzięki ciężkiej pracy...

To osobiste motto taty, który sam pracuje w budce na nocne zmiany – pobiera opłaty za przejazd przez most, gdzie niepotrzebny mu ani talent, ani silna motywacja.

Głównie z powodu dziadka życie taty jest dość ponure. W jego oczach zawsze pojawia się jednak błysk nadziei, gdy mówi mi o przewyższaniu talentu pracowitością, więc dla niego – i dla siebie też – postaram się właśnie to zrobić.

Noce, kiedy tata przygląda się, jak gram w koszykówkę, to moim zdaniem najlepsze noce jego życia. Głównie dlatego tak kocham kosza: mam szansę uszczęśliwić tatę swoją grą.

Kiedy rozegram dobry mecz, tata ze łzami w oczach mówi mi, że jest ze mnie dumny, przez co ja też się wzruszam.

Kiedy dziadek nas wtedy widzi, stwierdza, że jesteśmy cioty.

– Gotowy? – pyta mnie Erin.

Gdy patrzę na jej twarz i spoglądam w te piękne, zielone jak koniczyna oczy, nieuchronnie myślę o tym, jak pocałuję ją wieczorem, i wszystko zaczyna mi twardnieć, więc szybko przeganiam ten obraz.

Nie czas na amory – trzeba wziąć się w garść, bo sezon koszykówki zaczyna się już za dwa miesiące.

Jest coś, o czym może powinniście wiedzieć: mówią na mnie Biały Królik.

Za każdym razem, kiedy w szkolnej stołówce podają marchewkę, Terrell Patterson zakrada się do mnie i wrzeszczy: „Nakarmić Białego Królika!”, w ramach żartu wywalając marchewkę na mój talerz, po czym wszyscy idą w jego ślady, aż na moim talerzu wyrasta pomarańczowa góra.

Zaczęło się to zeszłej wiosny.

Gdy wydarzyło się to po raz pierwszy, strasznie się wściekłem, bo uczniowie przechodzili koło mnie i zwalali mi na tacę resztki swojego jedzenia, co nie było szczególnie higieniczne, zwłaszcza że nie skończyłem jeszcze jeść.

Erin, która poza sezonem siedzi ze mną w stołówce, po prostu zaczęła z entuzjazmem jeść marchewkę z mojego talerza i dziękować za nią, co zbiło wszystkich z tropu.

– Pycha! Dajcie jeszcze trochę! Proszę! – powtarzała z miną świadcząca o opętaniu, aż w końcu ludzie zaczęli śmiać się z niej, a nie z tego, co przydarzyło się mnie.

Właściwie to lubię potrawkę z marchewki, więc też trochę zjadłem, bo widziałem, że plan Erin działa, a mnie nie obchodzi, że ludzie się śmieją, kiedy jem to pomarańczowe warzywo. Będę miał lepszy wzrok, pomyślałem i przestałem się przejmować.

Jedyny problem polega na tym, że zwalanie mi marchewki stało się cotygodniowym rytuałem i już mnie to nie bawi. Mam nadzieję, że wszyscy zapomnieli o tym przez wakacje, choć wątpię, że tak się stało.

Należę do nielicznej, kilkudziesięciosobowej grupy białych dzieciaków w naszej szkole. Jestem cichy jak królik. Postać grana przez Eminema w filmie *8 Mila* nosi ksywkę B-Rabbit, Króliczek. Eminem jest najśłynniejszym białym raperem na świecie – a ja jestem trochę do niego podobny.

Jednak moje przezwisko wzięło się głównie z bardzo smutnej książki Johna Updike’a, którą musieliśmy przeczytać na angielski. Opowiada ona o białej gwiazdzie koszykówki sprzed lat, zawodniku o

imieniu Królik, który dorasta i prowadzi nędzne życie. Nie jestem gwiazdą, ale jestem jedynym białym w koszykarskiej reprezentacji szkoły.

Wes, który gra jako środkowy, jedyny zawodnik, który chodzi na rozszerzony angielski, powiedział o książce Updike'a naszym kumplom z drużyny – a właściwie tylko o tym, że opowiada o białym zawodniku z kompromitującym imieniem. Wszyscy koledzy z drużyny nazywają mnie Białym Królikiem.

Ksywka się przyjęła i teraz przeżywa mnie tak cała okolica.

Erin i ja bierzemy piłki z garażu i na moim podwórku rzucamy po sto wolnych. To nasz ostatni sezon koszykarski w liceum – ostatnia szansa – więc ciężko trenujemy.

Symulując akcje meczowe, oddajemy po dwa rzuty do kosza i walczymy o zbiórki. Erin kończy z wynikiem osiemdziesiąt osiem na sto, a ja dziewięćdziesiąt.

Potem biegniemy osiem kilometrów, cały czas kozłując.

Przez półtora kilometra na O’Shea Street dryblujemy prawą ręką, mijając szereg domów tak połamanych i szarych jak zęby dziadka. Tą drogą docieramy na teren szkoły, gdzie biegniemy resztę dystansu po starej, zniszczonej bieżni, na której miejscami rosną chwasty. Każde okrążenie kozłujemy inaczej. Lewą ręką, na przemian, za plecami. Stosujemy każdy znany sposób dryblowania.

Pozostali koszykarze i koszykarki naszej szkoły grają też w drużynach futbolu amerykańskiego albo występują w zespole cheerleaderek i zwykle trenują na boisku obok torów, ale nie tak wcześnie rano. Erin wolałaby umrzeć, niż założyć strój cheerleaderki, a ja nie jestem na tyle utalentowany, żeby uprawiać z powodzeniem kilka dyscyplin. Zresztą chcę się w pełni poświęcić koszykówce.

Po biegu jesteśmy cali mokrzy. Do twarzy Erin lepią się kosmyki jej blond włosów, a jej urocze małe uszka są całe czerwone. Bardzo lubię, kiedy ściąga swoją treningową koszulkę i zostaje tylko w sportowym staniku. Jej pępek to piękna tajemnica.

Robimy sobie krótką przerwę i czekamy, aż otworzą szkołę, bo woźny znów się spóźnił. Moje mięśnie są rozgrzane, a ciało rozluźnione.

Nie rozmawiamy zbyt wiele.

Erin jest jedną z niewielu osób, jakie znam, którym nie przeszkadza milczenie, a ponieważ nie lubię mówić, pod tym względem świetnie do siebie pasujemy. Nie jąkam się ani nic z tych rzeczy. Nie mówię wiele z wyboru.

Przez kilka chwil siedzimy na trawie w milczeniu.

– Myślisz, że dziewczyny znów wygrają w tym roku rozgrywki stanowe? – pyta mnie Erin, bo potrzebuje potwierdzenia.

Tak naprawdę pyta mnie, czy jest wystarczająco dobra, żeby poprowadzić drużynę po kolejne stanowe zwycięstwo, po tym jak inna błyskotliwa zawodniczka, Keisha Powell, skończyła szkołę w zeszłym roku i teraz gra w Tennessee Lady Vols. Żadna z pozostałych dziewczyn nie jest nawet w połowie tak dobra jak Erin.

Jej czoło marszczy się z troski, więc kiwam głową i uśmiecham się entuzjastycznie.

Erin jest – nie przesadzając – chyba najlepszą zawodniczką w całym stanie.

Gdy moi kumple z zespołu robią się trochę ordynarni – a zdarza się to cały czas – mówią, że gdyby Erin miała penisa (używają tu innego słowa), to ja grzałbym ławę, co nie jest miłe. Ale kiedy czasem widzę, jak moja dziewczyna dominuje na boisku, sam się zastanawiam, czy byłaby w stanie wygryźć mnie z drużyny, a to o czymś świadczy.

W college’u pewnie nie będę grał w kosza w żadnej drużynie, nawet trzecioliigowej. W naszym zespole jestem zawodnikiem zadaniowym, nie gwiazdą. Nie przeszkadza mi to. Erin ma za to realną szansę dostać się na studiach do dobrej drużyny i zdobyć stypendium. To kolejny powód, dla którego uwielbiam trenować i tak dużo grać poza sezonem – mogę w ten sposób pomóc Erin.

Po prostu chcemy się stąd wyrwać – razem – i koszykarska kariera Erin może się okazać naszą szansą. Cały czas rozmawiamy o tym, jak wyjedziemy z Belmont, zostawiając za sobą historie naszych rodzin, i będziemy wolni. Znamy wiele osób, które zostając tu, popełniły błąd, jak brat Erin Rod i mój dziadek.

Siedząc na trawie i patrząc na piękny brzuch Erin, zaczynam myśleć o całowaniu się z nią, wodzeniu palcami po jej mięśniach. Wtedy muszę wyobrazić sobie nogi dziadka, które kończą się pod udem, bo to odciąga mnie od myślenia o seksie. Kiedy woźny otwiera drzwi do sali gimnastycznej i wpuszcza nas do środka, moja głowa jest już czysta.

W środku wykonujemy różne ćwiczenia na szybkość i celność, a potem znów trenujemy rzuty.

Potem wychodzimy na stadion i biegamy po schodach trybun – to dwadzieścia minut powodującego dudnienie w piersi, spinającego mięśnie i palącego w płucach wysiłku.

Z powrotem na sali ćwiczymy kolejne rzuty, aż do środka wpada drużyna futbolowa na przerwę na siku i picie.

Terrell Patterson – mistrz marchewkowej ceremonii, rozgrywający z pierwszego składu i nasz najlepszy rozgrywający obrońca – krzyczy, stojąc wśród kolegów z drużyny:

– Ej, Biały Króliku, czemu trenujesz rzuty, cieniasie? W meczu nigdy nie będziesz rzucał. Dobrze o tym wiesz! Twoim zadaniem jest przekazać mi piłkę. Kropka.

Pomiędzy rzutami pokazuję na Terrella i uśmiecham się.

Jestem rozgrywającym, więc mam za zadanie dostarczyć mu piłkę, która zdobędzie punkt. W zeszłym roku średnia punktów Terrella wynosiła dwadzieścia trzy, a ja zaliczyłem wiele asyst, przekazując mu piłkę. Prawdopodobnie nie nazwałby mnie swoim przyjacielem, ale jest moim kolegą z drużyny, dlatego traktuję go jak brata.

Jestem rozgrywającym od dwóch lat.

Terrell uśmiecha się, dwa razy uderza pięścią w serce i pokazuje mi szybko znak pokoju.

– Siema, laleczko Białego Królika! – krzyczy do Erin, na co drużyna wybucha śmiechem.

Erin rzuca Terrellowi wredne spojrzenie i mówi:

– Nie jestem niczyją laleczką, Terrell!

– O-o! Laseczka się wkurzyła! W mordę! – odpowiada Terrell, na co wszyscy znów się śmieją. Potem idą za trenerem do szatni.

Po wyjściu Terrella Erin podaje mocniej i gwałtowniej, po czym poznaję, że się zdenerwowała.

Kiedy kończymy jedną serię rzutów, wychodzi z sali zdecydowanym krokiem, mimo że nadal mamy przed sobą parę serii.

Idę za nią do cienia pod trybunami i rzucam jej spojrzenie, które zawsze oznacza: „Co się stało?”.

– Nie lubię, gdy ktoś nazywa mnie laleczką – mówi.

Ma twarz czerwoną jak burak, a czoło przecinają jej zmarszczki wściekłości.

Wygląda, jakby za chwilę miała zacząć walić pięścią w ścianę.

– Naprawdę nie masz pojęcia, dlaczego się wkurzam? – pyta.

Otwieram usta, ale jak zwykle nie wydobywa się z nich ani jedno

słowo.

Nie wiem, co powiedzieć.

– Czasem powinienes odzywać się częściej, Finley.

To prawda. Erin nie mówi, że mam się zmienić, tylko stanąć w jej obronie, kiedy trzeba.

Przepraszam ją oczami, dużo mrugając.

Erin wzdycha. Potem uśmiecha się i zmarszczki z jej czoła znikają. Czasem zadziwia mnie, z jaką łatwością mnie akceptuje.

– Chodź – mówi. – Musimy skończyć nasz trening.

Kończymy więc ćwiczenia na boisku, po czym bierzemy się do ciężarów, zanim drużyna futbolowa zajmie nam siłownię i zacznie stękać, obserwując, kto wyciśnie najwięcej kilogramów.

Na boisku wszyscy faulują, oddają rzuty zbyt często i nie pozwalają grze dobrze się rozkręcić. Erin i ja zawsze gramy w tej samej drużynie, żebyśmy mogli doskonalić to, nad czym muszą pracować prawdziwi zawodnicy, czyli pomoc w obronie i zagrywki ofensywne.

Większość grających to dorośli, którzy codziennie, zamiast iść do pracy, grają w kosza, ale Erin i ja zwykle wszystkich ogrywamy. Faceci tego nie znoszą, głównie dlatego że ja jestem małomównym dziwakiem, a Erin dziewczyną.

Jakieś siedem przecznic od naszych domów przy boiskach miejskich kręcą się handlarze narkotyków i starsi mężczyźni, którzy piją z butelek w papierowych torbach. Na betonie wokół boiska leżą rozrzucone fiolki po cracku i zużyte strzykawki. Nie jest to najbezpieczniejsze miejsce na ziemi, ale jesteśmy pod ochroną Roda, starszego brata Erin.

Rod jest przed trzydziestką, gra na perkusji w celtyckiej grupie punkrockowej w stylu The Pogues i jeśli plotki są prawdziwe, sam też trochę sprzedaje, tylko nie na ulicach. W każdym razie liczy się to, że ma reputację najbardziej nieprzewidywalnego i brutalnego Irlandczyka, który kiedykolwiek mieszkał w Belmont. Ludzie z sąsiedztwa się go boją, całkiem słusznie.

Gdy byliśmy w pierwszej klasie liceum, pewien starszy chłopak, Don Little, przyczepił się do Erin. Chodził za nią po szkole i rzucał pod jej adresem nieprzyzwoite teksty. Nie mam nawet zamiaru ich powtarzać, tak były przerażająco prymitywne. Kiedy tylko słyszałem, jak Don Little mówi do Erin coś obleśnego, spinałem mięśnie, a ręce same zaciskały mi się w pięści, ale oczywiście nie umiałem wykrztusić z siebie słowa.

Don Little skończył dziewiętnaście lat, był w ostatniej klasie i miał za sobą odsiadkę w poprawczaku za handel kokainą, a Erin była ledwie czternastoletnią dziewczynką.

Pewnego dnia szliśmy wraz z Erin do domu i Don Little poszedł za nami. Kiedy byliśmy już wystarczająco daleko od szkoły, złapał Erin za tyłek i powiedział coś naprawdę sprośnego.

Jakby mnie tam w ogóle nie było albo przynajmniej jakbym nie miał znaczenia. Byłem tak wściekły, że chciałem coś powiedzieć, ale jedyne, co wyszło z moich ust, to:

– Hejjjaaa!

Don Little zaczął się śmiać.

– Czemu nie rzucisz tego głąba i nie weźmiesz sobie prawdziwego faceta?

Wtedy się na niego rzuciłem. Zanim jednak zdążyłem mu przyłożyć, zadał mi cios w szczękę.

BUUUUUM!

PLASK!

GWIAZDY!

Pamiętam, że nogi pofrunęły mi w powietrze, a nad głową zobaczyłem chmury i wtedy zgasło światło.

Kiedy wróciła mi przytomność, Erin gładziła mnie po policzku, mówiąc:

– Obudź się! No, Finley, obudź się!

Z nosa ciekła jej krew. O mój kark rozbijały się ciepłe, gęste krople.

– Co się stało? – zapytałem.

– Skopałam tyłek Donowi Little’owi.

– Co?

– Przywalałam mu pięścią w twarz po tym, jak cię uderzył. Strasznie się wkurzyłam!

– Twój nos...

– Trafił mnie, zanim uciekł.

– Nic ci nie jest?

– A tobie?

– Chyba nic.

– To mnie też.

Pomogła mi wstać i odprowadziła mnie do domu. Poprosiłem ją, by nie mówiła nikomu o tym, że obroniła mnie przed Donem Little’em, na co ona zaczęła się śmiać.

– Nie jesteś dumny z tego, że twoja dziewczyna potrafi komuś nieźle dowalić? – zapytała.

W odpowiedzi zwymiotowałem na chodnik i od razu przestało mi się kręcić w głowie.

Później tego samego wieczoru odwiedził mnie Rod, brat Erin.

Nie widziałem go od dłuższego czasu, bo nie mieszkał już z państwem Quinn.

Trenował podnoszenie ciężarów i wyglądał jak zawodowy kulturysta. Ubrany był w czarną koszulkę w trupie czaszki i czarne dżinsy podwinięte tak, by odsłaniały białe sznurówki jego czarnych martensów. Miał ogoloną głowę, a na rękach mnóstwo celtyckich tatuaży.

– Dobry wieczór, panie McManus. Czy mogę porozmawiać z pana synem na osobności? – zapytał Rod.

– Dlaczego na osobności? – odpowiedział tata. – Jesteśmy rodziną.

– Chyba pan wie dlaczego – odparł Rod.

Tata i Rod patrzyli się na siebie przez kilka sekund, aż w końcu Rod powiedział:

– Dobrze się wyrażam o panu i pana rodzinie, ale ludzie nie zapominają.

Tata pobałdł jak ściana i na widok jego siwych skroni, które nagle stają się błyszczące od potu, zrobiło mi się niedobrze.

– Nie chcemy kłopotów – powiedział tata.

– Wobec tego proszę nas zostawić na parę minut. Pana syn to dobry dzieciak. Wszyscy to wiemy. Chcemy tylko pomóc.

Zaskoczyło mnie, że ojciec wyszedł i zamknął za sobą drzwi.

Rod zapytał mnie o to, co zaszło, więc opowiedziałem mu wszystko, co zdołałem zapamiętać.

Złapał mnie za tył głowy i ostrożnie przybliżył moje czoło do swojego, tak że nasze brwi się stykały. Jego rzęsy muskały moje za każdym razem, gdy mrugał. Jego oddech pachniał alkoholem, był ostry jak brzytwa.

– Jutro już nikt w tej dzielnicy więcej nie tknie cię palcem. Gwarantuję ci to.

Następnego ranka znaleziono Dona Little'a nieprzytomnego niedaleko boiska do kosza. Całe jego ciało było spuchnięte i posiniaczone.

Ktoś ściał jego warkoczyki i ogolił mu głowę.

Słyszałem, że wokół szyi miał napis BIJĘ DZIEWCZYNY.

Gliny badały sprawę, ale ani Don Little, ani nikt inny nie pisał nawet słowem o tym, czego wszyscy się domyślali.

Większość tutejszych nie donosi na policję.

Niedługo potem Don Little rzucił szkołę i wyjechał z miasta, i od tego czasu nikt nie spróbował zaczepiać ani Erin, ani mnie.

Dlatego możemy grać w streetballa na miejskim boisku, nie martwiąc się, że będą nas niepokoić typki, które się tam kręcą. Wiemy, że gdyby nie Rod, traktowano by nas inaczej, i na tę myśl trochę mi smutno.

Przed swoim domem – szeregowcem z czerwonej cegły – pod wyblakłą i potarganą żółtą markizą Erin mówi, że przyjdzie do mnie, jak tylko weźmie prysznic, po czym całuje mnie w usta i znika za siatkowymi drzwiami.

Truchtem biegnę jedną przecznicę wzdłuż O’Shea Street.

Okolica jest szara, obskurna i zaśmiecona, ale wszystkie szeregowce są zamieszkane, a w związku z tym nieprzeznaczone do rozbiórki. Dzięki temu nasza okolica jest w miarę normalna w porównaniu z innymi w sąsiedztwie.

Kiedy przechodzę na drugą stronę ulicy, zauważam przed domem starego pick-upa trenera Wilkinsa.

Trener przyjechał się ze mną zobaczyć i pewnie siedzi teraz w moim domu sam z dziadkiem, który czasem upija się w ciągu dnia i zaczyna wyciągać trupy z szafy – bez skrępowania opowiada o rzeczach, o których nie chcę, by ktokolwiek wiedział, szczególnie trener.

Biegnę do domu, wołając:

– Trenerze?

– Jestem tutaj, Finley. Nie ma co się tak wydzierać. – Trener ma na sobie letni garnitur bez krawata oraz eleganckie buty. Dlaczego jest taki wystrojony?

Siedzi na sofie w salonie. Dziadek zaparkował wózek przy trenerze i, chwala Bogu, wygląda na względnie trzeźwego.

– Trener Wilkins chce cię zabrać na obiad – mówi dziadek. Jest ubrany w biały podkoszulek na ramiączkach, a nogawki beżowych spodni ma zapięte agrafkami na wysokości kikutów. Siwe włosy, które sięgają mu do ramion, zgarnął za uszy. Nie nosi ich dla szpanu. Fryzura nie obchodzi go na tyle, by wybrać się do fryzjera. Zielony różaniec babci układa mu się na szyi w literę V, a krzyżyk sięga jego sterczącego pępka.

– Właściwie to do domu mojego przyjaciela – wyjaśnia trener, a po chwili, zobaczywszy, jaki jestem spocony, dodaje: – Chyba ostro dzisiaj trenowałeś.

– Z Erin Quinn – mówi dziadek. – To jego sympatia.

– To świetna zawodniczka i wspaniała młoda kobieta – zauważa trener. – A więc, Finley?

Podoba mi się, że trener nie nazywa mnie Białym Królikiem, zwłaszcza że moi kumple z drużyny zawsze starają się skłonić go, by zaczął.

– Chcesz dziś ze mną zjeść? – pyta.

Kiwam głową.

Robię wszystko, o co prosi mnie trener. W końcu to mój trener.

– Może weź najpierw prysznic. Porozmawiamy po drodze. I ubierz się porządnie – sugeruje.

– Będę potrzebował twojej pomocy, zanim pójdziesz – mówi dziadek.

Pcham wózek dziadka do łazienki, gdzie szybko pomagam mu zmienić pampersa.

Kiedy wracamy do salonu, tata już nie śpi. (Pracuje w nocy i odsypia w dzień). On i trener rozmawiają o koszu i uśmiechają się, więc zostawiam z nimi dziadka.

– Zepnij tyłek! – krzyczy za mną dziadek, gdy wbiegam po schodach.

Pod prysznicem zastanawiam się, dokąd zabiera mnie trener.

Nigdy nie zaprosił mnie na obiad i wcześniej był u mnie w domu tylko dwa razy. Po raz pierwszy, kiedy Don Little został pobity, a po raz drugi, kiedy w drugiej klasie uszkodziłem sobie kostkę.

Nie mam pojęcia, dokąd pojedziemy, ale nie mogę się doczekać, żeby się przekonać.

Zakładam czarne spodnie i błękitną koszulkę z kołnierzykiem zapinaną na trzy guziki, po czym razem z trenerem wychodzimy. Przy drzwiach ojciec mówi mi, żebym się zachowywał. Wygląda na zmęczonego, ale ma pełną nadziei minę zarezerwowaną tylko dla gości.

Erin ubrana w kolorową letnią sukienkę i z mokrymi włosami pojawia się pod domem. Witają się z trenerem.

– Nie będziesz miała nic przeciwko, jeśli na parę godzin pożyczę sobie Finleya?

– Nic a nic – odpowiada Erin, jednak kiedy spotyka moje spojrzenie, widzę, że trochę jej przykro i nie wie, o co chodzi. Wzruszam ramionami, żeby dać jej znać, że ja też nic z tego nie rozumiem. Chcę spędzić ten wieczór z Erin, ale w końcu robimy to codziennie. Poza tym Erin rozumie, że gdy trener składa ci domową wizytę, to dzieje się coś ważnego.

– A kiedy trener zwróci mi Finleya? – pyta Erin.

– Myślę, że koło dziewiątej.

– W takim razie do zobaczenia – mówi do mnie Erin, po czym idzie do domu.

– Szczęściarz z ciebie, że masz taką przyjaciółkę jak Erin – zauważa trener, gdy wsiadam do jego auta i zapinam pas. – Ludzie potrzebują przyjaciół. Prawdziwych przyjaciół, jak Erin i ty.

Silnik zaczyna warkotać i podmuch klimatyzowanego powietrza uderza mnie w twarz.

Robi się chłodno, ale trener nie rusza.

Jego twarz jest zachmurzona i zdradza zdecydowanie jak zawsze, lecz on wciąż przełyka ślinę. Jabłko Adama chodzi mu w górę i w dół, stąd wiem, że coś jest nie tak.

– Pamiętasz, jak nieustannie wam powtarzam, że koszykówka może was dużo nauczyć i że te lekcje są ważniejsze niż zwycięstwa i przegrane, indywidualne statystyki, ważniejsze nawet niż sama gra, bo na parkiecie uczycie się życia i to najcenniejsza rzecz, jaką wyniesiecie z tego doświadczenia?

– Tak.

Trener zawsze to powtarza.

– Cóż, wydaje mi się, Finley, że w tym roku nauczysz się bardzo wiele.

Mówi to w taki sposób, że przechodzi mnie dreszcz. Jakby wygłaszał jakąś przepowiednię czy coś, a ten wspólny obiad jest jeszcze ważniejszy, niż mi się zdawało.

Patrzę na twarz trenera i próbuję wyczytać coś z jego spojrzenia. Widzę rozpacz, frustrację, wyczerpanie – czyli to, co dostrzegam w oczach wszystkich mężczyzn, którzy mieszkają w tej okolicy zbyt długo.

– Jest pewien problem, Finley. Ponieważ mam do ciebie zaufanie, dużo ci dziś opowiem, ale musisz to wszystko zachować w sekrecie. Nie wolno ci nikomu tego przekazać. Ani tacie, ani dziadkowi, ani Erin. Żadnym kolegom z drużyny, a już w szczególności nikomu w szkole. Czy mogę ci zaufać, że zachowasz te informacje wyłącznie dla siebie?

Boję się nawet przypuszczać, co powie mi trener.

Serce bije mi naprawdę mocno i dociera do mnie, że teraz ja też przełykam ślinę.

Kiwam głową na znak, że nie wydam jego tajemnicy.

– W takim razie w porządku. Czy coś ci mówi nazwisko Russell Allen?

Kręcę głową.

– Oto ten sekret: Russell Allen grał w kosza w Los Angeles przez pierwsze trzy lata szkoły średniej. Zyskał krajowy rozgłos jako junior. Jest jednym z najcenniejszych rekrutowanych zawodników w kraju. W wieku siedemnastu lat ma ciało profesjonalnego gracza. Widziałem nagrania z jego meczów i jestem przekonany, że mógłby teraz grać dla drużyny w NBA. To niespełna dwumetrowy rozgrywający, który umie wszystko. Jest sprytny. Świetny w ataku, zbiórkach, nieprzewidzianych akcjach. Najlepszy obrońca wśród licealistów, jakiego widziałem. I jakby tego było mało, zdobył prawie sto procent punktów na egzaminach SAT*, dzięki czemu był w stanie utrzymać średnią cztery zero przez wszystkie trzy lata nauki, w których grał w sezonie. Grał na najlepszych obozach sportowych. Był towarzyski i wyluzowany przez całą szkołę średnią. Świetna etyka pracy. Tego dzieciaka chce każda uczelnia w kraju.

Jest dla mnie jasne, że trener jest zachwycony tym zawodnikiem, ale nie pojmuję, dlaczego o nim rozmawiamy, skoro Russell gra po drugiej stronie kraju – a już tym bardziej dlaczego mam utrzymać to w sekrecie.

– Wiesz, że Allenowie mieszkają na Porter Street przy tej lokalnej spelunie Drobne Pijaczki?

– Nie. – Nigdy nie zapuszczam się w tamtą część miasta. Nie ma tam żadnych Irlandczyków.

– To dziadkowie Russella Allena i moi dobrzy przyjaciele. Często grałem w kosza z jego ojcem, Russellem seniorem. Został potem dość sławnym saksofonistą jazzowym. Przeprowadził się do Los Angeles i zajął się pisaniem ścieżek muzycznych do filmów. Zarobił wystarczająco dużo, żeby wysłać Russella do niezłej prywatnej szkoły, gdzie radził sobie świetnie, aż do...

Trener zbyt mocno zaciska dłonie na kierownicy i kilkakrotnie oblizuje usta.

Nigdy wcześniej nie widziałem go takiego zestresowanego.

– Mój przyjaciel Russell i jego żona zostali zamordowani w lutym.

Słowo „zamordowani” grzęźnie mi w uszach i nagle mam wrażenie, jakby ktoś wpychał mi palec do gardła. Zaczynam się trochę krztusić, ale trener mówi dalej. Przyswojenie reszty jego słów zajmuje mi kilka minut.

– Szczegóły nie są teraz ważne, lecz to zdarzenie miało traumatyczny wpływ na Russella juniora. Spędził trochę czasu w ośrodku dla młodzieży z zespołem stresu pourazowego. Allenowie w naszym mieście to jego najbliższa rodzina i mimo że nie czują się całkiem na siłach, by zająć się przechodzącym przez trudny czas nastoletnim chłopcem, na prośbę wnuka zgodzili się zaopiekować nim do przyszłego roku, gdy pójdzie na studia.

Nagle uświadamiam sobie, że Russell będzie mógł dołączyć do naszej drużyny. I mimo że trener mówi o następstwach morderstwa, ze wstydem przyznaję, że zaczynam się martwić o swoją pozycję na boisku. Jakby ktoś powiedział mi, że mam raka i być może część mnie będzie musiała zostać usunięta – część, która nazywa się „rozgrywający w pierwszym składzie”.

– Czyli on będzie z nami grać, trenerze? – pytam.

– Cóż, mam nadzieję, że kiedyś tak, ale teraz przede wszystkim chodzi o jego zdrowie psychiczne. Od miesiący nawet nie dotknął piłki. Widzisz, po tym, co się stało, Russell nie czuje się najlepiej. Wszyscy uważamy, że taki zdolny chłopak powinien korzystać ze swojego talentu. Skoro tyle uczelni jest gotowych dać mu wszystko, czego zapagnie, byłoby szkoda, żeby spędził cały sezon poza boiskiem. Musimy przyjąć metodę małych kroków. Zapiszemy go do szkoły pod panińskim nazwiskiem jego matki. Allenowie nie chcą, żeby uniwersyteccy rekruterzy zawracali mu głowę, zanim Russell zdoła się uporać ze swoimi problemami. Środowisko koszykarskie nie wie, że on się tu przeniósł. A Russell nie jest teraz zainteresowany koszykówką. Zrozumiano?

Nie mam pojęcia, dlaczego siedzę w tym samochodzie.

Nie rozumiem.

– Powiedziałem im, że w naszym liceum nie jest łatwo i dla Russella byłoby lepiej, gdyby trafił do prywatnej szkoły, zwłaszcza że odziedziczył dużo pieniędzy. Allenowie jednak chcą, żeby chłopiec grał w tym roku pod moim okiem. Najprawdopodobniej z tego powodu, że mnie znają, a po tym wszystkim, co się stało, nie chcą powierzać Russella obcym. Dlatego jako Russ Washington chłopak przeniesie się do naszej szkoły, która w niczym nie przypomina prywatnego liceum w Kalifornii. Dyrekcja szkoły, pedagog szkolny, ja i teraz ty to jedyne osoby, które znają prawdziwą tożsamość Russella. Rozumiesz?

Nie wiem, co powiedzieć. Naprawdę nie wiem.

– Pomyślałem, że może gdyby Russell miał kolegę, który wie, jak to jest być innym, ta zmiana byłaby dla niego łatwiejsza – mówi trener.

Nagle dociera do mnie, na czym ma polegać moje zadanie.

– Widzę, że chcesz mnie o coś zapytać, Finley. Śmiało.

Wiem, że Allenowie mieszkają w dzielnicy zamieszkaniej wyłącznie przez czarnych, ale pytam:

– To znaczy, że Russell jest biały?

– A kolor skóry ma znaczenie? – pyta trener.

Sam zawsze powtarza, że nie zwraca na to uwagi, ale wiem, że to tylko politycznie poprawna gadka. Trener całkowicie zmienia taktykę

gry w zależności od tego, jakiego koloru skóry są przeciwnicy, ponieważ białe i czarne zespoły grają w zupełnie innym stylu. To prosty fakt.

Nic nie mówię, więc odzywa się trener:

– Russell jest mniej więcej mojego koloru.

– Więc dlaczego ja?

– Cóż, powiedzmy, że mam przeczucie, że się dogadacie. A dodatkowo jesteś jedynym chłopakiem w drużynie, któremu ufam w kwestii syna mojego zmarłego przyjaciela.

Słyszając te słowa, z trudem przełykam ślinę.

Część mnie po prostu chce być z Erin, druga za to jest zaintrygowana, zadowolona z pochlebstwa i lekko podenerwowana.

Trener wrzuca bieg i jedziemy przez miasto do domu Allenów.

* SAT (ang. Scholastic Assessment Test) – ustandaryzowany egzamin kompetencyjny dla uczniów szkół średnich w USA, stanowiący istotny element rekrutacji na uczelnie wyższe (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

Kiedy parkujemy przed domem, trener mówi:

– Jest jeszcze coś.

Ma taką minę, jakby nagle musiał skorzystać z toalety. Jakby strasznie się męczył.

– Na tym etapie Russell nie używa swojego imienia. – Trener patrzy przez przednią szybę nieobecny wzrokiem. – Życzy sobie, by nazywać go Numerem 21. – Kilka razy kiwa głową, jakby dla potwierdzenia, że nie żartuje.

– Dlaczego? – pytam, zauważając jednocześnie, że dwadzieścia jeden to numer mojej koszulki. Dziwniej już chyba być nie może.

– Pracownicy ośrodka i jego tutejszy terapeuta zalecili, żebyśmy z szacunku wszyscy go tak nazywali. Mówią, że on teraz musi odzyskać kontrolę nad swoim światem, choćby w niewielkim stopniu. Nie znam się na terapii, ale na pewno po tym, co przeszedł, przydałby mu się życzliwy kolega. O to w tym wszystkim chodzi. Dziś wieczorem będziemy się do niego zwracać per Numer 21 i postaramy się, aby wrócił do prawdziwego imienia, zanim zacznie się szkoła.

Kiwam głową, ale podejrzewam, że moja mina mówi co innego. Czy jestem życzliwy? Jak mogę być przyjacielem dla tego chłopaka, skoro właściwie prawie nigdy z nikim nie rozmawiam i nie mam żadnych bliskich przyjaciół poza Erin? Czy będzie chciał odebrać koszulkę z moim numerem?

Trener marszczy czoło tak mocno, że skóra nad jego brwiami układa się w fałdy. Przełyka teraz ślinę co pięć sekund.

Wyciąga rękę i kładzie ją na moim ramieniu.

– Robię to z szacunku dla zmarłego przyjaciela. I bez względu na to, jak to się wszystko potoczy, bardzo ci dziękuję, że dzisiaj przyszedłeś, Finley. Dobry z ciebie chłopak. Proszę cię tylko, żebyś choć spróbował. Nic więcej. Jeśli to nie wypali, po prostu damy sobie spokój, okej?

– Okej.

– No to idziemy.

Wysiadamy z auta. Ulica Allenów wygląda dużo gorzej niż moja.

Potłuczone butelki i opakowania z fast foodów zaśmiecają chodnik, kilka domów jest zabitych deskami i prawie na każdym z nich widnieją graffiti z przekleństwami, ale dom Allenów wygląda całkiem ładnie. Trawnik i krzewy są przyszyżone, a budynek wydaje się zadbane i zachęcający. Jest nawet świeżo pomalowany, co w Belmont stanowi rzadki widok.

Trener naciska włącznik dzwonka i za chwilę w drzwiach pojawia się siwowłosa para.

– Timothy! – Starsza pani ubrana jest w czarną sukienkę. Zarzuca trenerowi na szyję obie ręce, więc ten musi się schylić. – Dziękuję, że przyjechałeś.

– Miło panią widzieć, pani Allen.

Pan Allen, ubrany w szary garnitur, w bardzo oficjalny sposób ściska dłoń trenerowi i mówi:

– Jeszcze raz bardzo dziękuję za twoje słowa na pogrzebie. Jesteś poetą, oddanym przyjacielem i masz dobre serce.

– Mówiłem samą prawdę – odpowiada trener. Nagle oczy wszystkich zaczynają się szklić. – Poznajcie Finleya McManusa. To jeden z najlepszych zawodników w mojej drużynie. Świetny chłopak. Ręczę za niego.

Czuję się lekko zawstydzony tą prezentacją, choć jestem też trochę dumny.

– Cieszymy się, że przyjąłeś nasze zaproszenie – mówi pan Allen, patrząc na mnie.

Wiem, że pan Allen pewnie się dziwi, że jestem biały, ale nie przeszkadza mi to. Na jego miejscu też byłbym zaskoczony. Właściwie to jestem zaskoczony, że trener wyznaczył mnie do tego zadania. Nie jestem terapeutą ani nie mam wiele wspólnego z rodziną Allenów. Myślą pewnie, że nie będę w stanie dogadać się z ich wnukiem i być może okażę się dla niego kulą u nogi w nowym sąsiedztwie, a ja w pełni się z tym zgadzam. W Bellemont czarne i białe dzieciaki rzadko się z sobą przyjaźnią. Mówię bez ogródek, ale przekonałem się, że szczerosc czasem wszystkim ułatwia życie.

– Wejdz, proszę – mówi pani Allen.

Wnętrze jest klimatyzowane.

W całym domu wiszą obrazy z Jezusem. Jezus przytulający jagniątko. Jezus w ogrodzie. Jezus w purpurowej szacie. Meble są bardzo stare, ale w życiu nie byłem w tak czystym mieszkaniu. Wszystkie drewniane sprzęty są wypolerowane, dywany puszyste i świeżo odkurzone, nigdzie nie ma ani grama kurzu, nawet gdyby przesunąć ramki ze zdjęciami. W porównaniu z naszym męskim domem czuję się jak w muzeum.

Siadam koło trenera i pani Allen podaje mi szklankę lemoniady.

– Gdzie Russ? – pyta trener.

– W swoim pokoju – mówi pan Allen. – Niestety nie udało mi się go namówić, by zszedł na dół. Powiedziałem mu, że przyjedziecie, ale...

– pan Allen obniża głos – w ośrodku nam powiedziano, że nie powinniśmy jeszcze na niego naciskać, tylko pozwolić mu się przystosować, więc...

– Pójdiesz na górę porozmawiać z nim? – zwraca się do mnie pani Allen.

To bardzo drobna kobieta, ale jej wzrok jest przenikliwy i pełen siły. W odpowiedzi kiwam twierdząco głową, bo zawsze robię to, o co mnie proszą starsi ludzie. Tak mnie wychowali tata i dziadek.

– Równie dobrze możemy pozwolić chłopcom, by poznali się sami. – Pan Allen mówi trochę zbyt optymistycznym tonem, jakby starał się ukryć, czego naprawdę się spodziewa, ale może wpadam w paranoję.

– Zgodzisz się na to, Finley? – pyta trener, znów kładąc mi dłoń na ramieniu.

Potakuję.

Dobry zawodnik zawsze słucha swojego trenera, zwłaszcza kiedy jego trener jest tak mądry jak mój.

– Na piętrze, drugie drzwi po lewej – mówi pani Allen.

Odstawiam szklankę na podkładkę i wstaję.

– Powiedziałeś mu o fiksacji na punkcie kosmosu? – pyta trenera pan Allen.

Rzucam trenerowi zdziwione spojrzenie, ale ten mówi:

– Idź na górę, Finley, i przywitaj się, dobrze?

Zastanawiam się, co ma z tym wszystkim wspólnego przestrzeń kosmiczna, lecz trener błaga mnie wzrokiem, żebym nie pytał go o nic w obecności państwa Allenów, więc tego nie robię.

Kiedy kieruję się przez salon w stronę schodów, niemal czuję, jak starsi się na mnie gapią. Gdy jednak znikam im z oczu, zwalniam kroku w drodze na piętro i przyglądam się zdjęciom na ścianie, próbując dojść, w co się właściwie wpakowałem.

Są tu czarno-białe zdjęcia pana i pani Allen, które zrobiono, kiedy byli młodzi, i rozpoznaję nawet różne części Belmont, mimo że samochody i ubrania są nie z tej epoki, a miasto wygląda na czystsze i bezpieczniejsze.

Wisi tam też stare zdjęcie ślubne. Trener jest drużbą. Ma wielkie afro, ubrany jest w bladoniebieski smoking i wygląda bardziej jak jeden z moich kolegów z liceum niż jak dorosły mężczyzna, co sprawia, że się uśmiecham.

Zdjęcia Numeru 21 zaczynają się od etapu dzieciństwa, a kończą na terażniejszości.

To oczywiste, że jego rodzina ma pieniądze. Jego ubrania na wszystkich szkolnych zdjęciach wyglądają na drogie, a wiele innych fotografii, na których jest z rodzicami, zostało zrobionych za granicą – przed wieżą Eiffla i przed tą pochyłą wieżą we Włoszech, a nawet na tle egipskich piramid.

Robię się odrobinę o niego zazdrosny, bo ja nigdy nie wyjechałem poza Belmont, a on zjeździł cały świat, co nie wydaje mi się w porządku. Dlaczego niektórzy ludzie rodzą się w takich fantastycznych warunkach, a inni czekają całe życie, by w końcu los się do nich uśmiechnął?

Na wszystkich zdjęciach Russell jest radosny. Wygląda na fajnego chłopaka, przez co trudno mi go nie polubić.

A potem widzę jego drużyny koszykówki z liceum. Jest jedynym czarnym w zespole. Jego drużyna ma na sobie nowe fajne stroje Nike, niczym drużyna uniwersytecka. Mają nawet identyczne buty.

Może trener wiedział, że Numer 21 był jedynym czarnym zawodnikiem w swojej drużynie, tak jak ja jestem jedynym białym w

mojej, i dlatego mnie wybrał? Zauważam też, że Russ ma na sobie koszulkę z dwudziestką jedyneką – moim numerem – i nie mogę nic poradzić na to, że czuję się zagrożony.

Na szczycie schodów zdjęcia się kończą. Idę przez korytarz i widzę, że pokoje na piętrze są wypakowane pudłami. Koło wielkiej komody i biurka muszę przejść bokiem. O ścianę oparte są też materac i rama łóżka.

Za jedynymi zamkniętymi drzwiami na korytarzu słyszeć czyjeś słowa.

Przykładam ucho do drzwi i dobiega mnie męski głos.

– Perseuszu! O, bohaterze Perseuszu! Pogromco Meduzy! Oto jesteś, przyjacielu! Mapa drogowa nowego istnienia. Kosmos to jest to! Kosmos to jest to!

Ktoś, kto znajduje się za tymi drzwiami, jest kompletnie stuknięty.

Ze względu na trenera robię jednak to, o co mnie prosił.

Dobrzy zawodnicy wykonują plan gry.

Zawsze.

Podnoszę pięść i pukam.

Głos milknie i po długich kilku sekundach drzwi otwierają się do środka, a przede mną staje dziecko w ciele mężczyzny bez koszulki.

Jego sylwetka jest niewiarygodna.

Idealne ciało koszykarza.

Wysokie, smukłe, silne – jak Kobego Bryanta.

Ma dziesięciocentymetrowe warkoczyki, które nie przypominają tych, jakie noszą chłopaki z mojej drużyny – w stylu Manny’ego Ramireza. Jego warkoczyki są tak poskręcane, że przypominają bardziej dready Boba Marleya.

– Czy jesteś Ziemianinem? – pyta mnie Numer 21.

Przełykam ślinę i potakuję.

– Zaprogramowano mnie tak, bym traktował wszystkie ziemskie stworzenia z życzliwością. Pozdrawiam cię. Jestem Numer 21 z kosmosu. Utknąłem na planecie Ziemi, ale niedługo ją opuszczę. Witaj w mojej kapsule mieszkalnej.

Odwraca się do mnie plecami i podejmuje przerwana pracę.

Wchodzę do pustego pokoju i widzę, że ściany zostały niedawno pomalowane na czarno.

Wszędzie na podłodze leżą pootwierane książki. Wszystkie dotyczą przestrzeni kosmicznej. Pod moimi stopami ścielą się setki konstelacji, galaktyk, cały wszechświat.

Kiedy podnoszę wzrok, zauważam, że Numer 21 trzyma w dłoni książkę i na ścianie układa konstelację, używając plastikowych fluorescencyjnych gwiazdek, jakie dzieci przyklejają sobie na suficie nad łóżkiem.

Zdażył już wypełnić konstelacjami całą ścianę.

– Właśnie skończyłem Perseusza. A ta tam to Algol, głowa demona. To udawany kosmos albo wymyślony kosmos, więc nie jesteśmy właściwie zainteresowani układaniem konstelacji w taki sposób, jak zazwyczaj są pokazywane. – Ma nieobecny wyraz twarzy. Jak kosmita. – Układamy tu tylko nasze ulubione konstelacje, żebyśmy czuli się lepiej w kapsule mieszkalnej tu, na Ziemi. A jaka jest twoja ulubiona konstelacja? I czy masz imię, Ziemianinie?

To nie żadna gra ani żart. Odbiło mu.

– Ziemianinie, czy masz zaburzony układ odbioru sygnałów dźwiękowych? Czy mnie słyszysz, Ziemianinie?

– Yyy... – Tylko na tyle mnie stać. Co mam powiedzieć dzieciakowi, który myśli, że jest z kosmosu?

– Czy twój system wydawania sygnałów dźwiękowych też jest uszkodzony? Czy jak wy to tu, na Ziemi, nazywacie... język. Czy twój język działa?

– Tak.

– Czyli po prostu skąpisz języka?

– Tak, skąpię. – Zauważam słownictwo na poziomie zaawansowanego egzaminu SAT. Czy to jakaś gra? Czy trener próbuje wkręcić mnie w głupi żart?

– Szanuję twą skąpą naturę – oznajmia, po czym wraca do rozkładania konstelacji na swój sposób, mamrocząc coś o kosmosie.

Nie wiem, co powiedzieć, zatem nie mówię nic, jak zawsze.

Po jakichś pięciu minutach Numer 21 odwraca się do mnie i mówi:

– Czy mogę zwracać się do ciebie twoim ziemskim imieniem, Finley?

To pewnie dziadkowie powiedzieli mu, jak mam na imię, ale to, że go używa, choć mu go nie wyjawiałem, trochę mnie zaskakuje.

– Mogę? – dopytuje.

– Jasne. – Co, do cholery, jest z nim nie tak?

– Nazywam się Numer 21. Jestem prototypem. Modelem testowym. Zostałem wysłany na waszą planetę tymczasowo, by zebrać dane naukowe na temat tego, co wy, Ziemianie, nazywacie emocjami. Będę tu z wami jeszcze tylko przez kilka miesięcy. Wkrótce moi twórcy przybędą po mnie i zabiorą mnie w kosmos, gdzie zostaną poddany badaniom, rozłożony na części i ostatecznie uwolniony. Zdaję sobie sprawę, że to może brzmieć dziwnie i pewnie twój mózg nie umie tego przyswoić, bo jesteś tylko ziemskim stworzeniem. Może więc powinienem odżywić twój system odpowiednimi substancjami.

Patrzę na niego w osłupieniu.

– Czy chciałbyś przyjąć pierwiastki? – pyta. – Jak wy to mówicie: zjeść obiad?

Myślę sobie, że w ten sposób znajdę się znów w otoczeniu ludzi, którzy mają równo pod sufitem, więc kiwam głową potakująco.

– Umieram z głodu.

– Dobrze – odpowiada i wkłada biały podkoszulek, który jest cały popisany flamastrami.

Kolorowy napis na koszulce głosi:

N.A.S.A.

(Nubijscy Astronauci = Super Astronauci)

– Podoba ci się moja koszulka, Ziemianinie zwany Finleyem? – pyta, kiedy widzi, jak się jej przyglądam. – Czarni i kosmos. Dwie wspaniałe rzeczy, które świetnie do siebie pasują.

Brak mi słów.

– Czy nie używam efektywnie języka Ziemian? – pyta.

Jasna cholera. Co on, do diabła, wygaduje?

Numer 21 uśmiecha się do mnie znacząco i mówi coś oczami, czego nie do końca rozumiem.

Schodzę za nim po schodach i kończy się na tym, że jem przepyszny posiłek z trenerem, Numerem 21 i Allenami.

Pieczeń wołowa.

Zielona fasolka.

Purée ziemniaczane z czosnkiem.

Żaden z dorosłych nie komentuje podkoszulka Numeru 21, a on nie odzywa się podczas całego obiadu.

– Jak ci się podoba w Bellmont? – pyta trener.

– Russell – upomina pan Allen. – Trener zadał ci pytanie.

– W porządku – mówi trener. – Nie musisz odpowiadać, jeśli nie chcesz. Jeszcze będzie czas na rozmowy.

Dorośli wymieniają spojrzenia i cieszą się, że nikt nie patrzy na mnie.

– Smakuje ci? – pyta pani Allen.

– Tak, dziękuję – odpowiadam, potem rozlega się tylko szcęk noży i widelców uderzających o talerze, odgłosy przeżuwania i połykania oraz picia ze szklanek, odstawianych potem na drewnianym

blacie.

Numer 21 patrzy w talerz do czasu, gdy nic tam już nie zostaje.

– Czy ja i Finley możemy wrócić do mojego pokoju? – odzywa się wtedy.

– Skończyłeś jeść? – pyta mnie pani Allen.

Kiwam głową, mimo że jeszcze mam coś na talerzu, i dziękuję za posiłek.

– Bawcie się dobrze – mówi trener. Znow trafiam do pokoju Numeru 21 i patrzę, jak przykleja fluorescencyjne gwiazdki.

– Niewiele mówisz, prawda? – zagaduje Numer 21, spoglądając na mnie przez ramię.

– Prawda.

– Coś ci się przydarzyło? – pyta.

Prawda jest taka, że przydarzyło mi się wiele rzeczy, zarówno dobrych, jak i złych – rzeczy, które wymagałyby wielu słów wyjaśnienia, jak dla mnie zbyt wielu.

Jest część mnie, która chce rozmawiać o mojej przeszłości – o tym, dlaczego zbyt wiele nie mówię – nawet o kosmosie, o wszystkim, ale czuję się tak, jakby moja głowa była zawsze mocno zaciśniętą pięścią, która próbuje zdusić w sobie słowa.

– Wierzysz, że pochodzę z przestrzeni kosmicznej? – pyta Numer 21, patrząc mi w oczy.

Wzruszam ramionami.

– Uwierzysz, kiedy mnie zabiorą. Do tego czasu jednak potrzebuję kogoś, kto pomoże mi ukończyć moją misję na Ziemi. Wyglądasz mi na dość emocjonalną osobę, a mnie interesuje badanie emocji. Czy można ci zaufać?

Kiwam głową, bo ogólnie rzecz ujmując, jestem godny zaufania, ale jednocześnie się uśmiecham, bo wcale nie jestem emocjonalny. A przynajmniej próbuję nie być.

Chłopak odwzajemnia uśmiech.

– Pokażesz mi zwyczaje swojej kultury? – pyta. – Proszę.

– Będziesz grał w kosza w tym roku?

Numer 21 odwraca się do mnie plecami i mówi:

– Jestem zaprogramowany na idealnego zawodnika koszykówki.

Żaden Ziemianin nie jest w stanie mnie pokonać. Wydaje mi się jednak, że zniknę stąd przed sezonem. Opuszczę tę planetę, zanim rozpocznie się czas zwany przez Ziemian listopadem.

Czuję ulgę, kiedy mówi, że w listopadzie już go tu nie będzie, bo to oznacza, że przegapi sezon. Wtedy dociera do mnie, jaki szalony jest cały ten pomysł.

Ma totalnego fioła.

Nie ma szans, żeby sprostał wymaganiom sezonu, zwłaszcza jeśli utrzymuje, że pochodzi z kosmosu. Koszykówka opiera się na zasadach, którym trzeba się podporządkować dla dobra zespołu, a Numer 21 już teraz nie trzyma się żadnych reguł.

Ciekawe, co stanie się z Russellem, jeśli będzie udawał, że przybył z kosmosu, kiedy zacznie się szkoła.

W czasie lunchu zostanie oddelegowany do mojego stolika. Uczniowie będą mu zrzucać marchewkę na talerz.

Nie podobają mi się zasady obowiązujące w Bellmont.

– Nie możesz opowiadać ludziom, że jesteś z kosmosu – mówię.

– Czemu nie? – pyta, przyglądając mi się z nieudawanym zaciekawieniem. – Czy ludzie w tej części Ziemi lubią być oszukiwani?

Bellmont jest zbyt skomplikowane, żebym mógł je opisać w jednym zdaniu. Narkotyki, przemoc, konflikty rasowe, irlandzka mafia – jak wytłumaczyć, kto rządzi miastem, jeśli za samo wypowiedzenie słów „irlandzka mafia” można zginąć? Trzymam język za zębami.

Numer 21 staje przede mną twarzą w twarz.

– Dlaczego przejmujesz się tym, co mi się przydarzy, Ziemianinie?

Wzruszam ramionami, a potem odpowiadam:

– Chyba po prostu przejmuję się wszystkimi.

Uśmiecha się do mnie – wiem, że to zabrzmie dziwnie, ale jego uśmiech sprawia, że robi mi się przyjemnie, a palec, który pchał mi się do gardła, znika. Jego zęby połyskują przez chwilę, po czym chłopak wraca do naklejania.

Siadam na podłodze i przyglądam się, jak układa konstelacje. Ściąga papier z małych kółeczek dwustronnej taśmy klejącej, kładzie kółeczko na środku każdej gwiazdki, umieszcza gwiazdkę na końcu palca wskazującego, po czym przyciska ją do ściany lub sufitu.

Podskakuje jak Superman, próbując przymocować gwiazdki nad sobą, i z gracją ląduje na podłodze, nie powodując przesadnego łomotu. To dlatego że jest tak wysoki, że nie musi wysoko skakać, ale i dlatego że, co oczywiste, jest bardzo wysportowany. Ma bardzo zdeterminowaną minę – tak jakby jego brwi próbowały po raz pierwszy spotkać się tuż nad jego nosem.

Po jakichś dziesięciu minutach zaciąga rolety, wyłącza światło i siada koło mnie.

– Udawaj, że jesteś w kosmosie – mówi.

Brzmi to tak absurdalnie, że chce mi się śmiać.

Nie mam pojęcia, jak to jest być w kosmosie, wiem jednak, że nigdy wcześniej nie czułem się tak jak w tej chwili. Może powinienem się bać, a przynajmniej niepokoić, ale Numer 21 wydaje się nieszkodliwy, więc tylko siedzę i patrzę.

Co innego mam robić?

Po kilku minutach całkowitej ciszy zaczynam się zastanawiać, dlaczego Numer 21 przykleja gwiazdki w sypialni. Może lubi panować nad własnym wszechświatem, lubi układać rzeczy tak, jak mu się podoba, niczym bóg czy coś w tym stylu. Może lubi udawać, jakby był dzieckiem. Nie jestem pewien, o co tu chodzi, ale nie przeszkadza mi to.

Jedyną osobą, z którą kiedykolwiek siedziałem w ciem-ności, jest Erin, a ponieważ zawsze chcę ją pocałować, nigdy tak zwyczajnie nie cieszę się tym cichym wspólnym przebywaniem.

Miło tak z kimś siedzieć, chociaż nie do końca wiem dlaczego.

Choć brzmi to jak żart, naprawdę fajnie tylko tak posiedzieć z Numerem 21.

Nie ma zbyt wielu osób w moim wieku, które przyłączyłyby się do mnie w dobrowolnym wspólnym milczeniu. Większość ludzi z mojej szkoły bez przerwy gada i nieustannie się rusza.

Naklejone gwiazdki świecą zieloną poświatą nie z tego świata i muszę przyznać, że patrzenie na nie sprawia mi przyjemność.

Siedzimy w ciszy przez jakiś czas, co w pewien sposób wydaje się właściwe, mimo że czuję na skórze dziwne mrowienie.

– Chłopcy? – odzywa się trener, otwierając drzwi i wpuszczając do pokoju światło z korytarza, tym samym łamiąc zakłęcie. – Co tam

robicie po ciemku?

– Patrzymy na gwiazdy, Ziemianinie – odpowiada Numer 21.

– Aha. – Trener kręci głową na wszystkie strony, by przyjrzeć się wielu konstelacjom ułożonym przez Numer 21. – Czas na nas, Finley.

– Gdzie znajduje się twoja kapsuła mieszkalna, Ziemianinie zwany Finleyem? – pyta Numer 21, kiedy wstaję z podłogi.

– Mieszkam na O’Shea Street pod numerem pięćset dwudziestym pierwszym – mówię. – Po drugiej stronie miasta.

– Ukażę ci się później dzisiaj wieczoru. – Numer 21 podaje mi dłoń, która jest dwa razy większa od mojej.

Ściskam ją i rzucam chłopakowi pytające spojrzenie, przymrużając oczy, wtedy jednak odzywa się trener:

– Miło cię było znów zobaczyć, Numerze 21. Już się nie mogę doczekać następnego spotkania.

Żegnamy się z Allenami i trener odwozi mnie do domu.

Patrząc, jak za szybami uciekają widoki okolicy – zapadające się rzędy domów, dziurawe drogi, śmieci, które wiatr przegania po chodnikach, kora drzew pomazana graffiti – zastanawiam się, czy Numer 21 rzeczywiście mnie dziś odwiedzi.

Dla śmiechu wyobrażam sobie, jak ląduje na naszym niewielkim trawniku przed domem, na przykład w latającym spodku dopasowanym do jego rozmiaru, który zająłby pewnie środkowe pole boiska do koszykówki. Jego statek ma zieloną kopułę, która otwiera się jak jajko niespodzianka.

– Witaj, Finley! – mówi w mojej fantazji Numer 21. – Lećmy przemierzyć galaktykę!

Staram się ukryć uśmiech przed trenerem.

– Co myślisz o Russie? – pyta trener.

Oto, co przychodzi mi do głowy: mam wrażenie, że Russ stworzył wokół siebie pole siłowe z dziwactwa. Ponieważ odpowiedź ta brzmiałaby osobliwie, nie mówię nic.

– Dużo wrażeń jak na jeden raz – zauważa trener. – Moim zdaniem to taka poza, by trzymać niektórych na dystans. Może udawać, żeby się chronić, ale co ja tam wiem? Chłopak dużo przeszedł. Bardzo doceniam, że dziś ze mną pojechałeś. Myślisz, że może mógłbyś pokazać Russowi, co i jak, kiedy w przyszłym tygodniu zacznie się szkoła?

– Jasne.

– I nie wydać jego tajemnicy?

– Tak, proszę pana.

Kiedy podjeżdżamy pod dom, trener podaje mi rękę i mówi:

– Naprawdę dobry z ciebie chłopak, Finley. Wiesz o tym, prawda? Uśmiecham się i wysiadam z samochodu.

W domu dziadek gra z Erin w wojnę. Ich stosy kart są mniej więcej równe. Dziadek rzuca każdą kartę tak, jakby próbował przełamać deskę ciosem karate, Erin za to delikatnie wyklada je na stół. Za każdym razem, gdy Erin wygrywa, mówi coś w stylu: „Jaka szkoda, panie McManus. Może następnym razem staruszkowi się powiedzie”. Uwielbiam, kiedy jest sarkastyczna. Dziadek też. Wiem po uśmiechu, który próbuje ukryć.

– No i? – pyta dziadek. – Jaki jest ten nowy dzieciak?

Nie wiem, co odpowiedzieć. Nie chcę mówić, jaki jest pokręcony, ani zdradzić go, wydając jego sekrety, więc tylko wzruszam ramionami.

– Co za niemy matoł! – mówi dziadek do Erin. – Nie wydobędziesz z niego słowa, nawet gdyby mu trzymać pistolet przy skroni.

– Poddaję się. Wygrywasz, dziadku – oznajmia Erin i prowadzi mnie za rękę do mojego pokoju.

– Wracaj tu, panienko! Mam wszystkie twoje asy! – woła dziadek.

– Graj do końca! W końcu to wojna!

Ale jesteśmy już w połowie drogi na górę.

Otwieramy siatkowe okno, wychodzimy na dach i kładziemy się

obok siebie.

Trochę się całujemy i jest miło, po czym Erin opiera głowę na moim torsie i pyta:

– Trener zabrał cię, żebyś poznał nowego zawodnika?

– Nowego ucznia. – Czeszę palcami jej włosy i gładzę ją po głowie. Uwielbia to.

– Sympatyczny?

– Tak.

– Jak mu na imię?

– Numer 21.

Erin się śmieje, jak gdybym żartował, więc mówię:

– Russ Washington.

Wtedy wędruję dłonią w dół po jej plecach i znowu się całujemy.

Potem nie rozmawiamy. Leżymy tylko i patrzymy w górę na półksiężyc, aż nadchodzi pora, żebym odprowadził ją do domu.

Zaglądam w jej oczy przez, jak mi się wydaje, bardzo długi czas, po czym całuję Erin na dobranoc na ganku i idę do siebie.

Noc na dachu była wspaniała, zwłaszcza że Erin świetnie całuje, ale teraz nie ona zaprzęta mi głowę. Nie bez zdziwienia zauważam, że myślę o Numerze 21.

Jest mi dziwnie.

Martwię się.

Szkoda mi Numeru 21, gdy pomyślę, że jego rodzice zostali zamordowani i że uważa się za mieszkańca innej planety, ale jednocześnie jego wiedza o kosmosie jest bardzo ciekawa. Wydaje się bardzo mądry i na tyle inteligentny, by przekonująco udawać, co sprawia, że zaczynam się martwić, czy teoria trenera nie jest przypadkiem prawdziwa i czy Numer 21 po prostu nie gra.

Co jeśli Numer 21 otrząśnie się przed rozpoczęciem sezonu?

Jeśli jest nawet w połowie tak dobry, jak twierdzi trener, stracę swoją pozycję.

A mimo to trener wybrał mnie, żebym się nim zajął.

Jeżeli przyjdę mu z pomocą, mogę przesiedzieć ten sezon na ławce. Jeżeli nie pomogę mu zadomowić się w Bellmont, po raz pierwszy w życiu nie wykonam polecenia trenera.

Rodzice Numeru 21 zostali zamordowani, mówię do siebie. Zamordowani. Nie bądź samolubny.

Przypominam sobie jednocześnie, że to mój ostatni rok w liceum, ostatni sezon, a Erin i ja tak ciężko pracowaliśmy nad naszą grą.

Czy on naprawdę wierzy, że pochodzi z kosmosu?

Czy będzie chciał odebrać mi mój numer?

Zastanawiam się, czy może staniemy się przyjaciółmi – prawdziwymi przyjaciółmi.

Nigdy nie miałem dobrego przyjaciela, który był chłopakiem.

Zawsze miałem tylko Erin.

Numer 21 i ja siedzieliśmy już razem w ciszy, i to w dodatku pierwszego dnia, kiedy się poznaliśmy.

Czy to z powodu zielonych konstelacji?

Zatrzymuję się.

– Podoba mi się twoja kapsuła – mówi Numer 21. Stoi przed moim domem wyprostowany jak struna, jakby bardzo się denerwował.

– Jak się tu dostałeś? – pytam.

– Mam mapę tego sektora Ziemi. Nigdy nie wypuszczam się sam po twojej planecie bez mapy.

– Czemu przyszedłeś?

– Zostałem tu wysłany, by zebrać dane naukowe na temat tego, co wy, Ziemianie, nazywacie emocjami.

– Nie. Pytam, dlaczego stoisz teraz przed moim domem.

– Widziałem, jak leżysz na dachu. Za tamtym drzewem po drugiej stronie ulicy grzecznie poczekałem, aż twoja partnerka sobie pójdzie.

Jestem w stanie jedynie się na niego gapić.

Szpiegował mnie, co powinno mnie wkurzyć, ale z jakiegoś powodu nie czuję złości. Głównie jestem ciekawy, dlaczego w ogóle do mnie przyszedł.

– Czy możemy razem usiąść i zidentyfikować wszystko to, co widzimy na niebie? – pyta i pokazuje na dach.

Nie wiem dlaczego, ale – nagle i całkiem odruchowo – kiwam głową, po czym Numer 21 idzie za mną do domu.

Mój ojciec – który wziął dodatkową zmianę od pierwszej w nocy do dziewiątej rano i właśnie wychodzi do pracy – pyta:

– To ty jesteś tym nowym dzieciakiem?

– Czy to wasz ludzki termin, którym będziesz mnie nazywać, Ziemianinie? – pyta Numer 21 – „Nowy dzieciak”?

– Czy on mnie nazwał Ziemianinem? – zwraca się do mnie tata. Ma zmieszana minę, jakby patrzył prosto w słońce.

Wzruszam ramionami.

– Dziadkowie się o ciebie martwią – mówi tata do Numeru 21, z niedowierzaniem wpatrując się w jego koszulkę z napisem N.A.S.A. – Trener dzwonił, by zapytać, czy przypadkiem cię u nas nie ma. Oddzwonię do niego, żeby dać mu znać, gdzie się podziewasz.

Tata idzie do innego pokoju, by zadzwonić.

– Ludzie z sąsiedztwa cię nie znają, chłopcze. Chodzenie samemu po mieście nocą nie jest bezpieczne – mówi dziadek.

– Na tej planecie nikt nie jest w stanie mnie skrzywdzić – odpowiada Numer 21.

– Chciałbym, żeby to była prawda, lecz tak nie jest – kwituje dziadek.

– Trener jedzie tu po ciebie, Russ – oznajmia tata, gdy wraca. – Jeśli chcecie, możecie poczekać przed domem, ale ja muszę już jechać do pracy.

Tata odjeżdża, a ja i Numer 21 siadamy na frontowych stopniach.

– Chciałbym kiedyś posiedzieć z tobą na dachu i nauczyć cię czegoś o moim domu, kosmosie. Twoja obecność działa uspokajająco, Finley. Czy byłoby możliwe, bym w przyszłości posiedział z tobą na dachu?

Nikt nigdy nie powiedział mi, że moja obecność działa uspokajająco. Może ludzie tak myślą, ale tego nie mówią.

– Jasne – odpowiadam.

Słowa „uspokajająca obecność” podobają mi się dużo bardziej niż „Biały Królik” lub „niemy matoł”.

Uspokajająca obecność.

Przyglądam się mu, próbując stwierdzić, czy nabija się ze mnie albo ironizuje, ale niczego takiego nie widzę – jest całkowicie poważny, a przynajmniej wierzę, że tak jest.

Siedzimy w ciszy, aż dziesięć minut później zmęczony trener

zatrzymuje się przed domem. Posyła mi zażenowany uśmiech jako wyraz podziękowania i zabiera Russa swoim samochodem.

 Nie śpię całą noc i myślę o Numerze 21.

Ostatniego wieczoru przed rozpoczęciem szkoły Erin i ja całujemy się na dachu, gdy nagle odsuwa się ode mnie i pyta:

– Czy to nie pick-up trenera?

Siadam, zerkam za rynnę i dostrzegam starego forda.

– Finley! – krzyczy tata z salonu.

Razem z Erin przechodzimy przez okno w mojej sypialni i zbiegamy na dół po schodach.

– Mam nadzieję, że wam nie przeszkodziłem – mówi trener, podśmiewając się razem z tatą.

– Nie – odpowiada Erin. – Wcale.

– Przejedziesz się ze mną, Finley? – pyta trener.

– Jasne.

– Tylko na dziesięć minut, Erin. Obiecuję – mówi trener.

– Nie ma problemu. – Erin opada na kanapę i zabiera dziadkowi pilota z ręki, bo ten, trzymając różaniec babci owinięty wokół lewej pięści jak kastet, znów jest nieprzytomny od alkoholu. Między nogami trzyma zieloną butelkę po whisky. – Pooglądałam sobie telewizję z moim ulubionym emerytem.

Tata kręci głową, widząc dziadka w takim stanie, ale nic nie mówi.

Kiedy wsiadamy do pick-upa trenera, dostrzegam kropelki potu na jego czole i ciemne plamy na koszulce, tam gdzie pot przesiąkł przez materiał. Jest gorąca, parna noc, nic nie jest jednak w stanie zamaskować zdenerwowania trenera.

Wozi mnie po okolicy, a potem parkuje, nie wyłączając silnika i pozostawiając włączoną klimatyzację, co jest miłe, bo w domu jej nie mamy.

– Nadal chcesz pomóc Russellowi? – pyta trener.

Wiem, że chce, bym powiedział to na głos, więc mówię.

– To dobrze – odpowiada trener. – Sytuacja jest taka: trzeba było go trochę przekonywać, ale Russ zgodził się przestać mówić o kosmosie i wrócić do prawdziwego imienia. Koniec z Numerem 21, przynajmniej w szkole. Jednak wiadomo: zajęcia i nowe środowisko mogą go zestresować, nie ma więc gwarancji, że nie popadnie w dawny nawyk.

Dlatego chcę, żebyś mu towarzyszył. Chcę, żebyś go pilnował w każdej sekundzie dnia. Jeśli musi się odlać, idziesz razem z nim, zrozumiano?

Brzmi to tak, jakby trener instruował mnie, jak kryć zawodnika podczas meczu, bo podnosi głos jak w czasie drużynowych zbiórek. Mówi z naciskiem, jakbym wcale nie wyświadczał mu przysługi, lecz robił to, co należy do mnie jako członka drużyny. Chcę pomóc, ale mam wrażenie, że okoliczności trochę się zmieniły. A może coś mi się ubzdurało?

– A jeśli będziemy mieć osobne lekcje? – pytam.

– O to się nie martw. O której pan Allen ma przywieźć Russa?

– Dokąd ma go przywieźć?

– Do ciebie, żebyście mogli razem pójść do szkoły.

Erin i ja zawsze sami chodzimy do szkoły i to moja ulubiona pora dnia. Lubię rozmawiać z Erin z samego rana i całować się z nią. Szybko się namyślałam i odpowiadam:

– Czy pan Allen może podwieźć Russa pod dom Erin o siódmej dwadzieścia?

– Załatwione.

W ten sposób mogę pójść do Erin o siódmej i spędzić z nią sam na sam przynajmniej dwadzieścia minut. Oznacza to też, że będę musiał wstać trochę wcześniej niż zwykle, ale nie mam z tym problemu.

– Finley?

– Tak?

Trener wyciąga do mnie rękę i ściska mnie za ramię.

– Russ jest wyjątkowy. Bardzo mi zależy, by dobrze poradził sobie w Bellmont. Jego ojciec był moim bliskim przyjacielem.

Kiwam głową.

– Nie zawiedziesz mnie, prawda?

– Nie zawiodę.

– To dobrze. Siódma dwadzieścia pod domem Erin. Który to numer?

Właściwie to nie pamiętam numeru, więc mówię:

– To przy następnej przecznicy. Będziemy siedzieć na schodach przed domem, więc pan Allen na pewno nas nie przeoczy.

– Nie powiedziałaś Erin o całej tej sytuacji, prawda?

– Nie więcej, niż to konieczne.

– Dziękuję. Starajmy się utrzymać prawdziwą tożsamość Russa w tajemnicy, przynajmniej do czasu, aż sezon się rozkręci.

Chcę zapytać trenera o moją pozycję na boisku – jak może mnie prosić, żebym pomógł chłopakowi, który jest w stanie mi ją odebrać – ale nie poruszam tematu i trener odwozi mnie do domu.

Kiedy trener parkuje przed domem, dodaje:

– Powiedz u siebie, że rozmawialiśmy o grze, dobrze? Nie muszą znać naszego sekretu.

Kiwam głową. Przez ten sekret nie czuję się swobodnie, lecz kiedy trener daje ci zadanie, trzeba je wykonać.

– Ten Russ będzie chodził z nami codziennie? – pyta mnie Erin.

Siedzimy na schodkach i czekamy na dziadka Numeru 21, który przywiezie go tu, żebyśmy razem poszli do szkoły rozpocząć ostatnią klasę liceum.

– Na to wygląda – odpowiadam.

– Dlaczego? – pyta.

Wzruszam ramionami.

Nie lubię mieć sekretów przed Erin, jednak trener kazał zachować prawdziwą tożsamość Numeru 21 w tajemnicy, więc nie mam wyboru. Wiem, że mogę ufać Erin. Nie ma sobie równych w strzeżeniu sekretów, ale z jakiegoś powodu czuję, że powinienem dać innym szansę, by sami wyrobili sobie zdanie o Numerze 21 – włączając w to Erin.

– Wiesz, że trener poszedł do pubu Irlandzka Duma, żeby pogadać z moim bratem?

Kilka razy szybko mrugam.

Zaskakuje mnie ta wiadomość, bo czarni zazwyczaj tam nie chodzą, choć Rod grał w drużynie trenera wiele lat temu i stąd się znają.

– Trener poprosił Roda, żeby rozpuścił wici po mieście... – mówi Erin.

Unoszę brew.

– Naprawdę?

– ... że Russ Washington to nasz kolega.

Oznacza to, że trener poprosił Roda o ochronę. A skoro to zrobił, to poszedł też do starszego brata Terrella Pattersona, Mike'a. Mike Patterson kontroluje ulice po czarnej stronie miasta.

– Trochę dziwne, że trener nadstawia karku dla kogoś, kto nie jest zawodnikiem – mówi Erin podejrzliwie.

– Trenera i Russa łączą prywatne relacje – odpowiadam.

– Jak to?

– Są tak jakby rodziną, okej?

– Okej – mówi Erin, po czym dodaje: – Zapomniałeś mi o czymś powiedzieć?

Rzuca mi zabawne spojrzenie, przez co trochę się podniecam.

Przechyliłam głowę na bok i patrzę na nią przez przymrużone oczy.

Erin wstaje i obraca się, tak że nowa sukienka na rozpoczęcie roku lekko wiruje, odsłaniając jej kolana.

Przyglądam się jej. Jest prawdopodobnie jedyną dziewczyną w całej naszej szkole, która będzie dziś miała na sobie sukienkę. Pozostałe włożą pewnie dżinsowe spodnie, bardzo krótkie szorty lub obcisłe spódniczki.

– Jak wyglądam? – pyta.

Uśmiecham się do niej, unoszę oba kciuki i brew.

– Dziękuję – odpowiada. – Ty też świetnie się prezentujesz w nowej koszulce Philadelphia 76ers.

Erin kładzie mi dłoń na kolanie i nachyla się, żeby mnie pocałować, ale zanim nasze wargi się spotkają, słyszę trąbienie klaksonu i ze starego cadillaca wysiada Numer 21.

Zarzuca my plecaki na ramiona i spotykamy się z nim przy samochodzie.

Strój Numeru 21 wygląda na całkiem nowy.

Zapinana na guziki koszula od Tommy'ego Hilfigera.

Ciemnoniebieskie dżinsy.

Na nogach nike'i zoom soldier.

Ma obcięte, ogolone do skóry włosy – koniec szalonych warkoczyków.

Zamiast plecaka trzyma skórzaną torbę na ramię.

Wygląda jak uczeń z prywatnej szkoły, co nie przysporzy mu przyjaciół, tylko wyróżni go z tłumu, bo w naszej szkole pieniądze mają handlarze narkotyków i nikt poza nimi.

Erin wyciąga do niego rękę i mówi:

– Jestem Erin. Miło cię poznać.

– Russ. – Numer 21 bierze jej dłoń, nie nawiązując kontaktu wzrokowego.

– Skąd jesteś, Russ? – pyta Erin.

– Z Zachodu – odpowiada.

Wtedy właśnie dociera do mnie, że albo terapeuta nagle uzdrowił Russella, albo Numer 21 jest tu *incognito*.

Z Zachodu?

To tak prawdziwa, racjonalna, zupełnie niezwarowana odpowiedź.
Jestem zaskoczony tym, jak ogromne czuję rozczarowanie.

– Zaopiekujesz się naszym chłopcem? – pyta pan Allen z wnętrza cadillaca.

– Tak, proszę pana – odpowiadam.

– Dziękuję – mówi pan Allen, po czym uśmiecha się i spogląda mi prosto w oczy spod starodawnego kapelusza z piórkami zatkniętym za czerwoną tasiemkę, biegnącą wokół wewnętrznej krawędzi pełnego ronda.

Po drodze do szkoły Erin stara się nawiązać rozmowę z Numerem 21, ale on odpowiada tylko jednym, czasem dwoma słowami, przez co nasuwa mi się myśl, że może on też w pewnych sytuacjach jest słownym minimalistą.

Czekam, aż Erin zada temu niemal dwumetrowemu dzieciakowi oczywiste pytanie, no i w końcu ono pada.

Kiedy Erin pyta, czy Numer 21 gra w kosza, on odpowiada, że nie, i robi to z przekonaniem.

Ze wstydem to przyznaję, ale cieszę się, słysząc, że już nie gra. I czuję ulgę, że moja pozycja na boisku jest niezagrożona.

Erin pyta go też, z jakiego dokładnie miasta i stanu na zachodzie kraju pochodzi.

– Zapomniałem – odpowiada.

Erin rzuca mi zmartwione spojrzenie, po czym pyta Numer 21, czy podoba mu się w Belmont.

Russ wzrusza ramionami.

– Przywiózł cię dziadek?

Numer 21 kiwa potakująco głową.

– Mieszkasz z nim?

– I z babcią.

– A gdzie są twoi rodzice?

– Koniec pytań – ucina, po czym uśmiecha się niezręcznie i dodaje:

– Proszę.

Erin znów spogląda na mnie z niepokojem.

Kiedy skręcamy w Jackson Street, Erin mówi:

– Oto nasza szkoła. Belmont High.

Nasza szkoła to długi dwupiętrowy budynek z cegły, przed którym nieustannie zaparkowany jest policyjny radiowóz. Przy drzwiach wejściowych zamontowane są wykrywacze metalu. Obsługują je opaśli i gburowaci pracownicy, którzy wykonują też przeszukania na chybił trafił. Dzieciaki pokryły fasadę najprzeróżniejszymi rodzajami graffiti. Ktoś dawno napisał kursywą przy użyciu srebrnego sprayu: „Bellmont High ssie wielkiego ptaka” tuż obok ogromnej sylwetki naszej szkolnej maskotki – koguta. Te właśnie słowa witają nas co dzień rano.

Korytarze są żółte i bardzo głośne. Dziewczyny się śmieją. Wszyscy się przepychają. Trzaskają drzwiczki szafek. Nikt nie wydaje się zauważać Numeru 21, tak jak nikt nie wydaje się zauważać nas.

Przeciskamy się przez tłum i sprawdzamy wywieszane na korytarzu listy.

Numer 21 i ja mamy tego samego wychowawcę, mimo że jesteśmy do nich przydzielani alfabetycznie, a pozostałe osoby o nazwiskach na „M” i „W” nie znajdują się w tych samych grupach.

Pewnie to interwencja trenera. Nasza drużyna tak dobrze daje sobie radę pod jego okiem, że trener ma teraz duże wpływy w szkole.

Szafka Numeru 21 jest tuż koło mojej i cudownym zbiegiem okoliczności chłopak chodzi ze mną na te same lekcje, a każdy nauczyciel na swoich zajęciach posadził nas w tej samej ławce. Tym samym Numer 21 tak jak ja chodzi na zajęcia rozszerzone, co nie znaczy tu zbyt wiele, bo nasza szkoła nie ma wysokiego poziomu. Nie uważam się za bystrzaka. Jeśli ktoś jest posłuszny i umie się zachować, trafia do klasy rozszerzonej.

Do naszych nauczycieli Numer 21 odnosi się oficjalnie i z szacunkiem, zawsze utrzymując kontakt wzrokowy.

Nie odzywa się do innych uczniów w szkole. Nawet kiedy oni do niego mówią, wlepia wzrok w podłogę lub w sufit i nie odpowiada.

Martwię się, że inni wezmą go za aroganta, bo w naszej okolicy to nic dobrego, chyba że ktoś lubi dostać łomot.

Podczas lunchu, zauważając wysoki wzrost i potężną budowę nowego ucznia, koledzy z drużyny podchodzą do mojego stolika.

– Ej, Biały Królik, co to za gość? – zagaduje Terrell.

– To Russ Washington. Jest nowy – mówi Erin.

– Uprawiasz sport? – pyta Sir. Sir to nasz niski skrzydłowy i gwiazda drużyny futbolowej. Jego mama dała mu na imię Sir, bo chciała, by ludzie traktowali go z szacunkiem. Jest w połowie Portorykańczykiem, co w tej okolicy należy do rzadkości.

Numer 21 tylko kręci głową.

– Może powinieneś spróbować kosza – mówi Hakim. To nasz silny skrzydłowy. – Jesteś wysoki. Masz do tego idealną sylwetkę.

– Będziesz ze mną chodził na poszerzony angielski. Jaki jest twój ulubiony pisarz? – pyta Wes. Tak jak mówiłem wcześniej, Wes to nasz środkowy. Jest mołem książkowym. Zawsze czyta w autobusie, kiedy jeździmy na mecze. Nosi ze sobą lampkę czołówkę, żeby móc czytać, nawet gdy jest ciemno.

Numer 21 nie podnosi wzroku ani nie odpowiada na pytanie.

– Okej, chwytam – mówi Terrell. – Jesteś cichy jak ten tu.

– Coś z tym nie w porządku? – odzywa się Erin.

– Nic, laleczko Białego Królika – zapewnia Terrell.

Widzę jej kwaśną minę, ale nie odzywam się, kiedy Erin wstaje, żeby wyrzucić po sobie śmieci. Chcę coś powiedzieć. Czasami nienawidzę tego, że tak niewiele mówię.

– Szanowni państwo! – wrzeszczy Terrell, trzymając ręce w górze.
– Szanowni państwo!

Wszyscy w stołówce milkną.

Kiedy nie słyhać już nikogo, Terrell mówi:

– Powitajcie, proszę, nowego ucznia. Oto Czarny Królik, dobry przyjaciel Białego Królika, równie milczący. Są też moimi przyjaciółmi, rozumiano? Dajcie im w spokoju robić to, co króliki lubią najbardziej. To wszystko. Smacznego.

Niektórzy zaśmiali się z nowej ksywki Numeru 21, ale wszyscy i tak rozumieją, że w ten sposób Terrell oficjalnie objął go protekcją swojej rodziny.

– W porządku – mówi Terrell. – A teraz, Króliki, róbcie, co tam chcecie. A ty, Biały, przygotuj się na asysty tej zimy, słyszysz?

– Jasne.

Terrell ma po wielkim diamencie w każdym uchu. To coś nowego. W zeszłym roku ich nie nosił.

Kiedy koledzy z drużyny odchodzą, Erin wraca do stołu, ale nie chce na mnie spojrzeć.

Wiem, że pragnęła, bym stanął w jej obronie, gdy Terrell nazwał ją laleczką, lecz zależy mi na tym, żeby Terrell mnie lubił i żeby dobrze nam szło w tym sezonie. To mój priorytet, a istnieją dużo gorsze ksywki, jakie muszą znosić dziewczyny w naszej szkole. Dlatego właśnie tak bardzo nie mogę się doczekać sezonu. Kiedy się zacznie, trzeba będzie nauczyć się zagrywek, a ja będę spędzał na sali gimnastycznej prawie każdy wieczór. Reszta świata zniknie.

Gdy Numer 21 kończy kanapkę, którą zrobiła mu babcia, mówi:

– Nie jesteśmy królikami.

Po raz pierwszy tego dnia Numer 21 patrzy mi w oczy i może oszalałem, ale wydaje mi się, że próbuje się ze mną porozumieć, wysyłając wiadomość przez źrenice. Najdziwniejsze jest to, że chyba rozumiem, co chce mi powiedzieć.

Kiedy wychodzimy ze stołówki, w korytarzu witają nas setki docinków związanych z królikami.

– Siema, czarno-białe króliki!

– Hej, mały i duży króliku.

– Marchewka już się robi. Jeszcze was nakarmimy.

To tylko niegroźne zaczepki, bo jesteśmy pod ochroną Roda i Mike'a, ale mimo wszystko jest to trochę irytujące.

Ani Numer 21, ani ja nie odzywamy się słowem i muszę przyznać, że przyjemnie jest nie być jedynym królikiem w gmachu szkoły.

Pan Gore to wysoki, szczupły mężczyzna w okularach o grubych oprawkach i drobnych loczkach *à la* mokra włoszka, z których inni uczniowie nieustannie robią sobie żarty. Jest pedagogiem pomagającym mi w wyborze ścieżki kariery. Nie przepadam za nim, mimo że dużo się uśmiecha, ma delikatny głos i zawsze powtarza, że chodzi mu o moje dobro.

Wywołuje mnie z angielskiego podczas pierwszego dnia szkoły, co wydaje mi się niepotrzebne i niepokoi mnie, bo muszę zostawić Numer 21, a trenerowi by się to nie spodobało.

Gabinet pana Gore'a od podłogi do sufitu pokrywają naklejki na zderzaki samochodowe. Każda naklejka zawiera nazwę uczelni, co jest w pewnym sensie ironiczne, bo niewielu uczniów tej szkoły pójdzie na studia.

– Powiedz – mówi pan Gore, kiedy siadam – czy myślisz w ogóle o swojej przyszłości?

– Studium pomaturalne – odpowiadam, bo tylko na to będzie mnie stać bez stypendium i przy przeciętnych wynikach końcowych egzaminów SAT. Tata mówi, że można się tam zapisać na dwa lata, a potem się przenieść, co pozwala zaoszczędzić dużo pieniędzy. Nie będę musiał wziąć dużego kredytu, a to wydaje się rozsądne. Potem mam zamiar dołączyć do Erin, niezależnie od tego, w którym mieście będzie grać.

– Stać cię na więcej – mówi pan Gore. – Jeszcze o tym porozmawiamy. – Pochyliła się nad biurkiem w moją stronę. – Opowiedz mi trochę o tym nowym uczniu, Russie Washingtonie.

– A co chce pan wiedzieć?

– Hm. Może na początek, dlaczego trener kazał ci go niańczyć. – Pan Gore uśmiecha się i oblizuje usta. – Jak myślisz, dlaczego cię do tego wybrał?

Wzruszam ramionami.

– Znam przeszłość Russa, Finley. Można powiedzieć, że jestem wtajemniczony.

Próbuje mnie wybadać, sprawdzić, co wiem, a może nawet

podstępem skłonić mnie do wygadania się. Nie podoba mi się jego mina. Jakby pogrywanie sobie ze mną sprawiało mu przyjemność.

– Powiedz mi. Zauważasz jakieś podobieństwa między sobą a Russem?

– Obaj gramy w kosza – mówię, po czym od razu tego żałuję, bo nie wiem, czy pan Gore wcześniej o tym wiedział.

– Zgadza się – stwierdza, a ja czuję się lepiej. – Ale mam na myśli co innego. Coś, o czym może chciałbyś porozmawiać. Coś, co zbyt długo próbowałeś zdusić w sobie.

Dokładnie wiem, o co mu chodzi. Od pierwszej klasy próbuje mnie nakłonić, żebym zaczął mówić na ten temat, a to naprawdę nie jego sprawa. Nie ma pojęcia, z czym ma do czynienia. Niektóre rzeczy lepiej zostawić niewypowiedziane. Pan Gore nie mieszka w tej okolicy, to widać.

– Czy mogę już sobie pójść? – pytam.

– Chcę ci tylko pomóc, Finley.

– Trener kazał mi, bym nie zostawiał Russa samego, więc muszę wracać na lekcje.

– Robisz wszystko, co każe ci trener, bez zastanawiania się nad jego pobudkami?

– Tak.

– Dlaczego?

– To mój trener.

– Martwię się o ciebie, Finley. Jeśli poczujesz się zagubiony, zawsze możesz przyjść ze mną porozmawiać. Chcę, żebyś o tym wiedział. Jestem dobrym ratownikiem.

Ratownikiem?

Niech pan się rozejrzy. Raczej nie jesteśmy na basenie.

Zaczynam się irytować, co najwyraźniej widać, bo pan Gore wypisuje przepustkę i podaje mi ją zatkniętą pomiędzy wskazującym a środkowym palcem.

– Możesz już iść – mówi.

Wypadam za drzwi.

Po ostatnim dzwonku Numer 21 idzie za mną na salę gimnastyczną, gdzie spotykam się z Erin na wspólny trening.

Kiedy przebieram się w strój do ćwiczeń, pytam Numer 21, czy będzie trenował z nami, na co on odpowiada:

– Chcę tylko popatrzeć.

Potakuję i gdy odwracam głowę, uśmiecham się, bo nie zamierzam mu pomagać przejąć mojego miejsca w pierwszym składzie, jeśli zdecyduje się grać w drużynie. Z radością pozwolę mu siedzieć przy linii bocznej, podczas gdy ja będę się stawał silniejszy i szybszy. A kiedy tylko zaczynam pocić się na parkiecie, czując jak podczas ruchu łomocze mi serce, przestaję myśleć – trochę tak jak wtedy, gdy wpatrywałem się w konstelację z gwiazdek, tylko mocniej. Gdy gram w kosza, wszystko inne odchodzi w niepamięć.

Russ siedzi na ławce, podczas gdy Erin i ja trenujemy akcje rzutowe, doskonalimy celność i prędkość. Gdy biegniemy osiem kilometrów z kozłowaniem, Russ patrzy na nas z trybun. Siedzi w rogu siłowni, kiedy ćwiczymy z ciężarkami. Przez cały czas obserwuje nas z obojętną miną.

W końcu zaczyna odrabiać lekcje.

Numer 21 czeka na chodniku, gdy odprowadzam Erin do drzwi i całuję ją na pożegnanie. Potem siedzimy razem na schodkach przed domem, aż przyjeżdża po niego dziadek.

Następnego dnia pan Allen podwozi wnuka pod dom Erin i Numer 21 znów staje się moim milczącym cieniem.

Nasz nauczyciel fizyki pan Jefferies oznajmia nam, że jedziemy na film do kina IMAX. Będzie dotyczył ekspedycji kosmicznej, która miała na celu naprawę jakiegoś teleskopu o nazwie Hubble.

– Nie wiecie nawet, ile z tego, o czym będziemy się uczyć w tym roku, ma zastosowanie w podróżach kosmicznych – mów pan Jefferies, jednocześnie rozdając nam formularze zgody dla rodziców. – Zobaczycie zdjęcia, które wprowadzą was w osłupienie!

Klasa wydaje się zadowolona z tego, że będziemy mieli wycieczkę, głównie dlatego że zrobimy coś innego i wydostaniemy się ze szkoły przynajmniej na pół dnia, ale Numer 21 nawet się nie uśmiechnie, co wydaje się dziwne. Myślałem, że bardziej się ucieszy na podróż w kosmos, nawet jeśli odbędzie się jedynie na kinowym ekranie.

Zagaduję do niego między lekcjami:

– Cieszysz się na to klasowe wyjście?

– Jasne – odpowiada Russ. Nie mówi nic więcej.

Myślę sobie, że najlepiej nie schodzić zanadto na temat przestrzeni kosmicznej. Jednak za każdym razem, gdy pan Jefferies napomyka o naszym wyjściu do kina, Russ szeroko rozdziawia usta i zaczyna uderzać długopisem o blat biurka, przez co wszyscy się na niego gapią. Zastanawiam się, czy to nie tik nerwowy.

W dniu wycieczki, kiedy zbieramy się przed szkołą, z żalem zauważam, że oprócz pana Jefferiesia, naszym opiekunem jest też pan Gore. Mimo wszystko grzecznie odpowiadam na jego przywitanie.

Nasza klasa zapełnia szkolny autobus, który zabiera nas do Instytutu Franklina**, znajdującego się w centralnej dzielnicy Filadelfii, tylko pół godziny drogi od naszej szkoły. Dopiero po raz drugi w życiu jestem w centrum, a po raz pierwszy w tym miejscu. Tata zabrał mnie na kilka meczów koszykówki i bejsbola, ale one nie są rozgrywane w centrum.

W autobusie Russ i ja siedzimy obok siebie. Przez cały czas patrzę przez okno, bo nieczęsto mam okazję opuścić Belmont. Zanim wydostaniemy się na auto-stradę, przejeżdżamy przez miasto o nazwie Robin Township, którego mieszkańcy żyją w pięknych willach. Na

ulicach nie walają się śmieci, na drzewach nie ma graffiti, a wszędzie stoją nowe, lśniące samochody. Niektóre z tych domów wydają się wielkości naszej szkoły, a trawniki przed nimi są większe niż nasze boiska. Wyglądają jak z telewizji. Zastanawiam się, jak to jest mieszkać w takim mieście i czy Numer 21 miał taki wielki dom w Kalifornii, ale go nie pytam.

Przejeżdżamy przez miasto ulicą, wzdłuż której powiewają flagi wielu krajów, wysiadamy z autobusu i po betonowych schodach wspinamy się pod ogromne, wyglądające na stare kolumny, po czym wchodzimy do środka. Podczas gdy pan Jefferies odbiera nasze bilety, czekamy przy gigantycznym białym pomniku Bena Franklina w największym fotelu, jaki w życiu widziałem. Stoi tu kilka klas licealnych i nasi uczniowie mieszają się z dziećmi z innych szkół, ale Numer 21 i ja stoimy cicho przy panu Franklinie.

– Wszystko w porządku, chłopcy? – pyta pan Gore.

Kiwam głową.

– Mhm – odpowiada Russ.

Zauważam, że Russ bez przerwy otwiera i zaciska dłonie, jakby się denerwował.

Pan Jefferies zbiera naszą rozszerzoną klasę fizyki, rozdaje bilety i mówi:

– Kiedy byłem w waszym wieku, nigdy by mi nawet nie przyszło do głowy, że będę mógł doświadczyć tego, co za chwilę zobaczycie. Oto współczesne cuda nauki! Naprzód, młode umysły. – Co za dziwak. Podnieca się wizytą w IMAX-ie.

Wchodzimy za nim do sali kinowej i zajmujemy miejsca.

Czuję się, jakbym siedział w środku kuli, bo zaokrąglony ekran wygląda niczym otwarty, błękitny jak niebo spadochron, przez co mam wrażenie, że spadam.

Słyszemy ogólny komunikat na temat tego, jak postępować, gdyby zrobiło się nam niedobrze. Trzeba zamknąć oczy albo wyjść tylnym wyjściem. Ponieważ siedzimy w środkowym rzędzie, ucieczka wydaje się jednak niemożliwa. Mam nadzieję, że ludzie siedzący za mną nie zrzucają mi się na głowę. Film rozpoczyna się tuż po komunikacie.

Tak jak obiecał pan Jefferies, to niesamowite doświadczenie.

Głośne, barwne i prawie trójwymiarowe. Czuję się, jakbyśmy szybowali przez przestrzeń kosmiczną i naprawdę brali udział w wyprawie. Głośniki tak huczą, że dźwięk wibruje mi w klatce piersiowej. Mam wrażenie, że mógłbym sięgnąć po planety i gwiazdy z taką łatwością, jak zrywa się liście z drzewa. A na dodatek lektorem jest Leonardo DiCaprio.

– To naprawdę jest niesamowite – szepczę do Russa, ale on nie odpowiada. Zatyka dłonią usta, jakby starał się nie zwymiotować.

Kiedy na ekranie pojawia się prom kosmiczny, Numer 21 krzyczy:

– Nie chcę już więcej na to patrzeć!

Kilka osób próbuje go uciszyć głośnym „Ciiii!”, na co Russ wstaje z miejsca i wspinając się po kolanach ludzi siedzących obok, próbuje wydostać się z kina.

– Siadaj! – krzyczy ktoś w ciemności, ale Russ brnie do przodu.

Wstaję, by ruszyć za nim i upewnić się, że nic mu nie jest, bo wokół panuje ciemność, stopnie są strome, a Numer 21 wydaje się naprawdę zdenerwowany, lecz pan Gore mówi:

– Siedz, Finley! – I sam biegnie za Russem.

Myślę sobie, że pan Gore opanuje sytuację, więc siadam na swoim miejscu i próbuję skupić się na filmie, ale nie potrafię.

Dlaczego Numer 21 tak się zdenerwował?

Astronauci unoszą się w powietrzu w ciasnej przestrzeni wahadłowca, gdzie nie ma grawitacji. Patrzą, jak zakładają skafandry i naprawiają Teleskop Kosmiczny Hubble’a. Niektóre ujęcia kosmosu są naprawdę niebywałe. W głowie robi mi się mętlik na myśl, ile tajemnic kryje kosmos i jaki jest ogromny. Leonardo DiCaprio mówi, że we wszechświecie znajdują się miliardy galaktyk, a w każdej z nich miliardy gwiazd. Aż trudno to sobie wyobrazić. Od czasu do czasu zastanawiam się, dokąd poszli Russ z panem Gore’em i o czym rozmawiają, ale przede wszystkim skupiam się na oglądaniu filmu.

Po zakończeniu projekcji pan Jefferies wyprowadza nas na zewnątrz i na schodach pod wielkimi kolumnami jemy zabrany z domu lunch, patrząc na fontannę pomiędzy budynkiem biblioteki a jakimiś wieżowcami, która wystrzela wodę w powietrze. Jedząc swoją kanapkę z tuńczykiem, dostrzegam, że Numer 21 i pan Gore przechodzą przez ulicę

i kierują się w naszą stronę. Pozostali uczniowie rozmawiają i się śmieją, jestem więc jedyną osobą, która zauważa powrót Russa.

– Wszystko w porządku? – pyta pan Gore Russa, trzymając dłoń na jego ramieniu, jakby byli dobrymi przyjaciółmi.

Russ kiwa głową i siada koło mnie.

Pan Gore odchodzi do pana Jefferiesa, zostawiając mnie samego z Numerem 21, i nawet dla mnie nasze milczenie wydaje się niezręczne.

– Przegapiłeś dobry film – mówię. – Gwiazdy z bliska wyglądają zupełnie inaczej niż z oddali. A niektóre gromady sprawiają wrażenie, jakby jakiś olbrzym wetknął swój wielki paluch we wszechświat i wszystkim zamieszał. Plotę głupoty?

Russ patrzy na przejeżdżające samochody i nie odpowiada.

– Czemu wyszedłeś? – pytam.

– Możemy o tym nie rozmawiać?

– Jasne. – Rozumiem, gdy ktoś woli nic nie mówić. Naprawdę to rozumiem.

** The Franklin Institute – multimedialne muzeum nauki.

Kucharki w stołówce po raz pierwszy podają marchewkę pod koniec września. Czekam, aż rozpocznie się wyrzutka, nie spuszczać z oczu Terrella, ale pierwszy podchodzi chłopak, którego nie znam. W przydużej koszulce drużyny Orłów wygląda jak karzeł z zadziorną miną. Kiedy napotykam jego wzrok, chłopak mówi:

– Czas nakarmić króliki. – Próbuje zepchnąć na mój talerz pomarańczową papkę, ale wtedy Russ grzmi:

– NIE JESTEŚMY KRÓLIKAMI!

Nie jest tak rozgorączkowany jak w kinie IMAX. Jest zwyczajnie wściekły. Wygląda przerażająco, z dzikim błyskiem w oku i szaleńczą nutą w głosie. Nie wspominając o jego wzroście.

Chłopak odskakuje przestraszony i upuszcza talerz na podłogę.

Wszyscy w stołówce odwracają się i patrzą na nas.

Głucha cisza.

Najpierw szeroko otwieram oczy, a potem zaczynam się uśmiechać. Nie muszę się martwić o swojego nowego kolegę. Sam umie się o siebie zatroszczyć – i być może o mnie też.

Już nigdy więcej nikt nie próbuje zwalić marchewki na talerz Numeru 21 albo mój.

Przez całą jesień Numer 21 nie odstępuje mnie na krok. Nawet w weekendy przychodzi popatrzeć, jak trenujemy z Erin, ale ani razu nie dotyka piłki i nie mówi do nas niczego sensownego.

Po prostu zawsze z nami jest.

Kilka razy zabieramy go do centrum handlowego i do kina. Jestem ciekawy, czy coś wyprowadzi go z równowagi i sprawi, że się wścieknie jak wtedy przy zrzucaniu nam marchewki, ale wyraz jego twarzy zdaje się nigdy nie zmieniać. Nie śmieje się głośno razem z nami ani nawet się nie uśmiecha. Kręci się przy nas, a ponieważ Erin i ja jesteśmy dość tolerancyjni, nie przeszkadza nam to – robimy się jednak ciekawscy.

Na dachu mojego domu, kiedy jesteśmy sami, Erin wypytuje mnie o Numer 21, lecz ja tylko wzruszam ramionami. Nie mówię jej tego, co przekazał mi trener, choć to i tak niewiele. Obiecałem mu, że tego nie zrobię, więc nie robię.

– Czy mówi coś ciekawego, gdy nie ma mnie w pobliżu? – pyta Erin.

– Raczej nie – odpowiadam. To prawda, może dlatego że nigdy nie zadaję mu żadnych pytań.

– Jak myślisz, co z nim jest?

– Niektórzy ludzie po prostu są cisi, jak ja.

Erin się uśmiecha.

– Cisza jest bardzo pociągająca.

Nagle usta Erin dotykają moich i czuję, jak robią się gorące i śliskie. Po chwili Erin odsuwa się ode mnie i mówi:

– Milczenie mi nie przeszkadza, ale Russ ciągle jest przy nas. Rzadko kiedy zostajemy sami.

– To problem?

– Trochę tak. Całe szczęście nie siedzi z nami na dachu.

Znów się całujemy. Gorąca słodycz.

Po jakichś dziesięciu minutach całowania odpływam myślami i zaczynam się zastanawiać, dlaczego Numer 21 nie wspomniał o kosmosie od czasu naszego pierwszego spotkania. Uznaję jednak, że najlepiej będzie do tego nie wracać, bo całkiem nieźle radzi sobie w Belmont i nie chcę tego zepsuć. Starania, by jakoś przetrwać, mogą być wystarczająco trudne. A co więcej, nie zamierzam wywołać kolejnego napadu złości, takiego jak w IMAX-ie.

Szanuję prywatność.

Lubię też całować Erin, dlatego postanawiam skupić się na tym, co tu i teraz.

Pod koniec października, pewnego wieczoru, gdy wracam od Erin, zza drzewa wyskakuje Numer 21.

– Możemy posiedzieć u ciebie na dachu? – pyta.

Jest późno, ale jest też piątek, więc kiwam głową twierdząco.

Już mnie nie dziwi, że Numer 21 mnie śledzi. Tak po prostu ma. Zresztą tak jak powiedziałem wcześniej, daje mnie i Erin trochę wolności, kiedy jest nam potrzebna.

Kierujemy się w stronę mojego domu. Numer 21 ma ze sobą białe pudełko przewiązane sznurkiem i torbę na ramię. Jest trochę niespokojny i co chwilę szeroko otwiera usta, jakby rozciągał szczękę albo ziewał jak lew, tylko że wcale nie wygląda na zmęczonego.

Gdy wchodzimy do środka, tata właśnie zakłada kurtkę i szykuje się do pracy. Ma zrezygnowaną, nieszczęśliwą minę, którą przybiera zawsze wtedy, kiedy myśli, że nie patrzę, albo kiedy jest zbyt zmęczony, by udawać. Widząc nas, mówi:

– Czy twoi dziadkowie wiedzą, że tu jesteś, Russ?

– Tak, proszę pana – odpowiada Numer 21. – Dziadek przyjedzie po mnie za godzinę.

– Co masz w tym pudełku? – pyta tata.

– Babeczki – mówi Numer 21.

– Naprawdę?

Numer 21 kiwa głową.

– No cóż, idę do pracy.

Dziadek znowu siedzi nieprzytomny na wózku, martwy dla świata, trzymając w jednej ręce puszkę piwa, w drugiej różaniec babci, a na kolanach pilota. Ogląda telezakupy. Właśnie leci reklama produktu do czyszczenia, który zachwala Magic Johnson, zapewniając: „Jest zupełnie taki jak ja – magiczny!” za każdym razem, gdy tylko hostessa usunie płamę z kanapy lub dywanu za pomocą „magicznego” urządzenia w kształcie różdżki. Tata mówi:

– Chciałbym móc sobie pooglądać, jak najlepszy rozgrywający w historii Lakersów upokarza się na kablówce, ale ktoś w tym domu musi płacić rachunki, więc hej-ho! Do pracy by się szło!

Numer 21 śmieje się z dowcipu, co sprawia, że tata się uśmiecha i unosi dłoń. Przybijają sobie obciachową piątkę, po czym tata wychodzi.

– Znikajcie, stare produkty do czyszczenia – oznajmia Magic Johnson, rzucając starymi butelkami po środkach czyszczących jak piłką do odległego kosza na śmieci. – Nadchodzi Magia. Magia! Plamy, lepiej się strzeżcie! Magia! Magia! Magia!

Magic Johnson wygląda staro.

– Chodźmy – mówię.

Numer 21 idzie za mną do mojego pokoju.

Otwieram okno i wychodzimy na dach. Jest zimno, ale nie najgorzej. Może jak przy otwartych drzwiach lodówki.

Kiedy już siedzimy, Numer 21 otwiera pudełko i, co dziwne, małe opakowanie świeczek urodzinowych. Dwie babeczki są z cukierni. Ponieważ światło w moim pokoju nadal jest włączone, widzę, że ktoś namalował na nich lukrem rakiety kosmiczne. Zaczynam się bać powtórki z IMAX-a.

Numer 21 głęboko wbija po świeczce w każde ciastko, tak że knot wystaje w miejscu, gdzie z rakiety wydobywałyby się płomienie.

Odpala knoty zapalniczką i mówi:

– STS-120. T minus dziesięć sekund. Osiem sekund. T minus pięć sekund. Cztery. Trzy. Dwa. Jeden. Start wahadłowca Discovery. Otwarcie harmonii w niebie i nowych dróg dla międzynarodowej nauki.

Zaczyna śpiewać *Sto lat*. Ma szalone, dzikie, nieokiełznane spojrzenie.

– Sto lat, sto lat niech żyje nam! – śpiewa i zdmuchuje świeczki, po czym podaje mi babeczkę.

– Dla ciebie mam waniliową, a dla siebie czekoladową. – Odgryza wielki kęs swojego deseru.

Zastanawiam się, czy z tą wanilią i czekoladą to żart. Numer 21 się nie śmieje, więc mówię:

– Wszystkiego najlepszego. Nie wiedziałem, że...

– Na dzień przed ukończeniem mojej piętnastej podróży wokół Słońca ojciec nie odwozi mnie do szkoły – mówi Numer 21 bardzo poważnym tonem. – Właściwie to kierujemy się w przeciwną stronę. Gdy pytam go, gdzie jedziemy, tylko się śmieje. Dojeżdżamy do lotniska

i kiedy przejdziemy przez odprawę, uświadamiam sobie, że lecimy na Florydę. Pytam więc: „Dotrzymujesz słowa, tato?”. Gdy puszcza mi oko, serce zaczyna mi walić, bo dokładnie wiem, gdzie lecimy. Lądujemy na Florydzie i jedziemy do hotelu. Tata nie musi mi nawet potwierdzać, bo wiem, że chce spełnić swoje i moje największe marzenie.

Przy podmuchu wiatru kilka suchych i kruchych liści, które nadal wiszą na drzewach, trzęsą się i szeleszczą. Przechodzi mnie słaby dreszcz.

– Następnego dnia udajemy się do miejsca widokowego i widzę go: wahadłowiec Discovery. Ogromna maszyna jest oparta o wieżę i dzieli nas tylko niewielki zbiornik wody. Czekamy, jak mi się wydaje, całą wieczność, aż wystartuje, zastanawiając się, czy nastąpią jakieś komplikacje. Wahadłowiec rusza dwadzieścia minut przed dwunastą i wszędzie rozbrzmiewa ten niesamowity huk odpalonych rakiet, a wtedy spod maszyny eksplodują ogromne chmury i nieskończenie kłębią się na horyzoncie. Statek powoli się wznosi... pchany w górę czymś, co wygląda jak jaskrawy stożek pomarańczowej lawy, za którym formuje się długa wieża chmur. To prawdopodobnie najpiękniejsza rzecz, jaką w życiu widziałem. Pamiętam, że gdy tak staliśmy i patrzyliśmy, ojciec objął mnie ramieniem. Kiedy było już po wszystkim, żaden z nas nie odezwał się przez bardzo długi czas. Staliśmy po prostu i tylko się uśmiechaliśmy. To były moje najlepsze urodziny w życiu. Najszczęśliwszy dzień mojego życia.

Kiedy Numer 21 kończy swoją opowieść, nie wiem, co powiedzieć. A więc dlatego tak mu odbiło podczas wycieczki.

– Jedz babeczkę – mówi do mnie.

Pochłaniam ją w kilku kęsach. Waniliowa. Wilgotna. Pyszna. Tak słodka, że bolą mnie od niej zęby.

Przez pewien czas siedzimy w milczeniu.

– Chcesz zobaczyć ten start? – pyta Numer 21.

– Jak?

– Na YouTube – odpowiada, jednocześnie wyciągając laptopa ze swojej torby. – Ściągnąłem, zanim tu przyjechałem.

Oglądamy krótki filmik. Numer 21 przytoczył słowo w słowo wszystkie zapowiedzi startu nagrane na klipie z YouTube – całą

formułkę o harmonii nieba i drogach. Zastanawiam się, ile razy widział już to nagranie.

– Twój tata interesował się kosmosem? – pytam.

– Był nim zafascynowany. Bez przerwy o nim czytał. Był wielkim fanem *Star Treka*. Uwielbiał wątek „ostatecznej granicy”. Mieliśmy też kilka teleskopów o dużym zasięgu. Zostały na Zachodzie.

Numer 21 patrzy mi w oczy i mam wrażenie, że podejmuje jakąś decyzję. To dziwne. Nigdy przedtem nie powiedział mi tyle o swojej przeszłości. Wydaje mi się, że i tak opuścił już gardę dużo niżej, niż planował. Wtedy jednak wyraz jego twarzy się zmienia i tak po prostu znów gdzieś znika.

– Ojciec wysłał mi dziś telepatyczną kartkę urodzinową. Mówi, że ma dla mnie prezent, ale z powodu nieprzewidzianego deszczu meteorów w galaktyce, o której istnieniu wy, Ziemianie, nie macie nawet pojęcia, spodziewa się, że opóźni swoje przybycie o kilka ziemskich dni w stosunku do pierwotnego planu odebrania mnie. Wygląda więc na to, że spędzimy razem trochę więcej czasu, Ziemianinie zwany Finleyem.

Jakaś część mnie chce demaskować tę grę i zadać mu kilka bezpośrednich pytań, zwłaszcza po tym, co mi dziś powiedział. Przyszedł tu nieproszony. Bez namawiania opowiedział mi historię o swoim ojcu. Nie mam wątpliwości, że chce o tym wszystkim rozmawiać. Jednak z jakiegoś powodu nie pytam go o nic. Może to po prostu moja natura, by milczeć, kiedy się waham, czyli zawsze, ale czuję, że powinienem zadawać pytania – że rozmowa by pomogła. I mimo to zdaję sobie sprawę, że Russ rozmawia ze mną pewnie dlatego, że nie zadaję pytań i pozwalam mu żyć tak, jak sobie chce. Nie przeszkadza mi, że jest Numerem 21, i lubię go też jako Russella.

Zamiast rozmawiać, po prostu leżymy na plecach i patrzymy w niebo, mimo że jest pochmurno i nie widać nawet księżyca.

Kiedy jego dziadek podjeżdża pod dom, Numer 21 mówi:

– Dzięki, że zjadłeś ze mną babeczki, Ziemianinie.

Odprawiam go przez mój pokój, po schodach i do drzwi.

Przed wejściem do samochodu Numer 21 odwraca się na chwilę i zwraca się do mnie:

– Chciałbym, żebyśmy mogli razem podróżować po kosmosie,

Finley. Twoja obecność jest uspokajająca. Sto lat niech żyję ja! I dziękuję.

– Trzymaj się, stary – mówię, gdy odjeżdża.

Próbuję w swoim pokoju czytać *Kupca weneckiego* na angielski, co okazuje się dość trudnym zadaniem, kiedy nagle coś uderza w okno. Rozbryzgane pozostałości śnieżki zjeżdżają po szkle. Podnoszę szybę i do środka wdziera się zimne powietrze, a po chwili dostaję w twarz kolejną śnieżką.

– Bitwa! – krzyczy Erin z drugiej strony ulicy.

Zakładam kurtkę oraz buty i zbiegam po schodach.

– Gdzie się pali? – pyta tata, kiedy mijam go w salonie.

Erin trafia mnie w pierś, jak tylko wychodzę za drzwi.

Z nieba szybko spadają wielkie płatki i cała okolica pokryta jest śniegiem. Za każdym razem, gdy pojawia się śnieg, dzieje się tu coś magicznego. Okolica robi się bardzo cicha i wszystkie śmieci, potłuczone szkło i graffiti przynajmniej na trochę chowają się pod białym puchem. Jest za wcześnie na śnieg, co sprawia, że wieczór jest jeszcze piękniejszy – jakby to był niespodziewany prezent.

Podczas gdy ubijam zebrany śnieg w kulę, Erin trafia mnie trzy razy i nie mam już wątpliwości, że przygotowała sobie zapas amunicji. Kiedy w końcu mam gotową kulę, biegnę do Erin i w nią celuję. Pudłuję, bo Erin robi unik, postanawiam więc ją przewrócić, ale nie za mocno, bo na ziemi nie leży aż tak gruba warstwa puchu. Na początku nie stawia wielkiego oporu, lecz potem próbuje się ze mną siłować, wobec tego łapię ją za nadgarstki, dociskam jej ręce do ziemi łokciami i całujemy się.

Nasze usta są teraz najcieplejszymi punktami na Ziemi.

– Czy to nie wspaniałe? – mówi. Śnieg przelatuje mi koło uszu i opada wokół jej głowy.

– Tak.

– Chodźmy na dach i całą noc patrzmy, jak pada.

– Dobrze.

Widzimy dwa zbliżające się reflektory, co jest trochę dziwne, bo większość tutejszych boi się prowadzić po śniegu.

Kiedy wstajemy, poznaję, że to ford trenera.

– Co on tu robi? – pyta Erin.

– Nie wiem.

Trener parkuje powoli, opuszcza szybę i pyta:

– Finley, przejedziesz się ze mną po okolicy?

Spoglądam na Erin i wzruszam ramionami.

– Pójdę rzucić śnieżką w dziadka – mówi Erin. Naprawdę podnosi jedną ze swojej sterty, po czym truchtem rusza w stronę mojego domu. Zastanawiam się, czy naprawdę rzuci nią w staruszkę, co mogłoby jej ująć na sucho, bo dziadek ubóstwia Erin tak samo jak ja.

Wsiadam do samochodu. Podmucha ciepłego powietrza szczypie mnie w koniuszki palców, kiedy próbuję je ogrzać.

Trener nie wiezie mnie po okolicy.

– Jak się miewa Russ? – pyta.

– W porządku.

– Rozmawiałeś z nim o grze w kosza?

– Mhm. – Kłamię. Od swoich urodzin zrobił się jeszcze bardziej milczący i mam wrażenie, że raczej nie ma ochoty rozmawiać o grze, jak i o niczym innym, więc daję mu spokój. Trener nie chce jednak o tym słyszeć.

– I co powiedział?

– Właściwie to nic.

– Nic?

– Nic.

– Co mówi o koszykówce?

– Nie sądzę, żeby chciał grać.

– Russ ci to powiedział czy tak ci się tylko wydaje?

– Jego stan nie jest stabilny.

– Zamieniłeś się w psychiatrę, Finley?

Trener nigdy wcześniej nie mówił do mnie w podobny sposób. W jego głosie pobrzmiewa sarkazm i wiem, że jest mną poirytowany, co mnie złości, bo codziennie chodzę do szkoły z Numerem 21, codziennie jem z nim lunch i pozwalam mu od dwóch miesięcy być moim cieniem. A teraz trener przerwał mnie i Erin chwilę intymności.

– Nie, proszę pana – odpowiadam.

– Oczekuję, że jutro po szkole Russ pójdzie na badanie do gabinetu pielęgniarek, a w piątek pokaże się na zbiórce drużyny. Zrozumiano?

– Tak.

– Kiedy zobaczysz, jak gra, zrozumiesz, dlaczego to takie ważne.
Zaufaj mi.

– Okej.

W ciemności trener wyciąga do mnie rękę i ściska mnie za ramię.

– Dziękuję, Finley. Tu chodzi o coś więcej niż tylko o koszykówkę. Więcej niż o drużynę. Russ cię lubi. Pomagasz mu.

Nie wiem, co powiedzieć, bo na moje oko wcale Russowi nie pomagam i wcale mu się nie polepsza.

– Pozdrów ode mnie swoją rodzinę – mówi trener.

Kiwam głową, po czym biegnę do domu wśród spadającego śniegu.

Erin ogląda mecz Philadelphia 76ers z tatą, a koszulka dziadka jest cała mokra, stąd wiem, że Erin naprawdę rzuciła śnieżką w staruszka.

– Kobitka ma charakter! – woła do mnie dziadek.

Tata wybucha śmiechem.

– Wpadła do domu i rąbnęła dziadka prosto w pierś!

– Gdybym tylko miał nogi...

– Jasne – wcina się Erin. – Stara śpiewka z nogami.

Niewiele jest osób, które mogą mówić do dziadka w taki sposób, ale Erin jest dla nas wyjątkowa. Spędziła tu tyle czasu. Jest członkiem rodziny.

– Chodź, Finley – mówi Erin.

Znów jesteśmy na dachu i patrzymy, jak całe Bellmont robi się białe – płatek po płatku.

– Czego chciał trener? – pyta Erin.

– Uważa, że powinienem zachęcić Russa do gry w koszykówkę – odpowiadam.

– Fajnie – mówi Erin i kładzie się na mnie.

Do rana cały śnieg topnieje, więc dzień nie jest już biały.

Kiedy idziemy do szkoły, Erin mówi:

– Russ, chciałbyś grać w koszykówkę?

– Nie wiem – odpowiada Russ.

Przyglądam się jego twarzy, gdy wciąga wargę między zęby. Kątem oka spogląda na mnie, prawie jakby pytał o pozwolenie. Wiem,

że powinienem zachęcić go do gry, jednak z jakiegoś powodu nie robię tego.

– Dziś po szkole wszyscy mają badania u pielęgniarki – podejmuje Erin. – Lepiej weź w nich udział, tak na wszelki wypadek. Możesz iść razem z Finleyem.

Russ potakuje.

Ja się nie odzywam.

Obaj pozytywnie przechodzimy badanie, ale nie rozmawiamy o koszykówce.

W dzień pierwszej zbiórki przed rozpoczęciem sezonu pan Allen dzwoni, by nas uprzedzić, że Russa nie będzie, bo jest chory. To pierwszy dzień szkoły, który opuścił, i zastanawiam się, czy to ma coś wspólnego z drużyną.

Po szkole zbieramy się w stołówce i trener szybko wręcza nam formularze zgody dla rodziców i grafik treningów, które rozpoczną się dzień po Święcie Dziękczynienia. Już samo włożenie kartek do plecaka daje mi kopa, bo ten moment to pierwsze związane z koszykówką doświadczenie w tym sezonie.

Po spotkaniu, kiedy moi koledzy z drużyny w pośpiechu biegną na stadion na trening futbolu, trener mnie zagaduje:

– Możemy porozmawiać, Finley?

Zostaję w środku i kiedy jesteśmy już sami, trener pyta:

– Co Russ mówił ci o koszykówce?

Znowu to? Czemu trener nie zostawi tego w spokoju?

– Mamy badania – odpowiadam.

– W porządku. Ale chłopak nie chciał dziś przyjść do szkoły. W dzień pierwszej zbiórki. Jego dziadkowie mówią, że znów plecie, że rodzice przylecą po niego statkiem kosmicznym.

Patrzę, jak woźny opróżnia kosze na śmieci na drugim końcu stołówki.

– Powiedziałeś mu, że powinien grać w kosza? Zachęcałeś go, Finley?

– On nie chce o tym rozmawiać – mówię. – W ogóle niewiele rozmawiamy.

Trener wzdycha i robi zniesmaczoną minę.

– Posłuchaj. Po prostu upewnij się, że będzie na pierwszym treningu. Zobaczymy, jak zareaguje na bycie częścią drużyny, intensywne ćwiczenia, powrót do tego, co kiedyś było dla niego normalnością. Potrzebuje ustalonego porządku. Nawet jeśli nigdy nie zagra w meczu, już sam fakt, że będzie częścią drużyny, może pomóc. Ty najbardziej ze wszystkich powinieneś to rozumieć.

Muszę przyznać, że zaczynam się nieźle wkurzać na trenera. Dlaczego nie męczy Terrella albo Wesa, albo innych zawodników z pierwszego składu i nie każe im pomagać Numerowi 21? Dlaczego to tylko moja misja? Ja chcę jedynie grać w kosza.

– Wiem, że mnie nie zawiedziesz – mówi trener, po czym dwa razy delikatnie klepie mnie po policzku.

W Święto Dziękczynienia musimy założyć rękawiczki, szaliki i czapki.

Erin, Numer 21 i ja pijemy gorącą czekoladę i oglądamy, jak nasza drużyna przegrywa ostatni mecz sezonu na własnym boisku.

Miejscowi lubią futbol, jednak atmosfera nigdy nie jest tak gorąca jak podczas meczów koszykówki. Jest Święto Dziękczynienia, więc nastroje są trochę bardziej ożywione, ale nie wyjątkowo. Po prostu Belmont nie jest futbolowym miastem.

Występ naszej orkiestry dętej jest za to naprawdę super. Grają utwory Michaela Jacksona, a ich koncert kończy się fantastyczną wersją *Thrillera*, łącznie z tańcem zombie.

Numer 21 siedzi z nami w mniejszej, głównie białej części stadionu, przez co trochę wyróżnia się z tłumu, jednak nikt tego nie komentuje.

Nie żeby nasz stadion był podzielony celowo, ale mieszkańcy Belmont zwykle siedzą wśród ludzi, do których są podobni, i tak jest od zawsze.

Nasza trójka wiwatuje, kiedy drużyna przeprowadzi dobrą akcję, lecz poza tym nie odzywamy się za wiele. Przez cały czas chcę zapytać Numer 21, czy będzie jutro próbował zakwalifikować się do drużyny, ale jednocześnie boję się to zrobić.

Gdy Terrell rzuca przejęcie w ostatniej kwarcie, zespół z Belmont kończy mecz z wynikiem dwa do sześciu, czym nie kwalifikuje się do fazy play-off. Żaden z kolegów z drużyny nie odniósł kontuzji, uznaję więc sezon futbolowy za zakończony sukcesem i wiem, że trener uważa podobnie.

Kiedy schodzimy z trybun, wpadamy na panią Patterson, największą fankę koszykówki w Belmont i matkę Terrella, która ma na sobie czapkę w panterkę i skórzany płaszcz przypominający szlafrok. Jest bardzo szykowna. Na mój widok krzyczy:

– Biały Króliku! Podejdź no tu!

Podchodzę do pani Patterson, która ściska mnie na powitanie i całuje w oba policzki. Do swoich koleżanek ubranych w drużynowe

koszulki naciągnięte na kurtki – mam zawodników, którzy nie grają w kosza – pani Patterson mówi:

– Znacie syna Pata McManusa? Teraz czas na prawdziwy sezon. Koszykówkę! Ten młody człowiek będzie podrzucał piłki mojemu synowi, a ja będę kibicować Białemu Królikowi i Terrellowi w mistrzostwach stanowych. Dobrze mówię, Króliku?

– Tak, proszę pani.

– Proszę, jaki grzeczny. Jak jego tata w liceum – stwierdza kobieta z ciemnofioletowymi pasemkami. Pozostałe kobiety śmieją się i zgodnie pomrukują.

– No dobrze, Biały Króliku – mówi mama Terrella, skinąwszy z szacunkiem, ale oschle w stronę Erin, która stoi razem z Numerem 21 trzy metry dalej. – Biegnij już do swojej dziewczyny i swojego wysokiego, milczącego cienia. No już.

Na parkingu spotykamy trenera, który stoi razem z innymi nauczycielami z Bellmont i pije piwo z papierowego kubka, udając, że my, uczniowie, nie wiemy, co w nim jest. Zapowiada, że zobaczymy się rano, czyli kiedy oficjalnie rozpoczyna się sezon koszykówki, życzy Erin powodzenia, po czym mówi, że odwiezie Numer 21 do domu, bo je dziękczynny obiad u Allenów.

W końcu sami, Erin i ja, wracamy na naszą ulicę, trzymając się za ręce.

Kilka drzew, które nam tu pozostało, zrzuciło już liście, ale ponieważ nikt w okolicy ich nie grabi, nasze kroki do domu chrzęszczą.

– Wiesz co? – zagaduje Erin. – Może moglibyśmy zostać razem w tym sezonie. Może nie musimy się rozstawać.

Nie odzywam się.

Erin i ja co roku odbywamy tę samą rozmowę.

Erin twierdzi, że będziemy mieli tyle zajęć, że to, czy pozostaniemy parą, czy nie, nie będzie miało znaczenia. Ja natomiast uważam, że podczas sezonu związek rozprasza, a nie ma możliwości, bym mógł się z nią tylko przyjaźnić. Jeśli codziennie będę ją widywał w czasie lunchu, przed szkołą albo przy swojej szafce, to będę tylko chodził napalony i nie skupię się na grze w stu procentach, co spowoduje konflikt interesów. A jeśli będziemy się całować u mnie na dachu albo

trzymać za rękę, to wszystko już z pewnością sprawi, że nie skoncentruję się na swoim celu. Przy nawale nauki i dziadku, którym muszę się zajmować, psychicznie nie podołam temu, żeby w trakcie sezonu mieć jeszcze dziewczynę.

Uwielbiam całować i przytulać Erin, trzymać ją za rękę, czuć brzoskwiniowy zapach jej włosów po prysznicu – niemal tak bardzo, jak kocham zapach potu i skóry, który zimą wypełnia salę gimnastyczną, bycie częścią drużyny i treningi z chłopakami. I choć posiadanie dziewczyny i bycie w zespole wzajemnie się nie wykluczają, zaspokajają ważną potrzebę – może tę samą. Dzięki koszykówce i Erin reszta świata znika – koncentruję się na sobie, zapominam o wszystkim i czuję dopływ endorfin. Najlepiej jest być uzależnionym od jednego lub drugiego. To będzie mój czwarty sezon, kiedy Erin i ja zrywamy. Zawsze potem schodziliśmy się z powrotem, więc dlaczego męczy mnie dziś jakieś dziwne, złe przeczucie?

Gdy staje się jasne, że nie mam zamiaru z nią dyskutować, Erin pyta:

– Nie boisz się, że zacznę się umawiać z kimś innym?

Śmieję się, bo wiem, że żartuje.

Przez całą zimę koszykówka będzie jej chłopakiem, a moją dziewczyną.

– I? – mówi.

– Ty też musisz się skupić na swoim sezonie.

Wie, że to prawda, bo w głębi duszy Erin też chce się skoncentrować wyłącznie na koszykówce. Po prostu na dzień przed rozpoczęciem sezonu potrzebuje trochę więcej uwagi.

– Możemy przynajmniej chodzić razem do szkoły i rozmawiać? Siedzieć razem w czasie lunchu. Nie jesteś trochę zbyt radykalny? – Erin uśmiecha się zalotnie. Pogrywa sobie ze mną. Wiem, że rozumie, dlaczego zrywamy.

– Muszę być w pełni skoncentrowany – odpowiadam. Myślę o tym, że Numer 21 może rzeczywiście z nami zagrać. – Zwłaszcza w tym roku.

– Dlaczego?

Wzruszam ramionami, bo nie wolno mi wyjawiać jej prawdy.

Lekko szturcha mnie łokciem w żebra.

– Dlaczego powiedziałeś, że w tym roku?

Nie wiem, co jeszcze dodać.

– Dlaczego się tak dziwnie zachowujesz? – pyta Erin, ale kiedy to mówi, ściska moją dłoń, więc wiem, że nie jest na mnie zła.

Postanawiam pocałować ją w usta i ponieważ oficjalnie sezon koszykarski jeszcze się nie rozpoczął, robię dokładnie to, co sobie zamierzyłem.

Erin i ja jemy dziękczynny posiłek u jej rodziców. Jadalnia jest niezwykle wąska i trudno odsunąć składane krzesła, żeby usiąść. Każde krzesło pochodzi z innego kompletu, a stół jest bardzo stary i odrapany. Sztuce do siebie nie pasują i są tandetne. Rodzice Erin siedzą ubrani w przygnębiające dresy – mama w różowy z Myszka Minnie, a tata w granatowy bez nadruków.

Rod jest z nami i muszę przyznać, że trochę mnie onieśmiela, zwłaszcza że wiem, co podobno zrobił Donowi Little'owi.

– Ktoś z okolicy cię zaczepia? – pyta Rod podczas obiadu.

– Nie – odpowiadam. Rod ma tatuaż na karku. Jakiś tekst, chyba po irlandzku. Nie znam irlandzkiego.

– A ciebie, Erin? – zwraca się do siostry.

– Nie – mówi Erin. – Grasz jeszcze w kosza, Rod?

– Nie.

Jego odpowiedź sprawia, że robię się trochę smutny, bo gdy byliśmy młodszy, Rod grał z nami cały czas i był świetnym rozgrywającym. Tata często zabierał mnie, żebym popatrzył, jak gra, kiedy Rod chodził jeszcze do Belmont High i należał do drużyny trenera. Rod był naprawdę niezły. Raz widziałem nawet, jak zdobył *triple-double**** w meczu przeciwko Pennsville – szesnaście asyst, osiemnaście punktów, dziesięć zbiórek.

– Będziecie mieć w tym roku dobrą drużynę? – pyta mnie.

– Tak myślę – odpowiadam. – Erin też.

– Trener to właściwie jedyny porządny czarny, jakiego spotkałem – stwierdza Rod, ignorując moją wzmiankę o jego siostrze. – A to naprawdę coś mówi.

Erin otwiera usta, bez wątpienia po to, by zwrócić mu uwagę za tę rasistowską odzywkę, ale po chwili sobie odpuszcza. Nie chce, żeby rodzina zaczęła się kłócić w Święto Dziękczynienia, zwłaszcza że Rod rzadko ich odwiedza, czym Erin bardzo się przejmuję. Tęskni za Rodem – za dawnym Rodem, który grywał z nami w kosza, kiedy byliśmy dziećmi. Wtedy nigdy nie rzucał takich rasistowskich tekstów.

Też chcę coś powiedzieć, na przykład: „Znam wielu porządných

czarnych”, ale znam też swoje miejsce w tej okolicy. Prawda jest taka, że tak jak inni boję się nowego wytatuowanego Roda, członka irlandzkiej mafii.

Przez kilka minut jemy w ciszy.

Rodzice Erin są trochę starsi od mojego taty i to też jest dziwne. Jej tata jest milczący jak ja i w trakcie posiłku unika kontaktu wzrokowego. Jej mama to nerwowa kobieta, która tyle razy kursuje do kuchni i z powrotem, że nigdy właściwie nie siedzi przy stole wystarczająco długo, żeby spokojnie zjeść, a co dopiero z kimś porozmawiać.

Rodzice Erin wyglądają trochę jak para pomarszczonych, przygnębionych zombie. Brzmi to zabawnie, ale tak właśnie jest. Żadne z nich nie ma w sobie zbyt wiele życia.

W pewnym sensie ich dom jest odrobinę ładniejszy niż mój. Mają nawet płaski telewizor, komputer i dostęp do internetu, zastanawiam się jednak, ile z tego to zasługa Roda, zwłaszcza że pan Quinn od dawna jest na bezrobociu, a pani Quinn pracuje w ratuszu jako sekretarka, więc nie zarabia kokosów. W Belmont niektórych pytań po prostu się nie zadaje, bo nikt nie chce znać odpowiedzi.

– Dołożę ci mięsa – to najdłuższa wypowiedź pani Quinn skierowana do mnie, wygłoszona przez cały posiłek.

Erin chce skłonić nas wszystkich do mówienia, pytając każdego, za co jest wdzięczny.

– Za indyka – mówi tata.

– Rodzinę – mówi mama.

– Guinnessa i Jamesona – mówi Rod.

– Za koszykówkę – mówię ja.

– Za Finleya – mówi Erin.

– I za Erin – dopowiadam.

– I za koszykówkę – dodaje Erin.

Erin i ja spoglądamy sobie w oczy.

Rod prycha i kręci głową.

Posiłek kończymy w ciszy.

Gdy tylko Rod połyka ostatni kawałek placka dyniowego, wychodzi.

Pan i pani Quinn zasypiają na kanapie.

Kiedy Erin i ja kończymy zmywać i wycierać naczynia, idziemy do mnie, gdzie dziadek znów przysypia pijany na wózku, z zielonym różańcem babci w dłoni, jak zresztą w każde święto, bo podczas szczególnych okazji dziadek jeszcze bardziej tęskni za żoną.

Dajemy tacie talerz jedzenia, które zapakowała mu Erin, i siedzimy razem z nim, kiedy je.

– Za co jest pan wdzięczny? – pyta Erin.

– Za to, że mój syn ma taką wspaniałą przyjaciółkę – odpowiada tata. – I za ten talerz przepysznego jedzenia.

Erin się uśmiecha.

– Jesteście gotowi na rozpoczęcie sezonu? – pyta tata.

– No pewnie – mówi Erin.

– Jak ja bym chciał nadal grać w koszykówkę w liceum. – Spojrzenie taty robi się smutne i nieobecne, może dlatego że w tamtych czasach umawiał się z mamą.

Nikt się więcej nie odzywa i tata kończy jedzenie.

Kiedy znika jego kawałek placka, Erin i ja idziemy do mojego pokoju i wychodzimy na dach. Bierzemy ze sobą kołdrę, owijamy się w gigantyczny kokon i wdychamy rześkie jesienne powietrze, przez które znów myślę o otwartych lodówkach.

Zaplanowałem sobie, że będę się całować z Erin przez pół godziny bez przerwy, bo to ostatni raz, kiedy możemy się całować przed trzymiesięcznym sezonem. Jeśli moja lub jej drużyna zajdzie daleko w fazie play-off, mogą minąć nawet cztery miesiące, zanim znów poczuję usta Erin, więc błędzę dłońmi pomiędzy jej silnymi, gładkimi plecami a koszulką, próbuję się skoncentrować na byciu dziś ze swoją dziewczyną i zapomnieć na chwilę o sporcie.

– Co się dzieje? – w końcu odzywa się Erin. – Jesteś zupełnie nieobecny.

– Denerwuję się jutrem – odpowiadam.

Wiatr wieje mocno i zaczynam drżeć z zimna, mimo że Erin leży na mnie, a jej ciało jest bardzo ciepłe.

– Dlaczego? – pyta. – Rozgrywasz w pierwszym składzie już od dwóch sezonów. Trener cię uwielbia. Jesteś w najlepszej jak dotąd formie i tak ciężko pracowałeś poza sezonem. Zrobiłeś wszystko, co w

twojej mocy, żeby się przygotować. To będzie dla ciebie świetny rok. Ciężka praca się opłaca, prawda? Pamiętaj nasze wakacyjne motto.

Kiedy nic nie odpowiadam, Erin dodaje:

– Co się z tobą dzieje? Od kilku tygodni zachowujesz się dziwnie. Lepiej powiedz mi teraz, zanim zerwiemy o północy, bo inaczej będzie cię to zżerać miesiącami.

– Umiesz dochować tajemnicy? – pytam ją, bo ma rację, muszę o tym porozmawiać. Wiem, że zdradzam trenera, i czuję się winny z tego powodu, ale nie potrafię już dłużej dusić tego w sobie.

– Wiesz, że umiem.

Patrzę w jej zielone jak koniczyna oczy i zanim jestem w stanie się powstrzymać, mówię:

– Rodzice Russa zostali zamordowani.

– Co?

– Jest tutaj, ponieważ jego rodzice zostali zamordowani i do tego stopnia mu odbiło, że musiał zamieszkać w ośrodku dla młodzieży z zespołem stresu pourazowego. Kiedy tylko jesteśmy sami, Russ nazywa siebie Numerem 21. Opowiada, że jest z kosmosu i rodzice przylecą po niego statkiem.

Erin otwiera usta, ale nic nie mówi.

– Mówię poważnie. Kiedy zamieszkał z dziadkami, trener powiedział mi o wszystkim i poprosił, żebym pomógł Russowi. Trener przyjaźnił się z ojcem Russa. Russ używa fałszywego nazwiska, bo jest rozgrywającym, na którego mają oko najlepsi rekruterzy. Kiedyś grał w Kalifornii. Trener chciał pomóc Russowi zasymilować się w Bellmont, żeby mógł dla nas grać. Dostanie moją pozycję, Erin. Nie wyjawiałem ci tego, bo trener poprosił mnie, żebym siedział cicho.

– Wow! – mówi Erin. – Naprawdę, wow! To dużo wyjaśnia. Na serio wierzy, że jest z kosmosu?

– Wydaje mi się, że może udawać, ale mówi o tym cały czas.

– Ma ciało sportowca. Każdy by zauważył – stwierdza Erin. – Czemu nie powiedziałaś mi o tym wcześniej?

– Trener mi zakazał – powtarzam.

– Powinieneś był mi powiedzieć. Ja mówię ci o wszystkim. Oboje wiemy, że przez sekrety ludzie grzęzną w Bellmont na zawsze. Chcesz

tu ugrzęznąć? Czy chcesz wyjechać ze mną?

– Wiesz, że chcę być z tobą. Zdecydowanie nie chcę tu zostać.

– Czyli? – Erin naprawdę wydaje się wkurzona.

– Przepraszam, okej?

Spoglądam na niebo. Zasłane jest zbyt grubą warstwą chmur, by cokolwiek dostrzec.

Erin ma rację co do sekretów, ale wie też, że robię wszystko, co każe mi trener.

Kiedy czuję, że napięcie opadło, mówię:

– Nie chcę, żeby Russ odebrał mi pozycję.

– Może trener przesadzał? Może Russ nie jest wcale taki dobry?

– Nie wiem. W tym tkwi problem. Chciałbym wiedzieć, żeby móc wyrobić sobie zdanie.

Erin całuje mnie w czubek nosa.

– Nie wiesz nawet, czy Russ się jutro pojawi. Zgadza się?

– Mam wrażenie, że on wcale nie chce grać.

– Nawet jeśli jutro przyjdzie, to od dawna nie trenował. Nie jest w formie, więc masz nad nim przewagę. Trener nigdy by o tobie nie zapomniał, o całej ciężkiej pracy, jaką wykonałeś dla drużyny, i o tym, co zrobiłeś dla Russa. Trener poprosił cię, żebyś został jego przyjacielem, i dokładnie to zrobiłeś. Dla niego. I założmy, tylko hipotetycznie, że twoje obawy się spełnią. Nawet jeśli stracisz miejsce w pierwszym składzie, a to najgorszy scenariusz, trener wykorzysta cię jako rezerwowego, pierwszego do wejścia do gry, prawda?

– Nie chcę być rezerwowym – mówię. – Chcę być rozgrywającym w pierwszym składzie i kapitanem drużyny.

– Tak jak powiedziałam: graj jutro najlepiej, jak umiesz. Gra to jedyna rzecz, którą możesz kontro-lować.

Całuję ją w policzek, a ona wije się nieco, tak by móc się obniżyć i oprzeć głowę o mój tors.

– Rodzice Russa naprawdę zostali zamordowani? – pyta.

– Tak.

– To niestety wyjaśnia, dlaczego jest taki cichy. Dobry Boże. Zamordowani. – Erin milknie na chwilę. – Czy to dlatego trener wybrał właśnie ciebie do pomocy Russowi?

- To znaczy?
- Nie wiem. Pomyślałam tylko, że... No wiesz...
- Co? – pytam.
- Nieważne – mówi Erin.
- Przepraszam, że nie powiedziałem ci wcześniej, ale trener...
- Jak to się stało?
- Jak co się stało?
- Jak zostali zamordowani rodzice Russella?
- Nie wiem – odpowiadam. – Russ nie lubi o tym mówić. Widzę to

po nim.

- On nie lubi rozmawiać o niczym – zauważa Erin.
- Rozumiem dlaczego – mówię, i to wydaje się kończyć rozmowę. Leżymy tak przez chwilę, oddychając w jednym rytmie, i widzę swój oddech w świetle księżyca.

Czuję, jak moje serce bije tak blisko jej.

– Zdajesz sobie sprawę, że Russ bardzo lubi twoje towarzystwo? – odzywa się Erin. – Drepce za tobą całymi dniami jak zagubiony szczeniak. I sposób, w jaki na ciebie patrzy. Nie widzisz tego, prawda? On cię lubi. Potrzebuje cię. Jesteś dla niego dobrym przyjacielem. Pomagasz mu. Jeśli zgłosi się do drużyny, to pewnie dlatego, żeby mógł się za tobą włóczyć całą zimę. Żebyście nadal spędzali razem czas.

– On chodzi za mną tylko dlatego, że trener mu kazał – mówię. – To jedyny powód.

– Nie, nieprawda, Finley. Robi to, bo jesteś dobrym człowiekiem. Bo łatwo się z tobą przebywa. Bo jesteś, jaki jesteś. Nie stawiasz ludziom żądań i nigdy nie mówisz nic negatywnego. Przenigdy. Tak wielu ludzi wysysa życie ze wszystkich, którzy ich otaczają, ale nie ty. Dajesz ludziom siłę, tylko będąc sobą.

Nie uważam, żeby Erin miała rację, jednak nie mówię tego.

Leżymy na dachu i przytulamy się do północy.

Całujemy się raz jeszcze na schodach przed jej domem, gdy ją odprowadzam.

- Powodzenia w sezonie – mówię.
- W tym roku będziesz świetny – odpowiada.
- Okej. – Robię krok w tył.

- Naprawdę musimy ze sobą zrywać?
- Tylko na kilka miesięcy.
- Będiesz znowu moim chłopakiem, gdy skończy się sezon? –

pyta Erin.

Kiwam głową, choć to łamie zasady. W minionych latach upierałem się, że musimy zerwać naprawdę i że czasowe zawieszenie związku to nie to samo co zerwanie, bo ciągle myślelibyśmy o dniu, kiedy znów się zejdziemy, co odciągałoby nas od myślenia o koszykówce. Tak naprawdę oboje wiemy jednak, że to tylko tymczasowa przerwa. Na pewno spędzimy razem resztę naszego życia.

– Lepiej już pójdę. Musimy się wyspać i dobrze wypocząć przed pierwszym dniem – mówię.

Erin jeszcze raz kiwa głową i wchodzi do środka.

Jestem singlem.

Jestem po prostu zawodnikiem koszykówki – rozgrywającym.

To na pewno będzie ciekawy sezon.

*** *Triple-double* – osiągnięcie przez zawodnika trzech dwucyfrowych wyników punktowych (za rzuty, zbiórki, asysty itp.) w jednym meczu.

SEZON

Czasem największym wyzwaniem dla zawodnika jest zaakceptowanie swojego miejsca w zespole.

Scottie Pippen

Jak we wszystkich poprzednich latach, przychodzę jako pierwszy.

Zaczynamy dziś od wczesnego porannego treningu, ale sala gimnastyczna nie została jeszcze otwarta. Muszę poczekać na trenera przed wejściem.

Jest zimno, a ja mam na sobie spodenki do gry w kosza.

Dwumetrowy Wes Reese idzie w moją stronę z nosem w książce obłożonej brązowym papierem. Próbuje otworzyć drzwi, nawet mnie nie zauważając. Kiedy przekonuje się, że są zamknięte, podnosi wzrok.

– Cześć, Biały Króliku. Nie zauważyłem cię.

– Joł – odpowiadam.

Podnosi książkę.

– Ralph Ellison, *Niewidzialny człowiek*. Dobra rzecz.

Kiwam głową, mimo że nigdy nie czytałem Ralpha Ellisona i jeśli mam być szczery, nie wiem, kto to jest.

Sir i Hakim przychodzą kolejni i wszyscy ściskamy sobie dłonie.

Pojawia się coraz więcej zawodników, ale trenera nadal nie ma.

Terrella podwozi jego brat Mike, który prowadzi bmw po tuningu, z chromowanymi alufelgami i przyciemnianymi szybami. Kiedy odjeżdża, bas z jego stereo dudni mi w piersiach.

– Gdzie trener? – pyta Terrell.

– Nie wiem – odpowiadam.

Ma na szyi złoty łańcuch, z którego zwisa jego numer – 3. To coś nowego, myślę sobie.

Gdy pojawia się zastępca trenera, pan Watts, wiemy, że trener Wilkins jest oficjalnie spóźniony, bo trenerowi drugiego składu nie zdarza się przyjść na czas.

Nasz trener nigdy się nie spóźnia.

Nigdy.

Co się dzieje?

Nagle, kiedy tak stoję z resztą zawodników, dociera do mnie, dlaczego trener się spóźnia.

Oblewa mnie zimny pot.

Próbuje namówić Numer 21, żeby przyszedł na trening.

– Ej, Biały Królik, coś taki spięty? – pyta mnie Terrell.

Kręcę głową i wzruszam ramionami.

– Powinieneś częściej otwierać tę cholerną gębę – odzywa się Hakim. – Słyszę, jak mówisz, tylko wtedy, kiedy omawiasz strategię.

– Co czytasz? – pyta Wesa Terrell.

– Ralpa Ellisona – odpowiada Wes, nie podnosząc wzroku.

– Co to za gość?

– Jeden z najistotniejszych pisarzy afroamerykańskich – wyjaśnia Wes i wiele osób powiedziałoby, że zachowuje się jak burzuj. – To część twojego dziedzic-twa. Autor, którego naprawdę powinieneś przeczytać.

Terrell rzuca pozostałym rozbawione spojrzenie, po czym wrywa Wesowi książkę z rąk.

– Oddawaj – mówi Wes.

Terrell ogląda książkę i po chwili krzyczy:

– *Harry Potter!* Ten głupek czyta o małym czaro-dzieju.

Wszyscy śmieją się z Wesa, nawet trener Watts, ale nie jestem pewien dlaczego.

I co z tego, że Wes czyta *Harry'ego Pottera*?

Komu to szkodzi?

Chcę coś powiedzieć do Terrella, ale mój język nie działa i czuję, że czerwienieje mi twarz.

– Musimy to przeczytać na rozszerzony angielski – tłumaczy się Wes. – To lektura obowiązkowa. To nie moja wina.

– To prawda, Biały Króliku? – pyta mnie Sir.

– Oczywiście – mówię, żeby Wes nie wyszedł na kłamcę, za co ten rzuca mi dziękczynne spojrzenie, po czym wrywa Terrellowi książkę.

– Jacyś czarni w tym *Harrym Potterze*? – pyta Terrell.

– A to ma jakieś znaczenie? – odpowiada Wes.

Zanim Terrell zdąży odpowiedzieć, trener podjeżdża pod szkołę z Numerem 21.

– Patrz, kto przyjechał, Biały Króliku – mówi Terrell. – To twój cień. Myślałem, że Czarny Królik nie gra w kosza.

– Czemu przyjechał z trenerem? – pyta Hakim.

– Nie wiem. – Patrzę w niebo. Wszędzie szaro.

Trener otwiera drzwi sali gimnastycznej i wchodzimy do środka.

Postanawiam ignorować Numer 21 i skupić się na własnych celach. Skoro podczas sezonu nie rozmawiam nawet z Erin, a Erin jest moją najlepszą przyjaciółką od podstawówki, to dlaczego powinienem mieć wyrzuty, że ignoruję Numer 21? Pora na określenie priorytetów. Czas zagrać w kosza. Kumple z drużyny mnie potrzebują.

Prawda?

Jedyny problem jest taki, że rodzice Numeru 21 zostali zamordowani i wiem, że powinienem mu pomagać, ponieważ cierpi.

Kiedy rzucamy do kosza, Numer 21 kręci się wokół mnie, ale ja cały czas jestem w ruchu i zaliczam zbiórki. Nigdy nie przeszkadzało mi posiadanie cienia, lecz teraz obecność Numeru 21 jest ciężarem, jakby mógł mnie spowolnić. Prawie jakbym miał dziewczynę w czasie trwania sezonu i dodatkowe zmartwienie.

Chwytam spojrzenie Russa. Wydaje się bardzo zdenerwowany, przestraszony, co mnie złości, bo jeśli przewidywania trenera są słuszne, Numer 21 jest najlepszym zawodnikiem na sali. Czym więc się martwi?

Gdy trener dmucha w gwizdek, wszyscy siadamy pod ścianą. Numer 21 siada koło mnie, ale ja nawet na niego nie spoglądam. Trener mówi, że ma stroje tylko dla osiemnastu zawodników i w przyszłym tygodniu dokona eliminacji. Pod ścianą siedzi dwudziestu sześciu chłopaków, co oznacza, że ośmiu nie dostanie się do drużyny.

Trener mówi o naszym celu, którym jest zwycięstwo w mistrzostwach stanowych. Mówi o pracy zespołowej, harówce i o tym, jak staniemy się jednością – rodziną. Powtarza wszystko jak co roku.

Słyszałem te słowa tysiące razy, ale mimo to sprawiają one, że czuję się lżejszy, skoncentrowany na celu. Moje serce bije mocniej. Mój umysł chce się wyłączyć. Jakbym popadał w trans.

Sezon to jedyna sprawa w moim życiu, która naprawdę ma sens. Wiąże się z nim jasny cel. Ludzie zbierają się w grupę, żeby go osiągnąć, a miejscowa społeczność to celebrytuje. Koszykówka to jedyna rzecz, która jest tutaj jak trzeba, jedyna rzecz, którą ludzie niezmiennie popierają. Może poza Erin, koszykówka to jak na razie najlepsze, co spotkało mnie w życiu.

Przez chwilę ćwiczymy na całym boisku, ale nie jestem w stanie ani na moment stracić z oka Numeru 21 w mieszaninie linii, bo tak źle

sobie radzi, że wszyscy się na niego gapią.

Jego pierwsze podanie trafia w trybuny.

Pierwsze cztery rzuty oddaje tak, jakby celował dmuchaną piłką lub cegłą.

Obrywa za każdym razem, gdy gra w obronie.

Wygląda okropnie – jakby się upił czy coś.

Nachyla ramiona do przodu i trzyma kolana razem, przez co ma fatalną koszykarską postawę. Cały czas patrzy na lampy, jakby czekał, że oświetli go snop światła ze statku kosmicznego i poniesie w górę, a może po prostu się modli. To oczywiste, że nie chce tu być.

To dziwne, ale nie cieszy mnie ta sytuacja. Zaczynam się naprawdę martwić o Numer 21, bo wygląda tak, jakby za chwilę miał się rozplakać. Tak bardzo się o niego niepokoję, że zaczyna to wpływać na moją grę, i kiedy niedokładnie podaję, trener krzyczy:

– Co z tobą, Finley? Ty też rywalizujesz o miejsce w głównym składzie! Nie ma taryfy ulgowej.

Trener nigdy wcześniej tak na mnie nie krzyczał. Jestem zdenerwowany i dezorientowany.

Żeby trener był zadowolony z mojej gry, zarówno ja, jak i Numer 21 musimy dobrze grać, co wydaje mi się nie w porządku. Jestem połączony z Russem w sposób, który nie dotyczy pozostałych zawodników.

Kiedy trener przechodzi do nowych taktyk w ataku, z ulgą przekonuję się, że nadal trenuję z pierwszym składem.

Numer 21 biega z drugą drużyną, ale nie jest w stanie zapamiętać żadnej kombinacji ćwiczeń, nawet po tym, jak przez dwadzieścia minut obserwował, jak je wykonuję.

Jest koszmarny.

Zbyt koszmarny.

Niewiarygodnie beznadziejny.

To niemal komiczne.

Inni zawodnicy z pierwszego składu wymieniają pełne złości spojrzenia, kręcą głowami i mamroczą pod nosem obelgi, bo Russ bez niczyjej pomocy psuje przebieg treningu.

Jakby Numer 21 w życiu nie miał w rękach piłki do kosza.

Prawie jakby celowo...

I wtedy dociera do mnie, co się dzieje. Dlaczego trener ma taką zniecierpliwioną, wręcz wściekłą minę.

Przez kolejne dwie godziny gram najlepiej, jak tylko potrafię, ale myślami jestem gdzie indziej.

Pod koniec treningu na salę wchodzi drużyna dziewczyn. Zerkam na Erin. Obserwuje każdy mój ruch, kibicuje mi spojrzeniem i powstrzymuje się od tego, by do mnie pomachać. Chciałbym móc jej powiedzieć, co się dzieje, ale nie będziemy ze sobą rozmawiać przez kolejne trzy miesiące, więc jest, jak jest.

Mój strój do ćwiczeń jest ciężki od potu. Mam mokre włosy i ciało. Moje mięśnie są zmęczone, podobnie jak mój umysł – z powodu Numeru 21. Koszykówka nigdy wcześniej nie była taka stresująca. Za dużo myślę. Lepiej, gdy sportowcy nie myślą.

Kiedy biegniemy sprintem na zakończenie treningu, staram się, jak mogę, by skończyć jako pierwszy, mimo że Sir, Hakim, Terrell i pewnie Numer 21 są dużo szybsi ode mnie, gdy nie są zmęczeni. Ja też jestem wyczerpany, ale ponieważ nie jestem tak utalentowany jak pozostali czołowi zawodnicy, muszę pracą przebić ich talent, tak jak mówi tata, więc mobilizuję się i wygrywam każdy bieg o półtora do trzech metrów.

Próbuję nadrobić słaby trening i wkrótce moje płuca płoną, a nogi krzyczą z bólu, grożąc, że za chwilę się pode mną ugną.

Za każdym razem Numer 21 kończy na szarym końcu.

Wygląda żałośnie.

– Chodźcie tu! – woła trener.

Zbieramy się w grupę i wyciągamy ręce do środka, tak że tworzymy wielkie ludzkie koło ze szprychami z ramion.

Trener mówi:

– Drugi trening zaczyna się o trzeciej. Finley i Russ do gabinetu trenerów. Na trzy, drużyna! Jeden, dwa, trzy...

– Drużyna! – wrzeszczą wszyscy, po czym udaję się za trenerem do jego gabinetu, a Russ za mną. Trener Watts zagania pozostałych do szatni i na parkiet wychodzą dziewczyny, pośród hałasu tuzina kozłowanych piłek i dwa razy większej liczby trampków, które uderzają o drewniany parkiet.

Numer 21 i ja stoimy po przeciwnych stronach gabinetu.

Trener zamyka drzwi i mówi:

– Finley, prosiłem cię, żebyś ułatwił Russowi jego przeniesienie do Belmont, tak?

Kiwam głową.

– Biorąc pod uwagę to, co powiedziałem ci o Russie, nie sądzisz, że nasza drużyna miałaby większe szanse osiągnięcia swojego celu, gdyby grał z nami w tym roku?

Numer 21 patrzy na swoje buty.

– Od początku wiedział, że jesteś wtajemniczony, bo powiedziałem mu o naszej rozmowie – mówi trener. – Po prostu odpowiedz na pytanie, Finley.

– Tak.

Tak, drużyna miałaby większe szanse z rekrutowaną przez krajowe drużyny rozgrywającą gwiazdą kosza zamiast mnie.

– Dlaczego więc powiedziałeś Russowi, żeby nie startował do zespołu? – pyta trener.

Oczy prawie wyskakują mi z orbit. Nigdy nie powiedziałem Numerowi 21, żeby nie startował do drużyny. Nigdy! Otwieram usta, ale nie wydobywają się z nich żadne słowa. Mój język odmawia posłuszeństwa.

Mam wrażenie, że moje serce jest wiewiórką, która próbuje wdrapać mi się po gardle i wyjść przez usta. Dłonie mam zaciśnięte w pięści. Krople potu skapują mi z twarzy na podłogę.

– Nigdy właściwie nie powiedział mi tego wprost – mówi Numer 21. – Nie słowami.

– Co? – odzywa się trener. – Dziś rano twierdziłeś, że Finley ci powiedział, byś nie grał w naszej drużynie.

– Powiedziałem coś innego – prostuje Numer 21. – Powiedziałem, że odniosłem wrażenie, że on nie chce, bym grał. Nigdy mi tego nie zakazał, ale też nigdy nie kazał. Nie zachęcał mnie i po tym poznałem. Trenerze, to jest ostatnia klasa Finleya. Nie chcę mu tego zepsuć.

– Robimy to, co jest najlepsze dla drużyny – mówi trener. – Pamiętaj, o czym rozmawialiśmy?

– Trenerze, Finley jest świetnym kumplem. Jest dobrym

człowiekiem. Kocha ten sport dużo bardziej niż ja. Ciężko trenował przed sezonem. Ciężej ode mnie. Nie mogę tak po prostu ni stąd, ni zowąd zabrać mu jego miejsca w głównym składzie. Jakim byłbym przyjacielem?

Przez długą chwilę przyglądam się twarzy Numeru 21.

Nie uśmiecha się.

Nawet nie mrugnie.

Jest całkowicie szczery.

Nie miał zamiaru grać w tym sezonie w kosza tylko po to, żebym ja mógł. Dlatego w czasie treningu udawał – dla mnie. Gdy dociera do mnie, jakie myśli przebiegają przez głowę Numeru 21, wzbierają we mnie uczucia podobne do tych, które czuję względem swojej rodziny, Erin i trenera. Nie jestem pewien, czy ktokolwiek kiedykolwiek chciał się dla mnie tak bardzo poświęcić.

– Nie mogę też odebrać mu numeru. To by nie było w porządku – mówi Numer 21.

Spoglądam na numer 21 na swojej koszulce, numer, który nosiłem od pierwszej klasy. Wiedziałem, że to się wydarzy, ale czuję się inaczej, niż przypuszczałem. Oczywiście, że chciałby mieć ten numer.

– Nigdy nie powiedziałeś Russowi, żeby nie grał w kosza? – pyta trener.

– Nie, proszę pana – odpowiadam.

– W takim razie jestem ci winien przeprosiny.

Nie zależy mi na nich, ale czuję ulgę. Chcę tylko grać w kosza. Chcę, żeby trener był ze mnie zadowolony.

– To dla nas wszystkich dziwna sytuacja. Posłuchajcie. Może zrobimy tak: wyjdę na korytarz na parę minut i sprawdzimy, czy jesteście w stanie się dogadać – proponuje trener, po czym zostawia nas samych.

Numer 21 i ja stoimy w milczeniu przez, jak mi się wydaje, bardzo długi czas.

Słyszę pisk trampek na parkiecie i głos trenera dziewczyn, który poucza je o ciężkiej pracy. Gabinet pachnie potem i skórą – jak stara rękawica bejsbolowa. Jest tu też dużo kurzu.

Jestem trochę wściekły, że postawiono mnie w takiej sytuacji. Czy

to nie zadanie trenera dopilnować, by wszyscy się dogadali? A on sobie tak po prostu wychodzi?

W końcu Numer 21 mówi:

– Nie chcę ci zepsuć ostatniego roku w liceum, Finley. Nawet mi już nie zależy na koszykówce.

Nie wiem, co powiedzieć, więc nie mówię nic.

To, że trener krzyczał na mnie podczas treningu, zrobiło mi mętlik w głowie i nadal jestem rozkojarzony, mimo że dociera do mnie, że Numer 21 go okłamał. Nie jestem jednak w ogóle zły na Russa. Nigdy nie poznałem nikogo, kto zrezygnowałby z czegoś, w czym jest naprawdę dobry tylko po to, bym ja mógł to robić. Nie sądzę, żebym był w stanie przestać grać w kosza dla kogokolwiek.

– Nie mogę grać bez numeru 21. Muszę być dwudziestką jedyneką. Tak już jest – oznajmia.

– Dlaczego? – pytam.

– Mój tata grał z dwudziestką jedyneką w szkole średniej i obserwuje mnie teraz z przestrzeni kosmicznej. Obiecałem, że zawsze będę nosić dla niego ten numer, tak długo, jak tylko będę na boisku. A teraz on jest na statku kosmicznym tak strasznie daleko. Mam wrażenie, że teraz to ważniejsze niż kiedykolwiek wcześniej, ale jeśli nie będę grał w koszykówkę w tym sezonie, to w ogóle nie będę musiał martwić się o numery. To dobrze, bo ty już nosisz dwudziestkę jedynekę i jesteś moim najlepszym przyjacielem wśród Ziemiaków. Mógłbym ci tylko kibicować z trybun, co byłoby bardzo przyjemne. Mógłbym siedzieć z twoim tatą oraz dziadkiem i dopingować cię do czasu, aż opuścę tę planetę. I wydaje mi się, że mama i tata już niedługo przylecą, by zabrać mnie w kosmos, więc nie ma sensu, żebym w ogóle zabierał się do kosza.

Spoglądam w oczy Russella. Próbuje powstrzymać łzy. Zastanawiam się, czy naprawdę myśli, że jego rodzice są na statku kosmicznym, czy też używa kosmosu jako pewnego rodzaju tarczy – warstwy słów, dzięki którym może się swobodnie i szczerze wyrażać, prawie jak w przebraniu, choć brzmi to bardzo dziwnie.

Coś się dzieje. Tak jakby Numer 21 w tych zmyślonych historyjkach o kosmosie dawał mi wskazówki.

Dlaczego?

To pierwszy raz, kiedy Russ mówił o kosmosie, od czasu, gdy oglądaliśmy start promu kosmicznego na moim dachu w dniu jego urodzin.

Jeśli jest tak dobry, jak twierdzi trener, to wiem, co jest najlepsze dla drużyny, a zawsze stawiałem sobie jej dobro ponad swoje. Tak właśnie robią dobrzy zawodnicy.

Chyba wiem, co jest najlepsze dla Russella.

Myślę o tym, jak się zachowują prawdziwi przyjaciele.

Ściągam koszulkę i rzucam ją Numerowi 21. Łapie ją i mówi:

– Jeśli to przyjmę, Finley, jeśli zacznę grać w kosza z pełnym wykorzystaniem swoich umiejętności, zwłaszcza jeśli wykorzystam swoje pozaziemskie moce, nie będziesz w stanie wygrać ze mną o pozycję rozgrywającego. Zostaniesz bez szans.

– To się jeszcze okaże – odpowiadam.

– Musisz mi obiecać, że bez względu na wszystko pozostaniesz moim przyjacielem. Potrzebuję, żebyś nim był. Błagam, obiecaj mi.

– Jestem twoim przyjacielem bez względu na to, co się stanie – mówię to szczerze.

– Będę się starał powstrzymać tak długo, jak się da, ale w pewnym momencie stracę nad sobą kontrolę – zapowiada. – Kiedy gram w kosza, coś się we mnie zmienia. Tak jestem zaprogramowany.

– Nie chcę, żebyś się kontrolował. – Jeśli Numer 21 ma mi odebrać moją pozycję w drużynie, to jest mi przynajmniej winien porządną grę. Chcę wygrać lub przegrać sprawiedliwie.

Kiedy Numer 21 nie odpowiada, mówię:

– Naprawdę wierzysz, że twoi rodzice przylecą statkiem, by cię zabrać?

– Tak. Najprawdopodobniej zaraz na początku nowego roku, ale trudno powiedzieć, bo mama i tata nie używają ziemskich kalendarzy, ponieważ nie przebywają już w Układzie Słonecznym. Wy mierzycie czas wyłącznie na podstawie obrotów Ziemi wokół Słońca. Za Plutonem wasze ziemskie kalendarze tracą znaczenie.

– Ale nadal nie będziesz rozmawiał z kolegami z zespołu o kosmosie, prawda?

– Domyślą się, że nie jestem człowiekiem, kiedy zobaczą, jak gram

w kosza – stwierdza. – Nie będę w stanie utrzymać tego w tajemnicy, bo moje umiejętności są... nie z tego świata.

Powoli kiwam głową, czekając, aż Numer 21 się roześmieje, a trener wpadnie do środka z resztą drużyny, wytykając mnie palcami i wyjąc ze śmiechu, że dałem się tak podpuścić, ale nic takiego się nie dzieje.

Te słowa z ust jakiegokolwiek innego chłopca brzmiałyby jak chwyt stylistyczny albo zwykłe przechwałki, ale Numer 21 jest śmiertelnie poważny. Nie wydaje się nawet dumny ze swoich umiejętności. Chętnie by je ukrył, jakby to było coś, czego należy się wstydzić.

– Wierzysz mi, prawda, Finley? Wierzysz, że wrócę do kosmosu z moimi rodzicami. Ty jeden – mówi.

Kiwam głową.

– Nie masz nic przeciwko, żebym sam porozmawiał z trenerem? – pytam.

– Okej.

Wychodzi. Po chwili trener zamyka za sobą drzwi.

– Przepraszam, że w ciebie zwątpiłem, Finley – mówi trener. – Ta sytuacja jest dla mnie bardzo trudna. Byliśmy z jego ojcem dobrymi przyjaciółmi, więc mam jakieś poczucie...

Kiedy trener nie kończy zdania, przełykam ślinę i czekam.

– Oddałeś Russowi swój numer? – pyta.

Potakuję.

– Dobry z ciebie chłopak, Finley. Naprawdę dobry chłopak. Mianuję ciebie i Terrella kapitanami. Miałem zamiar powiedzieć wam o tym później, ale biorąc pod uwagę okoliczności...

– Trenerze, on naprawdę wierzy, że jego rodzice przylecą po niego statkiem kosmicznym.

– Nie jestem tego taki pewien.

– On potrzebuje pomocy.

– Dostaje ją. Russ chodzi do psychologa dwa razy w tygodniu. Chcesz wiedzieć, co powiedział dziadkom dwa tygodnie temu?

Nie sądzę, by trener powinien mi przekazywać, co Numer 21 mówi swoim dziadkom w zaufaniu, lecz ten nie przerywa.

– Russ powiedział, że rodzice mieli go zabrać w październiku, ale przesłał im wiadomość za pomocą swojego umysłu czy coś w tym rodzaju. Zapytał rodziców, czy może zostać na Ziemi jeszcze kilka tygodni, bo zaprzyjaźnił się z chłopcem o imieniu Finley, którego obecność działa „uspokajająco”. Powiedział, że lubi twoje towarzystwo.

Znów przełykam.

– Stoi nad przepaścią, Finley. Chyba nie muszę ci mówić, co to oznacza, bo bystry z ciebie dzieciak. Kiedy zobaczysz, jak gra, naprawdę gra w kosza, wszystko nabierze dla ciebie większego sensu. W tej kwestii możesz mi zaufać.

Gdy wychodzę z gabinetu trenerów, zauważam, że reszta drużyny już dawno się rozeszła. Rezerwowy skład ćwiczy obronę strefową, dlatego Erin siedzi pod ścianą – obejmuje nogi rękami i opiera brodę na kolanach. Gdy spostrzegam, że patrzy na mnie, przypominam sobie, że nie mam na sobie koszulki. Widzę troskę na jej twarzy, ale nie mogę teraz myśleć o Erin, więc odwracam głowę i idę do szatni.

Numer 21 czeka na mnie przed wejściem i idzie za mną do biblioteki miejskiej.

W sekcji młodzieżowej dostępne są dwa egzemplarze *Harry’ego Pottera i kamienia filozoficznego*. Wypożyczam oba i podaję jeden Numerowi 21.

– Wesowi się oberwało za to, że to czyta. Powiedział Terrellowi, że to lektura na rozszerzony angielski – tłumaczę.

Numer 21 kiwa głową.

Wes to nasz kumpel z drużyny, więc może na nas liczyć.

Numer 21 idzie ze mną do domu, gdzie robię nam kanapki. Jemy je razem z dziadkiem, który jest na tyle trzeźwy, by zachowywać się przyzwoicie i zadawać nam pytania o trening. Odpowiadam na nie wymijająco, po czym idziemy do mojego pokoju i czytamy *Harry’ego Pottera*, aż przychodzi pora, żeby wrócić na salę.

Książka opowiada o chłopcu, który ma okropne życie, ale dostaje szansę, by uciec, kiedy się dowiaduje, że jego rodzice byli czarodziejami. Czytając, zastanawiam się, czy kiedykolwiek ucieknę z Bellmont, a jeśli tak, jakie życie czeka mnie gdzie indziej.

Przychodzimy na drugą część treningu za wcześnie, wobec tego

czytamy dalej na trybunach, podczas gdy dziewczyny kończą swoje zajęcia.

Wes siada koło nas, zauważa, co czytam, i szepcze:

– Nie musicie tego robić.

Po tym, jak na mnie patrzy, poznaję, że jest poruszony, więc uśmiecham się do niego. Wyciągam pięść, a on przybija mi żółwia.

– To naprawdę dobra książka – mówi Wes i wyciąga swój egzemplarz. – Zaskakująco dobra.

Kiedy Terrell, Hakim i Sir widzą, jak czytamy *Harry'ego Pottera*, tylko kręcą głowami.

Podczas drugiego treningu Numer 21 zaczyna lepiej grać, ale poprawa nie jest duża. Gra wystarczająco dobrze, żeby załapać się do drużyny, jednak nie na tyle, by odebrać mi moje miejsce.

Zaczynam się zastanawiać, czy te jego przechwałki i zachwyty trenera nie są przesadzone, ale gdzieś w głębi duszy wiem, że Numer 21 nadal nie daje z siebie stu procent.

Hamuje się i nie wchodzi z nikim w kontakt.

Po prostu gra, nie popełniając błędów.

Jest na boisku, ale nie gra naprawdę.

Po wyjściu z szatni Erin siada na chwilę sama na trybunach i przygląda się naszemu treningowi, lecz kiedy w połowie meczu spoglądam w jej stronę, już jej tam nie ma.

Nie lubię, gdy mnie obserwuje podczas gry, bo się wtedy denerwuję, ale już za nią tęsknię.

Trenujemy, chodzimy do szkoły, odrabiamy lekcje, czytamy *Harry'ego Pottera*... I to właściwie wszystko, co robimy razem z Numerem 21.

Kiedy pyta mnie, dlaczego nie widujemy się z Erin, odpowiadam:

– Teraz moją dziewczyną jest koszykówka. – Słyszac to, Russ wybucha śmiechem. Rzeczywiście, może to brzmieć dość zabawnie.

Kończymy czytać pierwszą część z serii książek o Harrym Potterze kilka dni po Wesie.

Przed popołudniowym piątkowym treningiem, kiedy rzucamy na sali gimnastycznej, Wes pyta:

– Jak wam się podobał *Kamień filozoficzny*?

– Gdyby ktoś z twoich znajomych miał takie magiczne moce – mówi Numer 21 – chciałbyś o nich wiedzieć?

– Takie jak Harry? – pyta Wes, odchylając się nieco w tył. – Prawdziwe magiczne moce?

– Moce, jakich nie posiadają inni – mówi Numer 21.

– No pewnie, że chciałbym wiedzieć – stwierdza Wes.

– A gdyby to oznaczało, że już go więcej nie zobaczysz? Rozumiesz, nie wszyscy mogą pojechać do Hogwartu. Prawda? – Numer 21 zaczyna wycierać dłonie o swoje boki.

– Dlaczego mnie o to pytasz, Russ?

Numer 21 przechyla głowę w tył i przejeżdża nią od ramienia do ramienia.

Wes zerka na mnie z ukosa, ale ja tylko wzruszam ramionami.

– Chcecie przyjść do mnie dziś wieczorem i obejrzeć ekranizację? – pyta Wes. – Mama wykupiła mi dostęp w internecie.

W ten sposób nasza trójka ogląda wieczorem ekranizację *Harry'ego Pottera*, która jest całkiem niezła. Mnóstwo magii, budynki przypominające zamki, poza tym przyjaźń.

Po filmie Wes zabiera nas do swojego pokoju i puszcza nam swoją ulubioną grupę raperów N.E.R.D. Muzyka jest bardzo rytmiczna, nie jak ciężki gangsta rap, który zazwyczaj pobrzmiwa w mojej okolicy, choć przekleństw jest tyle samo.

(Właściwie to nie słucham zbyt często muzyki, może dlatego, że nie mam iPod'a. Lubię muzykę, ale nie kręci mnie żaden szczególny rodzaj).

– Wiecie, co oznacza skrót N.E.R.D? – pyta Wes.

– Co?

– *No one. Ever. Really. Dies.* Nikt tak naprawdę nigdy nie umiera – mówi Numer 21.

– Lubisz ich, Russ? – pyta Wes.

Numer 21 kiwa głową i się uśmiecha.

– Widziałeś grę na ich stronie? – pyta Wes. – Retro. Fajny futurystyczny funk.

Wes łąduje stronę N.E.R.D w swoim komputerze i klika odpowiedni link. Gra dzieje się w kosmosie.

Nic dziwnego, że Numer 21 lubi ten zespół.

Gigantyczny goryl goni członków zespołu pośród przypominającej Księżyc scenerii.

– To oldskulowa gra wideo. Gra się jednym z członków zespołu – mówi Wes, po czym grają z Numer 21 na zmianę.

Kiedy kończą zabawę na stronie N.E.R.D, Wes sugeruje, żebyśmy założyli klub książkowy *Harry'ego Pottera*. Chce, żebyśmy przeczytali każdą część i obejrżeli film pomiędzy kolejnymi tomami. Zawsze myślałem, że kluby książki są dla bogatych starszych pań, ale miło jest być członkiem czegoś poza drużyną koszykarską.

Obaj zgadzamy się do niego dołączyć i wypożyczamy egzemplarze *Harry'ego Pottera i komnaty tajemnic*.

Lubię Wesa. Zawsze go lubiłem, teraz jednak zaczynam czuć, że może mógłby się stać prawdziwym przyjacielem zarówno dla mnie, jak i dla Numeru 21 – kimś, z kim moglibyśmy regularnie spędzać czas – może dlatego że jest tym dziwnym typem, który tworzy klub książek o Harrym Potterze. Wes jest pod tym względem trochę inny niż wszyscy. Jak my.

Dlaczego wcześniej nie kumpłowałem się z Wesem?

Po drodze do domu Allenów pytam Numer 21 o N.E.R.D i kosmiczne motywy na ich stronie internetowej, na co on odpowiada:

– To tylko udawany kosmos, nie prawdziwy, ale to prawda, że nikt

nigdy naprawdę nie umiera.

Kiedy na mnie zerka, unoszę brwi.

– Materii nie da się ani zniszczyć, ani stworzyć – tłumaczy. – To jedna z podstawowych zasad wszechświata. Ale są też siły witalne zamknięte tu, na Ziemi, w ludzkim ciele, które jest jak więzienie. Kiedy wy, Ziemianie, umieracie, wasze siły witalne zostają uwolnione i możecie w końcu podróżować przez galaktyki. To nie śmierć, to wyzwolenie.

– Yyy... co? – pytam.

– Mówię ci o tym tylko dlatego, że wydajesz się oświecony. Reszta nie potrafiłaby się zmierzyć z takimi teoriami.

Czuję się nieco dumny z tego, że Numer 21 uważa, że jestem wyjątkowy, ale jednocześnie odczuwam lekki smutek, bo on cierpi. Głęboko w jego umyśle toczy się wojna – wojna, którą przegrywa.

Niewiele mogę zrobić, aby mu pomóc.

Widuję Erin na korytarzach szkoły i na sali gimnastycznej. Gdy się mijamy, zawsze próbuje spojrzeć mi w oczy albo lekko trącić mnie łokciem, udając, że to przypadkiem, ale ja idę, patrząc prosto przed siebie, jakbym jej nie zauważał.

Podczas zebrania drużyny trener mianuje mnie i Terrella kapitanami. Drużyna świętuje to zjedzeniem około dwunastu pizz.

Na dzień przed naszym pierwszym meczem trener ogłasza główny skład i wybiera mnie na rozgrywającego.

Wszystko idzie zgodnie z planem i w pewnym sensie zapominam o możliwości, że Numer 21 odbierze mi pozycję w pierwszym składzie.

Znow biorę udział w prawdziwych rozgrywkach.

Na boisku rządzą adrenalina, pot i ruch, zapach skóry, podekscytowanie kibiców i pisk trampek, przybijanie piątek i wrażenie, że mogę czegoś dokonać, a wręcz pewność, że właśnie to robię.

Poza boiskiem czuć oczekiwanie, głód, odliczanie minut do następnego treningu lub meczu. Rozrysowuję akcje w notatniku, wyobrażam sobie siebie na boisku – jak przechwytyję zgubioną piłkę, a na kolanach szczypią mnie strupy, jak jestem tak blisko krytego przeze mnie zawodnika, że jego kolana i łokcie zostawiają sińce na moich nogach, ramionach i torsie, jak kreatywnie podaję, odnajdując otwarte dłonie swoich kolegów, a nawet rzucam z dwutaktu. Jak trener mnie chwali. Jak tata i dziadek z dumą się uśmiechają.

Na treningach wylewam z siebie poty i marzę, aż w końcu gram pierwszy prawdziwy mecz przeciw słabej drużynie Rockport i w końcu robię wszystkie te rzeczy, które tyle razy sobie wyobrażałem. Czuję się wspaniale. Zastanawiam się, czy to wszystko dzieje się w rzeczywistości – bo może tak naprawdę siedzę teraz na fizyce i tylko bujam w obłokach.

Ale nie śnię na jawie na lekcji fizyki. Gram w koszykówkę.

Zaliczam piętnaście asyst, a Terrell zdobywa dla nas trzydzieści dwa punkty. Prowadzimy czterdziestoma punktami, więc pod koniec trzeciej kwarty trener daje zagrać drugiemu składowi.

Na ławce zauważam, że tętno mi zwalnia, mięśnie się ochładzają i ogarnia mnie wspaniałe uczucie dobrze wykonanego zadania.

Patrzę na Numer 21 na boisku i znów rozpoznaję, że nie gra naprawdę. Nie popełnia żadnych błędów, ale wciąż rozgląda się, by przekazać piłkę innym rezerwowym, żeby spróbowali zdobyć jakieś punkty. Nie biegnie tak szybko, jak by mógł, nie rzuca, kiedy nikt go nie blokuje, w jego grze nie ma żadnego celu.

Stara się, by wszyscy mogli być przy piłce, na co miło popatrzeć, ale jednocześnie odnoszę wrażenie, jakby chował się w świetle dnia – jakby bał się pokazać światu, na co naprawdę go stać.

Wygrywamy mecz sto jeden do sześćdziesięciu dziewięciu.

Tata jest dumny.

Dziadek też.

Drugie spotkanie sezonu to podwójny mecz dziewcząt i chłopców przeciw Pennsville, naszym arcyrywalom w koszykówce i największą konkurencją w mistrzostwach. Na dzień przed meczem na treningu trener sadza nas w rzędzie pod ścianą i mówi:

– Z tego, co udało nam się wy badać, Pennsville spróbuje taktyki, którą określa się jako *triangle-and-two*, co oznacza, że będą podwajać Terrella za każdym razem, gdy będzie przy piłce.

– Cholera – mówi Terrell. – Jak ja tego nie lubię.

Trener ignoruje go i kontynuuje:

– Wes, Hakim i Sir też będą kryci po jednym zawodniku każdy, co sprawi, że nikt nie będzie pilnował Finleya.

Trener chce przez to powiedzieć, że Pennsville nie uważa, bym dobrze rzucił – nie widzą we mnie zagrożenia. Nie czuję się urażony, bo to, że rzucam najslabiej z naszej piątki, jest faktem. Jestem rozgrywającym, a nie zdobywcą punktów. Taką mam rolę, a inne zespoły już wcześniej podwajały Terrella, ale z jakiegoś powodu moje rzuty są trochę gorsze niż w poprzednich latach. W pierwszym meczu na dwie okazje nie trafiłem ani razu.

– Finley będzie musiał w tej sytuacji oddać jakoś celny rzut – ciągnie trener. – A wszyscy wiemy, że potrafi. Musi trafić na samym początku meczu, żeby przeciwnicy przerzucili się na obronę indywidualną. Wtedy będziemy w stanie rozegrać naszą zwyczajową ofensywę.

Trener uczy drugi skład, jak pokonać obronę *triangle-and-two* Pennsville, i ćwiczymy, grając przeciw sobie. Prawie za każdym razem, kiedy rzucam, piłka odbija się od obręczy. Mam wrażenie, że od lat nie słyszałem szelestu siatki, przez którą przelatuje piłka.

– Rzucaj dalej! – woła trener. – Pozbądź się dziś tych wszystkich pudeł. Trafne rzuty zachowaj sobie na jutro.

Rzucam więc dalej, ale z każdym kolejnym pudłem czuję się coraz bardziej spięty. Kiedy zerkam na kolegów z drużyny, na ich twarzach widzę zwątpienie – czy tylko to sobie wymyśliłem?

Po pewnym czasie trener wymienia mnie na boisku na Numer 21 i

Russ też pudłuje wszystkie swoje rzuty, przez co wcale nie czuję się lepiej. Naprawdę nabieram przekonania, że robi to celowo. Ta myśl mnie zasmuca i wywołuje we mnie poczucie winny, choć powiedziałem Russowi, że ma się nie hamować.

W szatni po treningu Wes, Sir i Hakim szturchają mnie w ramię i klepią po plecach, mówiąc rzeczy typu: „Dziś wyczerpałeś limit pudeł” lub „Liczą się jutrzejsze, a nie dzisiejsze rzuty” czy „Dzień meczu ma znaczenie, inne dni nie”. Tylko Terrell mnie nie pociesza:

– Lepiej, żebyś wcześniej ściągnął ze mnie tego drugiego zawodnika, Biały Króliku. Słyszysz? Chcę zdobyć tysiąc punktów do końca sezonu.

Trener zawsze powtarza, że nie powinniśmy się starać ze względu na osobiste rekordy, ale wszyscy wiemy, że kiedy Terrell dojdzie do tego tysiąca, czeka nas wielkie świętowanie. Potrzebuje mojej dobrej gry, by móc dobić do tego tysiąka.

Już wystarczająco martwię się jutrzejszym dniem, więc mój żołądek zaczyna się skręcać i pulsować jeszcze bardziej, gdy trener wzywa mnie do siebie. Zamyka drzwi i mówi:

– Jutro spodziewam się od ciebie rzutów tylko wtedy, kiedy nikt cię nie kryje. Jesteś przyzwoitym strzelcem, Finley, a Hakim i Wes dobijają piłkę do kosza. Zaufaj mi.

– Tak, trenerze – odpowiadam.

– Może pogadaj z Russem, żeby również częściej trafiał – sugeruje trener.

– Więc pan też uważa, że on to robi celowo?

– Jeszcze nie widzieliśmy prawdziwego Russa w akcji – mówi trener – i nie wiesz, co cię omija.

Długo patrzy mi w oczy – zupełnie jakby próbował kontrolować mój umysł – aż w końcu spuszczam wzrok i przyglądam się swoim trampkom.

– Do jutra, Finley.

– Tak, proszę pana – odpowiadam i idę do szatni.

Wydawało mi się, że wszyscy już sobie poszli, więc zaskakuje mnie czyjś głos:

– Finley?

Obok mnie stoi Numer 21 owinięty w ręcznik. Jest jedynym zawodnikiem korzystającym z ohydnych pryszniców, których od lat nikt nie czyścił. Ma na stopach japonki dla ochrony stóp.

– O co chodzi?

– Powiedziałem dziadkowi, żeby dziś wieczorem odebrał mnie spod twojego domu.

– Czemu?

– Miałem nadzieję, że może posiedzimy u ciebie na dachu.

Wzdycham. Jestem zmęczony i już sama myśl o rozmawianiu z Numerem 21 kosmicznym szyfrem wysysa ze mnie wszelką energię.

– Muszę odrobić lekcje.

– Możemy odrobić je razem?

Russ nieustannie pociera brodę i patrzy na mnie tym szaleńczo intensywnym wzrokiem. Po raz kolejny zastanawiam się, czy naprawdę specjalnie pudłował, i z jakiegoś powodu decyduję, że pewnie tak właśnie było. Mówi mi o tym coś w jego posturze – pełnej uległości, jak u psa z podkulonym ogonem. Dlaczego ktokolwiek miałby mi być tak oddany?

Tata podgrzewa nam mrożone pizze, podczas gdy dziadek bombarduje nas pytaniami na temat planu gry w starciu z Pennsville.

– Podwoją Terrella, prawda? – pyta tata.

– Mhm – odpowiadam.

– Finley będzie miał wiele okazji do rzutu – mówi Numer 21.

– Zbierz punkty dla Irlandczyków – zachęca dziadek.

– Dla Belmont – dodaje tata. – Myślisz, że uda ci się zagrać, Russ?

– Nie wiem.

– Wszystko w porządku, Finley? – pyta dziadek. – Nawet nie tknąłeś swojego kawałka pizzy.

Tata spogląda na mnie zaintrygowany.

Wzruszam jedynie ramionami.

Numer 21 i ja odrabiamy pracę domową w moim pokoju, ale nie robimy jej razem. On uczy się sam przy moim biurku, a ja na swoim łóżku, a potem zakładamy kurtki i wychodzimy na dach.

Jak na zimę, nie jest tak zimno. W oddali wyją policyjne syreny, ale poza tym noc jest całkiem spokojna, a ja jak zawsze lubię posiedzieć na dachu i popatrzeć na wszystko z innej perspektywy. Odpływam trochę myślami – w dobrym sensie.

Po jakichś dziesięciu minutach ciszy Russ mówi:

– Jeśli jutro uda mi się wyjść na boisko, czy mogę użyć swoich pozaziemskich mocy?

Nie jestem w nastroju na kosmiczną gadkę.

– Wyjdiesz tylko wtedy, gdy nie będę mógł trafić do kosza.

– Trafisz.

– No to chyba problem z głowy, co?

– Chyba tak.

Spoglądam w górę i widzę, że zza chmury wygląda skrawek księżyca.

– Chcę tylko wiedzieć, co powinienem zrobić, jeżeli wejdę do gry – podejmuje Russ. – Trener mówi, że da mi kilka minut w dobrym momencie meczu, czy tego chcę, czy nie. Chcesz wygrać mistrzostwa, więc chyba będzie lepiej, jeśli użyję swoich pozaziemskich mocy w

spotkaniu z Pennsville, gdy nadarzy się okazja. Skorzystałem z telepatii, żeby skonsultować się z tatą w kosmosie, i on powiedział, że mogę się trochę ujawnić, bo i tak niedługo mnie zabierze.

Jestem zmęczony kosmicznymi fantazjami Numeru 21, jak również presją, którą wywiera na mnie trener. Martwię się tym, że nie trafiam do kosza. Z tego powodu nie odpowiadam. Milczenie zawsze było moim „trybem domyślnym” – najlepszą obroną przed resztą świata.

Gdy pan Allen podjeżdża pod nasz dom, czuję wdzięczność.

– Do jutra – mówi Russ, wracając przez okno do mojej sypialni.

Kiwam głową, ale nie schodzę z dachu.

Słyszę, że Numer 21 żegna się z moimi dziadkiem i tatą, po czym obserwuję, jak wsiada do cadillaca poniżej, na ulicy.

Kiedy światło reflektorów niknie w oddali, próbuję sobie wyobrazić, jak jutro rzut za rzutem trafiam do kosza, ale nawet w myślach pudłuję.

Spotkanie rozpoczyna się od meczu dziewczyn. Trybuny są pełne kibiców. Ponieważ dziewczyny zwykle grają na wyjazdach, gdy my gramy u siebie, i na odwrót, jest to jedna z niewielu okazji, żeby obejrzeć Erin w tym sezonie.

Siedzę z drużyną w wyznaczonym miejscu na trybunach i kiedy Erin wychodzi na boisko, widzę, że zmieniła koszulkę na osiemnastkę – mój nowy numer.

Podczas rozgrzewki dziewczyn dopadają mnie emocje. Czuję się dokładnie tak, jak nie chciałem się czuć przez cały sezon – zakochany – i jestem w równym stopniu szczęśliwy, co poirytowany.

Wes i Numer 21 czytają kolejny tom *Harry'ego Pottera*. Wes bawi się zamkiem swojej bluzy. Numer 21 marszczy brew i co chwilę potakująco kiwa głową, jakby zgadzał się ze wszystkim, co czyta. Reszta drużyny słucha muzyki na iPodach albo się wygłupia. Pilnuje nas trener Watts.

Na trybunach znajduje się mała grupa Irlandczyków, którzy przyszli kibicować Erin. Siedzą razem z dziadkiem i naszymi rodzicami, wszyscy ubrani na zielono. Jeden facet nawet pomalował sobie twarz na zielono, biało i pomarańczowo, czyli w barwy irlandzkiej flagi.

Jednak większość publiczności na sali to czarni, bo do Pennsville niemal bez wyjątku uczęszczają czarnoskórzy uczniowie.

Erin otwiera mecz, trafiając za trzy punkty, a tłum kibiców szaleje. Na boisku Erin prezentuje się wspaniale i za każdym razem, kiedy coś jej się uda, koledzy z zespołu szturchają mnie w ramię albo tarmoszą za włosy.

Erin trafia do kosza rzut za rzutem, zalicza zbiórki, przechwytuje piłkę i w pierwszej połowie meczu zyskuje dwudziestopunktową przewagę dla swojej drużyny. Na moment, zanim uda się do szatni, spogląda na trybuny, odnajduje mnie wzrokiem i uśmiecha się.

Wydaje się taka szczęśliwa, kiedy jest na boisku i robi to, do czego została stworzona, że zaczynam jej zazdrościć, bo sam czuję, jak mnie mdli.

Myślę o taktyce przeciwnika.

W drugiej połowie Erin blokuje trzy rzuty, przejmuje dwa podania, biegnie do linii i rzuca z dwutaktu, wykonuje nieskończone ilości zasłon, celnie trafia rzut za rzutem i z łatwością zapewnia swoim zwycięstwo. Cieszę się z jej powodu i nawet uśmiecham się do niej, kiedy szuka mnie wzrokiem na zakończenie meczu, ale nadal czuję się tak, jakbym miał zwymiotować. Mam pietra przed ważnym meczem. To spotkanie mogłoby się liczyć w konferencji.

Gdy rozgrzewamy się w szatni, Numer 21 wydaje się opanowany. Myślę, jaką mógłby być idealną sekretną bronią, i chcę mu powiedzieć, że nie ma nic złego w grze na maksimum jego możliwości, jeśli tylko zejdzie z ławki rezerwowych, i żeby się o mnie nie martwił – ale z jakiegoś powodu tego nie robię. Może myślę, że nie jest gotowy, a może uważam, że jest, lecz boję się o swoje miejsce w pierwszym składzie.

– Rzucaj, kiedy tylko dojdzie do *triangle-and-two* – mówi do mnie Terrell. Obaj wiemy, że w interesie drużyny jest, żebym to ja był kluczowym zawodnikiem ataku. – Rozumiemy się, Biały Króliku?

– Rozumiemy.

W pełni się z nim zgadzam.

Gdy wywołują nasz skład, Terrell dostaje największe oklaski, choć mnie też witają głośne wiwaty z irlandzkiej trybuny. Dziadek siedzi na wózku w strefie dla niepełnosprawnych. Ma na sobie zielono-biało-pomarańczowy szalik. Obok niego zajął miejsce tata, a dalej spocona Erin, choć powinna siedzieć z drużyną. Wiem, że to jej metoda na bycie moją dziewczyną, kiedy nie pozwalałam jej się nią nazywać, co sprawia, że robi mi się miło. Przywołuję się do porządku i staram nie myśleć o Erin.

Nie jesteście parą w trakcie sezonu, mówię do siebie.

Koszykówka jest teraz twoją dziewczyną.

Tłum szaleje.

Uczniowie skandują: „Bell-mont! Bell-mont!”

Podczas zbiórki przed rozpoczęciem gry trener mówi:

– Chyba nie muszę wam przypominać, że to mecz eliminacyjny. Tylko dwa razy gramy z tą drużyną i musimy wygrać oba spotkania, jeśli chcemy być na czele naszej grupy i daleko zajść po sezonie. Kryjcie przeciwnika. Róbcie nagłe zwroty i szybkie zmiany. A ty, Finley, rzucaj

celnie. Musisz dać radę trafić, jeśli zagrają *triangle-and-two*.

Głośno przetykam ślinę.

– Na trzy, drużyna. Jeden, dwa, trzy...

– DRUŻYNA!

Wybiegam na parkiet.

Wes z łatwością wygrywa rzut sędziowski i tak jak przewidział trener, Pennsville zostawia mnie odkrytego, Terrell zostaje podwojony, a zawodnicy przeciwnika ustawiają się w trójkąt.

Wiem, że powinienem rzucić, ale staram się na siłę przekazać piłkę Wesowi, co kończy się utratą.

– Rzucaj, Finley! – wrzeszczy trener.

Przy następnej okazji w ataku, kiedy znów nie mam osłony, trener krzyczy:

– Rzucaj!

Rzucam za trzy punkty. Piłka uderza o przód obręczy i Pennsville przejmuje piłkę.

Pudłuję kolejne trzy rzuty.

Przegrywamy osiem do zera.

Nawalam.

Nie jestem w stanie trafić, choćby zależało od tego moje życie.

– Rzucaj dalej – mówi trener. – Rzucaj dalej, Finley!

Staram się zagrać do Hakima, ale po raz kolejny źle podaję i nagle powoduję dwie straty i puszczam cztery nietrafione rzuty po kolei.

Zerkam na dziadka i tatę. Ich oczy wydają się małe, a miny zażenowane, jakby się za mnie wstydzili.

– Rzucaj dalej! – krzyczy Erin. – Rzucaj dalej!

Kiedy Pennsville znów mnie nie kryje, proszę o czas.

Gdy jestem już poza boiskiem, trener pyta:

– Kto ci kazał przerwać grę, Finley? Kto?

Przetykam ślinę.

Trener patrzy mi w oczy.

Widzi, że jestem wściekły.

Widzi, że się boję.

– Russ, wchodzisz za Finleya – mówi trener.

Russ ani drgnie. Trener Watts łapie go za łokieć i jakby lekko

popycha we właściwą stronę. Numer 21 patrzy na mnie, ale ja odwracam wzrok.

Kiedy Russ zgłasza się przy stoliku sędziowskim, staję się niewidzialny – wszyscy unikają ze mną kontaktu wzrokowego, bo się za mnie wstydzą.

Numer 21 zajmuje moje miejsce na ławce koło trzech zawodników pierwszego składu.

– Ten sam plan gry – oznajmia trener. – Russ, teraz to ty zdobywasz punkty.

– Trenerze – odzywa się Terrell. – On nie umie rzucać. I tak przegrywamy już ośmioma punktami.

– Możesz się zdziwić – mówi trener. – A teraz wykonać plan gry.

– Finley – odzywa się Numer 21. Wszyscy na mnie patrzą. Wszyscy. – Chcesz, żebym użył swoich pozaziemskich mocy, żeby wygrać ten mecz?

– Coś ty powiedział? – pyta Terrell.

– Poza-jakich mocy? – dopytuje Sir.

– Co? – dziwi się Hakim.

– Russ! – ucina trener. – Nie teraz!

– Finley! – Numer 21 mówi trochę wolniej. – Chcesz, żebym użył swoich pozaziemskich mocy i wygrał ten mecz? Ty tu decydujesz.

– O czym ty, do cholery, mówisz? – pyta Terrell. – Mamy mecz do wygrania!

Numer 21 wpatruje się we mnie znacząco i widzę po nim, że wcale nie chce zrobić tego, co zaraz zrobi.

Część mnie chce zobaczyć, czy naprawdę jest taki dobry.

Część mnie chce skopać tyłki Pennsville.

Część mnie wie, że od początku powinienem był zachęcać przyjaciela, by wykorzystał swój talent, ale byłem samolubny.

Słyszemy sygnał oznajmiający wznowienie gry.

Przerwa skończona.

– Finley – naciska Numer 21 – musisz mi powiedzieć, że to w porządku.

– To w porządku – mówię w końcu.

W pewien sposób wiem, że to oznacza dla mnie koniec gry w tym

meczu.

– Okej, ten sam plan gry – powtarza trener, siadając na przeciwnym końcu ławki, podczas gdy drużyna wybiega na boisko.

Wstyd mi, że siedzę na ławce. Czuję się, jakbym był nagi.

Wiem, że wszyscy na sali obserwują mecz, ale mam wrażenie, że tak naprawdę patrzą na mnie. Uderza mnie fala gorąca i robię się niespokojny. Nigdy nie wyobrażałem sobie siebie na ławce. To nie miało się tak potoczyć.

Sir odbija piłkę do Numeru 21 w połowie boiska.

– Trenerze! – krzyczy Numer 21, samotnie kozłując piłkę bardzo daleko od strefy rzutów za trzy. – Będzie pan na mnie zły, jeśli użyję swoich pozaziemskich mocy?

Przez ławkę rezerwowych przebiega szmer.

Publiczność na trybunach powtarza między sobą słowa Numeru 21.

Wiem, że zaraz wszystko się zmieni.

– Russell, po prostu graj, jak umiesz... Błagam! – krzyczy trener.

Trener Pennsville rzuca w stronę naszej ławki zdziwione spojrzenie.

I wtedy – staje się.

Odkryty Numer 21 wyskakuje, jakby chciał rzucić z połowy boiska.

Kiedy piłka łukiem przecina powietrze, w mojej głowie czas zwalnia jak w filmie i widzę wszystko naraz: zbiorowy szok kolegów z drużyny, miny fanów, kpiące uśmieшки przeciwników.

Russ rzucił z połowy boiska, gdy nie był kryty.

Zawodnicy są wściekli.

Jak taki byle ktoś, kto przed chwilą wstał z ławki, może próbować trafić z połowy boiska?

Co za bezczelność!

Za kogo on się uważa?

Ale piłka trafia do kosza – szus – i tłum wpada w szal.

Twarz Numeru 21 nagle się zmienia.

Mruży oczy.

Zaciska usta.

Rozluźnia ciało.

Uderza w parkiet dłońmi, przyjmuje postawę defensywną i czeka, aż dobiegnie do niego jego przeciwnik. Kiedy rozgrywający Pennsville przebiega na przeciwną połowę boiska, Numer 21 pilnuje go, nie dając pola manewru, po czym z łatwością odbiera mu piłkę.

Odbija cztery razy, wyskakuje z linii rzutów wolnych, rozstawia nogi i szybuje.

Jego ciało zawieszone w powietrzu przypomina słynną sylwetkę Michaela Jordana.

Wszyscy na sali wstają z miejsc w oczekiwaniu, a Numer 21 wsadza piłkę do kosza ze spektakularną mocą.

Gdybyśmy nie mieli obręczy uchylnych, tablica roztrzaskałaby się na milion kawałków.

Koledzy z drużyny pohukują, uderzają pięściami w powietrze, ściskają się nawzajem i całkiem im odbija.

Trener drugiego składu musi ściągać niektórych z boiska, żebyśmy nie dostali technicznego faula, a mój trener posyła mi spojrzenie, które mówi: „Teraz rozumiesz, o co mi chodziło?”.

Pennsville prosi o czas i ich trener krzyczy w naszą stronę:

– Co to ma być, Tim!? Tylko sobie nie myśl, że nie sprawdzę jego danych. To podejrzane. Bardzo podejrzane!

– Jasna cholera, Russ! – woła Hakim.

– Naprawdę masz magiczne moce – mówi Wes. – Czuję się, jakbym był w Hogwarcie.

– Wygramy ten mecz – stwierdza Sir.

Terrell patrzy na mnie pytająco: „Wiedziałeś, prawda?”.

– W porządku – mówi trener. – Skoncentrujmy się na planie gry.

Podczas zbiórki nikt nie odzywa się do mnie ani słowem i jakoś stapiam się z tłem.

Kiedy gra zostaje wznowiona, Numer 21 dominuje na boisku.

Trafia za trzy punkty.

Zalicza zbiórki.

Przypuszcza szybkie ataki.

Zalicza wsad za wsadem.

Blokuje rzuty.

Przechwytuje.

Wygląda to tak, jakby zawodnik NBA postanowił wpaść na chwilę i zagrać z licealistami – tak dobry jest Numer 21. Jakby Andre Iguodala grał przeciw przedszkolakom. Mężczyzna pośród chłopców. Gdy Pennsville próbuje go kryć, zawodnicy padają przy nim, jakby mieli połamane kostki, taki jest szybki. Numer 21 lepiej biega. Lepiej rzuca i lepiej kozłuje niż wszyscy pozostali na boisku.

Wkrótce znacznie prowadzimy – kiedy kończy się druga połowa, nadal siedzę na ławce.

Podczas gdy trener i pan Watts dyskutują z trenerami Pennsville, którzy żądają, żeby sędziowie sprawdzili prawo do gry Numeru 21 – jakby oczekiwali, że trener wyciągnie zza pasa teczkę zawierającą akt urodzenia zawodnika i papiery dokumentujące całe jego życie – drużyna biegnie do szatni i zasypuje Russa pytaniami.

- Dlaczego udawałeś, że nie umiesz grać?
- Gdzie się tego nauczyłeś?
- O co chodziło z tymi pozaziemskimi mocami?
- Skąd jesteś?
- Co się, do cholery, dzieje?

Numer 21 siedzi na ławce w szatni i słucha tych wszystkich pytań ze spokojem.

Gdybym nie znał go lepiej, mógłbym powiedzieć, że ma tryumfującą minę.

Ale znam go lepiej.

Ma dwie opcje: może powiedzieć wszystkim, że jego rodzice zostali zamordowani i bardzo długo siedział w zakładzie dla młodzieży z zespołem stresu pourazowego – albo opowie o kosmosie.

Wiem, co wybierze, jeszcze zanim zdoła otworzyć usta.

– Nazwano mnie Numerem 21 – odpowiada Russ drużynie. – Jestem prototypem wysłanym na waszą planetę, by zebrać informacje o tym, co wy, Ziemiańskie, nazywacie emocjami. Nie jestem człowiekiem, o czym przekonał się, widząc, jak gram w koszykówkę.

Wszystkim opadają szczęki.

Cisza.

Wes mruży oczy, jakby się spodziewał, że za chwilę wszystko to potwierdzą. Ale nawet gdybym był bardziej rozmowny, co miałbym

powiedzieć?

– Co ty, do cholery, wygadujesz, Russ! Nie rób sobie jaj! – woła Hakim i wszyscy zaczynają się nerwowo śmiać.

– Chyba nie mówisz poważnie? – pyta Sir, uśmiechając się szczerze, jakby wszystko co, powiedział Numer 21, było żartem. – Nabijasz się z nas, prawda, Russ?

Numer 21 kręci głową tak, jak ojciec kręciłby głową nad małym chłopcem, który nie rozumie czegoś elementarnie prostego, co jest oczywiste dla wszystkich dorosłych, jak na przykład to, dlaczego jeziora zamarzają zimą i skąd się biorą dzieci.

– On nie udaje – stwierdza Terrell, spoglądając na nas bardzo poważnie. – On w to wierzy. Przecież widać to w jego oczach. Odbiła mu korba!

Numer 21 nadal się uśmiecha, teraz w jakiś smutny sposób.

Zanim ktokolwiek zdoła coś na to odpowiedzieć, do szatni wchodzi trener i zaczyna nam tłumaczyć plan gry na drugą połowę, skoro Pennsville zrezygnuje teraz z *triangle-and-two* i będzie się bardziej koncentrowało na Russie.

Z trudem przychodzi mi słuchanie o koszykówce. Myślę o fotoreporterach i dziennikarzach, którzy stoją przy krawędzi boiska, o wszystkich kolegach z klasy i sąsiadach, którzy będą teraz skupiać uwagę na nowym bogu koszykówki, objawionym naszemu miastu. Nie minie zbyt wiele czasu, nim plotka się rozniesie i zaczną napływać do nas rekruterzy z wyższych uczelni, a może nawet z NBA.

Może się wydawać, że dramatyzuję, ale po tym, co się stało, wszyscy na sali myślą pewnie to samo.

Wygramy mistrzostwa stanowe i teraz to się liczy najbardziej – nie to, że Numer 21 twierdzi, że pochodzi z kosmosu.

Trener mówi dalej, a uśmiech na ustach Numeru 21 robi się coraz dziwniejszy. Russ zdaje się nie zwracać uwagi na trenera ani na żadnego z nas – jest w swoim własnym świecie.

Kiedy wypadamy z szatni i rozpoczynamy rozgrzewkę przed drugą połową, zauważam bardzo zmartwioną minę Erin. Nie patrzę nawet na dziadka i tatę. Myślę sobie, że w którymś momencie trener wpuści mnie do gry, ale zaczynam czuć upokorzenie i żal, że tak długo siedzę na

ławce. Zwłaszcza że ciężko pracowałem w minionym sezonie i tyle zrobiłem, by pomóc Numerowi 21, kiedy trener mnie o to poprosił.

Jednak trener nie wpuszcza mnie do gry.

W drugiej połowie meczu Pennsville koncentruje się na powstrzymaniu Numeru 21, co pozwala Sirowi, Hakimowi i Terrellowi zdobyć wiele punktów.

Przez cały czas utrzymujemy dziesięciopunktową przewagę, jednak trener nie ryzykuje wystawienia żadnego z rezerwowych, nawet gdy Pennsville prosi o czas tylko na minutę przed końcem spotkania.

Gdy nadchodzi koniec meczu, dociera do mnie nieodwracalność mojego położenia i zaczynają mnie piec oczy. Czuję, że za chwilę mogę się rozplakać, jakkolwiek żałośnie to brzmi.

Moja degradacja boli.

Kocham koszykówkę całym sercem.

Pracowałem ciężiej niż ktokolwiek w tym zespole.

Spędziłem mnóstwo czasu z Numerem 21, tak jak prosił mnie trener.

A mimo to grzałem ławę w jednym z najważniejszych spotkań roku.

Kiedy wygrywamy i nadchodzi moment uściśnięcia dłoni przeciwnikom, kilku dziennikarzy biegnie do Numeru 21 i zadaje mu pytania o to, kim jest i skąd się tu wziął.

– Mówcie mi Numer 21 – oznajmia Russ, po czym pokazuje na sufit. – Przybyłem z kosmosu.

Nasz trener kłóci się z trenerem Pennsville, który krzyczy:

– Dzieciak nie spadł tu z nieba! Jak to możliwe, że nikt wcześniej nie słyszał o tym Washingtonie, skoro jest regulaminowym członkiem drużyny? Czemu go chowałeś? Zgłaszam protest! Nie będziesz mi wciskał gówna.

Uczniowie i rodzice wylegli na parkiet, a drużyna świętuje, jakbyśmy wygrali mistrzostwa stanowe.

Numer 21 rozmawia o kosmosie z garstką bardzo zmieszanych reporterów.

Koledzy z zespołu przybijają wszystkim piątki, wykrzykują szyderstwa, rapują, a nawet tańczą. Rodzice uczniów wyglądają jak

banda szczęśliwych wariatów, jakby był Nowy Rok albo coś. Też powinienem świętować, ale nie potrafię.

Mam wrażenie, że zaraz mi odbije.

Nie powinienem wychodzić, jednak wymykam się tylnymi drzwiami i zaczynam biegać po zapuszczonym torze.

Na zewnątrz jest zimno, a ja mam na sobie tylko strój do kosza. Nagle zaczynam biec ile sił, choć nie wiem dlaczego.

Nigdy już nie będę rozgrywającym w kluczowych momentach meczu, skoro Numer 21 objawił się jako najlepszy gracz we wszechświecie – mimo że pracowałem tak ciężko. Nie mogę sobie wyobrazić, jak to zniosę, gdy przyjdzie mi spojrzeć dziadkowi i tacie w twarz i powiedzieć im, że choć się starałem, nie jestem już w pierwszym składzie. Wiem też, że wszystko się zmieni pomiędzy mną a Numerem 21. Koniec z wyrozumiałością. Jak mogę być jego przyjacielem, skoro jedyne, czego pragnę, to pozbawić go miejsca w pierwszym składzie? To nie w porządku.

Biegnę więc szybciej, starając się przestać myśleć, wyłączyć umysł, podnieść sobie poziom endorfin, sprawić, by serce zaczęło mi walić, i wyzbyć się wszystkich emocji, które mnie ogarnęły, gdy siedziałem na ławce.

– Finley! Zaczekaj! – Erin biegnie co sił, próbując mnie dogonić. – Musisz wracać do środka, bo inaczej trener cię zawiesi za opuszczenie rozmowy z drużyną.

– Nie mogę z tobą rozmawiać – odpowiadam. – Mamy sezon. Zerwaliśmy ze sobą.

– Wracaj do środka, zanim trener się zorientuje, że sobie poszedłeś.

– Nie widziałaś, jaki jest dobry?

– Widziałam.

– Więc dlaczego powinienem wracać do środka?

– Bo ciężko harowałeś! Razem harowaliśmy! Jesteś mi to winien. Trener odesłał cię na ławkę, bo przestałeś rzucać, a nie dlatego że Numer 21 jest od ciebie lepszy. Gdybyś trafił w pierwszej kwarcie, kiedy kazał ci rzucać, wpuściłby cię później do gry. Ale nie wykonałeś planu, Finley. Trener chciał cię nauczyć dyscypliny, a teraz zachowujesz się jak dziecko, biegając tu na zimnie, i to po ciemku.

Erin mówi to wszystko, biegnąc razem ze mną, i z jakiegoś powodu jej słowa sprawiają, że jeszcze bardziej przyspieszam, aż w końcu Erin przystaje.

Biegnę jedno okrążenie bez niej.

Ma rację.

Dostałem lekcję dyscypliny, na którą sobie zasłużyłem.

To prawda, że zachowuję się jak dziecko.

Szybki bieg mnie odpręża.

Chcę powiedzieć Erin, że na boisku była wspaniała, ale nadal jestem zbyt zdenerwowany, więc kiedy do niej dobiegam, tylko raz kiwam głową i wydecham ciepłe mgiełki w chłodne nocne powietrze.

Erin drży, a ja zwalczam w sobie pragnienie, by ją objąć.

– Zabieraj tyłek do środka! – Erin uśmiecha się do mnie zadziornie.

– No już!

Chcę jej dotknąć. Wspólna noc na dachu byłaby teraz wspaniała. Czuję mrowienie w palcach u rąk i nóg. Cieszę się, gdy Erin daje mi ręką sygnał, że mogę biec przodem. Przybijam jej piątkę i wbiegam do środka, gdzie zespół w końcu schodzi do szatni.

Po raz drugi Numer 21 przybiera minę, którą łatwo można by odczytać jako zarozumiałą, ale tym razem nikt nie zadaje mu żadnych pytań.

Przychodzi trener i zaczyna mówić o tym, co nam w meczu wyszło, a nad czym musimy popracować, tak jak zawsze. Ani słowem nie komentuje gry Numeru 21.

Trener zapowiada, nad czym skupimy się na jutrzejszym treningu, a na koniec dodaje, że jest dumny z tego, jak graliśmy zespołowo, co jest lekko ironiczne, bo ja grałem chyba tylko minutę, a pozostałych dwunastu zawodników rezerwowych, którzy nie uważają, że przybyli tu z kosmosu, w ogóle nie weszło na boisko.

Gdy kończy mówić, stajemy w okręgu, wyciągając ręce do środka, i krzyczymy: „Drużyna!”.

Kiedy zaczynamy się rozchodzić każdy w swoją stronę, trener Watts staje pomiędzy Numerem 21 a resztą zawodników, prawie jakby nie chciał, by ktokolwiek odezwał się do Russa.

Trener Wilkins każe mi przyjść do swojego gabinetu i gdy zamyka

za sobą drzwi, mówi:

– Russ jest nowym rozgrywającym, więc jeśli chcesz wyjść na boisko, to lepiej rzucaj, kiedy nikt cię nie kryje. Zrozumiano?

– Tak.

– Nie wykonałeś planu gry, Finley. Musiałem posłać cię na ławkę. Zrobiłbym to samo w wypadku każdego innego zawodnika.

Wierzę mu.

– Masz coś do powiedzenia? – pyta.

Zastanawiam się, po czym odpowiadam:

– Myślę, że on udaje.

– Słucham?

– Russ. Mówi tyle o kosmosie, żeby ludzie trzymali się na dystans.

– Wiem.

– On nie chce grać w kosza.

– Jeśliby tak było, to nie sądzę, żeby odstawił dziś taki show – stwierdza trener.

– Mam złe przeczucia, trenerze.

– Robimy, co możemy, Finley. Nie zmienimy tego, co przydarzyło się rodzicom chłopaka, ale jesteśmy w stanie dać mu możliwość, by robił to, w czym jest najlepszy. On potrzebuje gry w kosza tak samo jak ty. Zaufaj mi.

Trener musi wierzyć, że postępuje słusznie, bo nie wie, co innego zrobić. Kiedyś słyszałem, jak ktoś mówił, że dla człowieka z młotkiem w ręce wszystko wygląda jak gwóźdź. Wydawało mi się, że to tylko banał, ale teraz jestem przekonany, że to powiedzenie idealnie opisuje trenera. Gdy to sobie uświadamiam, robię się trochę smutny.

Chcę grać w koszykówkę i wygrać mistrzostwa stanowe.

Chcę być rozgrywającym drużyny.

Czuję też, że powinienem pomagać Numerowi 21, i nie jestem pewien, czy trener ma rację co do tego, że Russ potrzebuje gry w kosza.

To nie ja tu jestem trenerem, więc mówię:

– Od teraz będę rzucał, kiedy mi pan każe.

– I dobrze – odpowiada. – Do zobaczenia jutro na treningu.

Tata wyszedł zaraz po zakończeniu meczu. Musiał zdążyć do pracy.

Ponieważ chcę być sam, mówię dziadkowi, że idziemy do knajpy na skrzydełka z chłopakami z drużyny.

Rodzice Erin zabierają go do domu, a ja ruszam szarymi, brudnymi, zaśmieconymi ulicami Belmont.

Prawie wszystkie lampy zostały rozbite kamieniami, więc jest dość ciemno.

Panuje przeszywający chłód, a ja nadal mam na sobie szorty, a na wierzchu zimową kurtkę. Idąc przed siebie, z zaskoczeniem zauważam, że nie myślę o meczu ani o utracie miejsca w pierwszym składzie.

Myślę o Numerze 21 i o tym, jak bardzo musi cierpieć.

Ludzie nie mówią, że przybyli z kosmosu, ot tak sobie.

Dociera do mnie głęboki bas ze stereo w drogim aucie. Odwracam głowę i widzę tylko dwa jaskrawoczerwone światła. Skądś wiem, że samochód się zatrzyma, i rzeczywiście, zatrzymuje się tuż przede mną. Ktoś wyłącza muzykę.

– Ej, Biały Króliku, wsiadaj!

To głos Terrella.

Podchodzę do okna po stronie pasażera. Jedzie ze swoim bratem Mikiem. Obaj mają na szyjach złote łańcuchy i ogromne diamentowe kolczyki w uszach.

– Co się tak gapisz!?! – krzyczy Mike z siedzenia kierowcy. – Ładuj do środka swój błady tyłek, zanim ci odmarznie w tych cienkich portkach. Kolana masz białe jak śnieżki!

Otwieram tylne drzwi i wskakuję do środka, lecz Mike nie rusza z miejsca.

– Wiedziałeś o tej kosmicznej bajce od samego początku, prawda? – pyta Terrell.

Nie wiem, dlaczego miałbym kłamać, więc potakuję.

Terrell odwraca się w moją stronę i patrzy mi w twarz, ale Mike w ciemnych okularach spogląda na mnie przez lusterko wsteczne. Wyczuwam dym o słodkawym zapachu i po chwili zauważam, że Mike

pali skręta. Chcę wysiąść z auta, jednak wiem, że nie mogę.

– Jak bardzo jest szalony? – pyta Terrell.

– Nie wiem.

– Tak szalony, żeby pewnego dnia pojawić się w szkole z gnatem i zacząć strzelać do ludzi, czy tylko by gadać głupoty o kosmosie?

– To drugie, jak mniemam – odpowiadam.

– Czego niby nie masz? – odzywa się Mike. – Nikt tu od ciebie niczego nie chce.

– Czyli tylko gada bzdury? – pyta Terrell.

– Właściwie to nie wiem.

– Trener kazał ci mu pomóc, tak?

– Mhm.

– Czyli kumplowałeś się z nim, mimo że odebrał ci miejsce? – mówi Mike.

– Tak.

– Ale z ciebie królik – kwituje Terrell.

– Dobry z ciebie gość – stwierdza Mike i zaciąga się jointem. – Lubię cię. Masz coś, co starsi ludzie nazywają charakterem.

– Russ jest porąbany, ale dzięki niemu drużyna jest mocniejsza – mówi Terrell.

– Odwiozę cię do domu – proponuje Mike. – Jesteś w porzo, stary.

Nie chcę, żeby Mike wiozł mnie do domu, bo jest na haju, lecz nie mogę nic poradzić, więc siedzę sobie na tylnym siedzeniu. Kiedy jeden z najgroźniejszych dilerów narkotykowych w okolicy chce cię odwiedzić do domu, to nie protestujesz. Wiem, że ma przy sobie broń. W samochodzie jest na pewno kilka pistoletów, a o tym, co kryje się w bagażniku, boję się nawet myśleć.

Podjeżdżamy pod mój dom i na moment, zanim wysiadam, Mike pyta:

– Potrzebujesz sałaty, Biały Króliku?

– Pieniądzy – tłumaczy Terrell, kiedy nie odpowiadam.

Przecząco kręcę głową.

– Daj nam znać, gdyby w twojej rodzinie to się zmieniło – mówi Mike. – Zawsze możesz dla nas pracować. Lubię mieć pod sobą ludzi z charakterem.

Kiwam głową, choć nigdy nie chciałbym roznosić prochów po mieście, po czym wysiadam z auta tak szybko, jak tylko się da.

Kiedy Mike i Terrell odjeżdżają, wchodzę do domu i zastaję dziadka nad piwem.

Tata jest już w pracy, więc dziś wieczorem będziemy sami.

– Czujesz się do dupy, co? – pyta dziadek.

– Mhm.

– A nie powinieneś. Twój ojciec zawsze ci powtarzał, że możesz pracą przewyższyć talent, ale mam dla ciebie wiadomość, Finley. Możesz pracować i starać się ile sił przez resztę życia, a twoja gra nigdy nie będzie tak dobra jak to, co zobaczyliśmy dziś wieczorem. – Dziadek pije łyk z butelki i dodaje: – Chciałbym się wykapać. Pomożesz?

Kiwam głową i pcham wózek dziadka do łazienki, gdzie rozbieram go i podsadzam do wanny.

Trzymam nad dziadkiem słuchawkę prysznicową, a on mydli sobie głowę. Patrząc, jak piana spływa mu po karku i po zielonych koralikach różańca babci. Dziadek nie ściąga ich nawet do kąpieli. Kiedy kończy, mówi mi, żebym zakręcił wodę.

– Trener przywróci cię do gry. Nie martw się. Wszystko się ułoży – dodaje.

Zastanawiam się, co myśli sobie teraz Numer 21. Czy dobrze mu się grało? Czy dzięki temu poczuł się lepiej? Czy koszykówka pomaga mu podobnie jak mnie? A jeśli tak, czy potrzebuje miejsca w pierwszym składzie bardziej niż ja?

– Uwielbiam patrzeć, jak grasz w kosza, Finley. Ostatnio to najlepsza rzecz w moim życiu. Dzięki temu czuję się nawet trochę, jakbym wciąż miał nogi. Ale życie to coś więcej niż tylko mecz. Ten Russ jest wyjątkowy, każdy to powie. A trudno jest być wyjątkowym. Rozumiesz, o co mi chodzi?

Nie rozumiem, ale i tak kiwam głową.

– Ty też jesteś wyjątkowy, Finley. Nie zawsze można wybrać rolę, jaką będzie się odgrywać w życiu, lecz cokolwiek by ci się trafiło, dobrze tę rolę grać najlepiej, jak się potrafi – ciągnie dziadek. – I wiem, że mówienie o tym robi ze mnie cholernego hipokrytę, ale moje słowa nie przestają przez to być prawdziwe. Jak do tej pory obaj mieliśmy

ciężkie życie. Obaj mieliśmy pod górkę.

Nie wiem, co na to odpowiedzieć, zwłaszcza że wcale nie jestem wyjątkowy, więc wyciągam tylko dziadka z wanny i kładę do łóżka.

Nie śpię całą noc, myśląc o tym, co się stało i co to wszystko znaczy.

Nazajutrz, kiedy tylko jego dziadek znika w oddali, Numer 21 sięga do swojej torby na ramię i wyciąga brązowy strój zrobiony z rączników spiętych agrafkami. Przeciąga głowę i ręce przez otwory.

Na jego piersi widnieje napis KOSMOS, wykonany z czerwonego materiału, który wcześniej był najprawdo-podobniej koszulką.

Następnie wiąże wokół szyi połyskującą złotą pelerynę. Peleryna wydaje się droga, kupiona w sklepie, bo ma srebrny zatrzask, a materiał jest dużo cięższy niż taki, z jakiego uszyłoby się kostium na Halloween.

Kiedy Numer 21 nakłada na głowę kask pomalowany srebrnym sprayem, tylko mu się przyglądam. Na przodzie przykleił złotego orła – podobnego do tego, którym zakończone jest drzewce z flagą w każdej klasie.

Zastanawiam się, dlaczego ukrył strój i pelerynę, skoro dziadek na pewno widział kask, ale oczywiście nie pytam.

– Koniec z Russem Washingtonem – oznajmia. – Nadchodzi Numer 21. Nadszedł czas, by wkrótce opuścić Ziemię. I tak wszyscy widzieli już moje pozaziemskie moce.

Pytam go wzrokiem, czy jest tego pewien.

Numer 21 ignoruje moje spojrzenie i mówi:

– Po treningu chciałbym posłuchać z tobą szczególnej płyty, która wszystko wyjaśni. Chcę poprosić Wesa, żeby do nas dołączył. Posłuchasz ze mną płyty rekrutacyjnej?

Kiwam głową.

Jaka płyta wyjaśnia wszystko?

Chcę wiedzieć, ale zdaję sobie sprawę, że Numer 21 chyba traci rozum – a może udaje?

Kiedy docieramy do szkoły, otacza nas tłum uczniów. Chcą się dowiedzieć, dlaczego Numer 21 ma na sobie to, co ma na sobie, z jakiego dokładnie miejsca w kosmosie przybył i ile punktów zdobędzie w następnym meczu.

Najładniejsze dziewczyny trzepoczą rzęsami, zagadują: „Hej, Numerku 21” i przesyłają mu całusy, a nawet dotykają jego kasku w zalotny sposób.

Trudno w to wszystko uwierzyć, zwłaszcza jeśli się nie wie, jak popularna jest koszykówka w Bell-mont.

Otacza nas coraz gęstszy tłum, ale Numer 21 po prostu idzie przed siebie z upiornym uśmiechem na twarzy.

I kto by się spodziewał, że zachowując się jak totalny świr, stanie się szkolną gwiazdą?

A może to dlatego że jest niesamowitym koszykarzem?

Podczas gdy wszyscy pchają się w naszą stronę i wykrzykują pytania, zaczynam się czuć niewidzialny, bo nikt nie odzywa się do mnie słowem, mimo że wiedzą, że ja i Numer 21 jesteśmy dobrymi kumplami. Wcześniej inni też niewiele się do mnie odzywali, teraz jednak, kiedy pojawił się Numer 21, dociera do mnie, że on ma coś, czego ja pewnie nie posiadam – nie tylko sportowe uzdolnienia, ale również cechy gwiazdy. Gra słów nie była zamierzona.

Gdy w końcu wchodzimy na schody szkoły, Numer 21 zatrzymuje się i mówi:

– W następnym meczu zdobędę bardzo dużo punktów, na pewno więcej niż czterdzieści. A pochodzę z miejsca, o którego istnieniu nie macie nawet pojęcia. Niedługo tam powrócę i pozostałych rzeczy o mnie dowiedziecie się od mojego ziemskiego przewodnika Finleya, który jest również moim dokumentalistą.

Większość uczniów wokół nas śmieje się, jakby Numer 21 żartował. Za grupą jakichś dwudziestu osób dostrzegam Erin, która przygryza wargę.

– Finley – mówi Russ – powiedz zgromadzonym masom wszystko, co powinny wiedzieć o Numerze 21.

Oczy tłumy skupiają się na mnie, ale oczywiście nic nie mówię, bo – owszem – jestem oszczędny w słowach. Choć nawet gdyby nigdy nie zamykała mi się paszcza, nie miałbym co powiedzieć.

– To nie fair!

– Biały Królik nigdy nic nie mówi!

– Jak to możliwe, że tak prowadzisz piłkę?

– Chcemy wiedzieć, gdzie grasz!

– O co chodzi z tym kosmicznym kostiumem? Występujesz z zespołem Black Eyed Peas czy co?

– Kim ty w ogóle jesteś?

– Jestem Numer 21 z kosmosu! – powtarza Russ i obraca się tak szybko, że jego połyskująca peleryna powiewa w powietrzu.

Wmaszerowuję za nim do budynku.

Pytania ciągną się przez cały dzień.

Numer 21 uśmiecha się bez przerwy i powtarza te same kwestie o przybyciu z kosmosu i badaniach nad ludzkimi emocjami.

Im mniej mówi, tym większą zyskuje popularność wśród kolegów z klasy. Wszyscy chcą znać jego sekret i to jest jego moc – sam fakt, że go ma.

Lokalne gazety nie piszą szerzej o Numerze 21, podają tylko, ile zdobył punktów, asyst i zbiórek. Redaktorzy byli pewnie zbyt przestraszeni, by donieść, co naprawdę powiedział im Russ. Ciekawe, ile czasu minie, zanim jego prawdziwa historia wyjdzie na jaw i Numer 21 będzie się musiał zmierzyć z prawdą o swojej przeszłości.

Nauczyciele nie pytają Russa o kostium, przez co nabieram przekonania, że tak im kazano, ponieważ Numer 21 wygląda wprost nedorzecznie – jak dziwak przebrany na Halloween albo ktoś jeszcze bardziej szalony.

Martwię się nadchodzącym lunchem, kiedy zobaczymy się z resztą drużyny bez nadzoru nauczycieli, ale zostajemy wezwani do szkolnego pedagoga i rozdeleni tuż przed przerwą.

Numer 21 zostaje odesłany do gabinetu pani Joyce, a ja do pana Gore'a.

Mokra włoszka pana Gore'a jest dziś wyjątkowo połyskliwa.

– Kazałem tu przysłać twój lunch – mówi, gdy siadam przy jego biurku. – Jedz.

Spoglądam na kanapkę z indykiem na ciepło.

Biały chleb.

Sos w musztardowym kolorze.

Wygląda smacznie.

Jestem głodny, więc jem.

– Czy już się domyśliłeś, dlaczego trener wybrał ciebie, żebyś pomógł Russowi? – pyta pan Gore.

Przecząco kręcę głową.

Pan Gore uśmiecha się szeroko – zbyt szeroko. Mam wrażenie, że każdy jego ząb nazywa mnie kłamcą.

Składa razem opuszki palców i rytmicznie styka nadgarstki, co wygląda tak, jakby pająk robił pompki na lustrze.

– Powiedz mi coś, Finley. – Pan Gore patrzy mi głęboko w oczy, aż spuszczam wzrok na jedzenie. – Jak twój dziadek stracił nogi?

Nienawidzę, kiedy pan Gore zadaje mi pytania bez związku – a to jedno w szczególności.

Czuję, że twarz mi płonie, zresztą jak zawsze, gdy jestem w jego gabinecie. Nie znoszę tego uczucia, które mnie ogarnia, kiedy jestem zmuszony wysłuchiwać jego bezcelowych, głupich pytań.

– Nie sądzisz, że to trochę dziwne, że nie znasz odpowiedzi? Nigdy się nad tym nie zastanawiałeś? I przez te wszystkie lata nie przyszło ci do głowy, by o to zapytać?

Dłonie trzymam zaciśnięte w pięści. Pan Gore próbuje wyprowadzić mnie z równowagi, żebym zaczął mówić, a to mi się nie podoba.

– Co się stało z twoją mamą? – dopytuje pan Gore.

Teraz już naprawdę jestem zirytowany jego nieustającymi pytaniami, zwłaszcza że w pokoju obok znajduje się uczeń, który twierdzi, że jest z kosmosu.

Po co w ogóle te pytania?

Zaczynam się pocić.

Nie daj się, mówię do siebie. Zrób coś produktywnego, żeby przestać myśleć o tym, co się tu dzieje.

Zabieram się ponownie do kanapki z indykiem. Odgryzam wielkie kęsy i skupiam się na połykaniu. Powoli zaczynam czuć sytość. Próbuję się delektować smakiem mięsa, sosu i miękkiego chleba.

– Finley? – odzywa się pan Gore. – Słuchasz mnie?

Kiwam głową, nie patrząc mu w oczy.

– Jak myślisz, co powinniśmy zrobić z Russem?

– Nie wiem.

Skąd mam niby wiedzieć?

– A jak ty się miewasz? – pyta.

– W porządku.

– Jesteś zły, że straciłeś miejsce w pierwszym składzie?

Wzruszam ramionami.

– Nie ma nic złego w odczuwaniu złości.

Szybko zjadam ziemniaczane purée i wypijam mleko.

Mam ochotę stąd wyjść.

– Chcesz wiedzieć, jak zginęli państwo Allenowie? – pyta Gore.

Tego się nie spodziewałem.

– Nie.

Nie chcę tego wiedzieć.

Dlaczego, do cholery, miałbym chcieć?

– Mogę już pójść? – pytam.

– Nie ma nic złego w tym, że się złościysz, Finley. To dla ciebie duży cios. To więcej, niż mogłaby znieść większość twoich rówieśników. Chcę tylko, żebyś wiedział, że zawsze tu jestem, by cię wysłuchać, gdybyś kiedyś chciał pogadać o Russellu... albo o sobie. Mogę ci pomóc.

– Dzięki – odpowiadam, zmierzając w stronę drzwi.

Kiedy wychodzę, pan Gore woła za mną:

– Gdybyś powiedział Russellowi, co się stało twojej matce, mogłoby mu to pomóc.

Nie chcę nawet myśleć o tym, co sugeruje, więc po prostu wychodzę i siadam na korytarzu przed gabinetami pedagogów.

Zaciskam pięści i rozprostowuję palce najmocniej, jak się da.

Powtarzam taki gest kilka razy, aż się trochę uspokajam.

Numer 21 wychodzi kilka minut później, ale nic do mnie nie mówi.

Ma niewzruszoną minę.

Nadal jest ubrany w brązowy strój, złotą pelerynę i srebrny kask.

Idę za nim korytarzem prowadzącym do naszych szafek. Zaczepia nas osoba nadzorująca korytarz, ale Numer 21 pamiętał o wzięciu przepustki, więc nic nam nie grozi.

Zamieniamy książki z porannych lekcji na popołudniowe, po czym Numer 21 mówi:

– Nie chcę, żebym nosił swój kosmiczny strój. Twierdzą, że to rozprasza innych uczniów w nauce. Zgadzasz się z tym?

– Nie – odpowiadam, co mnie samego trochę zaskakuje, a na

twarży Numeru 21 wywołuje uśmiech.

Nie podobała mi się moja rozmowa z panem Gore'em, dlatego jestem skłonny zaprzeczyć wszystkiemu, co powiedzieli szkolni pedagodzy.

– Może mógłbym nakłonić rodziców, żeby wysłali dla ciebie drugi statek kosmiczny? – mówi Numer 21. – Chciałbyś?

– Bardzo – odpowiadam i się uśmiecham.

Po skończonych lekcjach idziemy na trening.

Numer 21 zdejmuje kosmiczne ubrania i wkłada strój do ćwiczeń, w którym wygląda już bardzo przyziemnie, a nie pozaziemsko.

Kiedy nikt w drużynie nie wspomina nawet słowem ani o kosmosie, ani o niczym, co Russ opowiadał poprzedniego wieczoru, domyślam się, że trener kazał wszystkim trzymać język za zębami.

Numer 21 zaprasza Wesa do wspólnego słuchania płyty po treningu, przekonując, że to trochę w stylu N.E.R.D, bo ma związek z kosmosem. Wes zgadza się, choć szybko zmienia temat, mówiąc:

– Muszę popracować nad rzutami z miejsca.

Rzucamy więc do czasu, aż przychodzi trener i rozpoczyna zwyczajną rozgrzewkę.

Biegam z drugą drużyną i ta degradacja trochę mi teraz doskwiera, chociaż staram się zaangażować w grę przeciw najlepszym zawodnikom. Wkrótce zatracam się w powtarzaniu kombinacji ćwiczeń, czując tylko ból mięśni i spływający ze mnie pot.

– Dobrze ci idzie, Finley – powtarza trener raz po raz, dzięki czemu samopoczucie trochę mi się poprawia.

Po wszystkim zabieramy nasze rzeczy i wskakujemy do cadillaca pana Allena.

– Odwieźć was do domu, chłopcy? – pyta pan Allen.

– Jadą do mnie, żeby posłuchać bardzo ważnej płyty – odpowiada Numer 21.

– Naprawdę? – Pan Allen zerka na nas przez lusterko wsteczne. Brązowe oczy. Siwe brwi. – Jakiej płyty?

– Do szkoły – kłamie Numer 21. – Głównie o naukach ścisłych.

– W porządku – mówi pan Allen.

Kiedy przyjeżdżamy do Allenów, pani domu nalega, żebyśmy

najpierw się wykapali, włożyli szkolne ubrania i zjedli razem obiad.

– Nie wiedziałam, że przyjdziecie, ale dla wszystkich wystarczy – mówi, co jest miłe z jej strony, więc szybko się myjemy, a potem jemy na obiad sałatkę z kurczakiem.

Wes jest bardzo grzeczny i podtrzymuje rozmowę z Allenami, którzy pytają go o koszykówkę i szkołę.

– Czytamy *Małego Księcia* na francuskim – mówi Wes. – Może ci się spodobać, Russell, bo opowiada o chłopcu z innej planety.

– Chętnie przeczytam – odpowiada Russ.

Pani Allen rzuca Wesowi zmieszane spojrzenie – chyba nie chce, żebyśmy pielęgowali w Russie jego fascynację kosmosem. Jej mąż zmienia temat:

– Koszykówka idzie dobrze?

– Dobrze – zapewnia Wes. – Mamy w tym roku świetną drużynę. Zdaniem trenera zajdziemy daleko w sezonowych rozgrywkach.

– Czyżby? – dopytuje pan Allen. – Jakieś nowe taktyki obronne? Może krycie pressingiem?

Wes opowiada panu Allenowi o naszym repertuarze zagrywek i taktyk – zarówno tych, które zastosowaliśmy już podczas spotkań, jak i tych, których nie wykorzystaliśmy. Długo rozmawiają o grze, podczas gdy pozostali słuchają.

W towarzystwie Wesa czuję, że mogę być sobą i się nie odzywać. Allenowie nie zagadują mnie bezpośrednio, a Wes z natury jest bardzo rozmowny, więc obiad przebiega gładko.

Kilka razy przyłapuję pana i panią Allen, jak przypatrują się kosmicznemu przebraniu Russa. W ich oczach widnieje smutek. Przy obiedzie Numer 21 nie ma na głowie kasku.

– Pójdziemy teraz do mojego pokoju – odzywa się Numer 21, kiedy kończymy jeść – i posłuchamy płyty do szkoły.

– W porządku – odpowiada pan Allen. – Uczcie się pilnie.

– Wszystko było pyszne, proszę pani – mówi Wes.

Potakuję głową.

Potem idziemy za Numerem 21 do jego pokoju, w którym całe ściany i sufit są pokryte fluorescencyjnymi gwiazdkami jakby pulsującymi energią. Trochę to upiorne i dezorientujące, ale także piękne

w bardzo niecodzienny sposób.

– Usiądźcie na łóżku – prosi Numer 21, kiedy zamyka drzwi do sypialni.

Siadamy więc, a Russ zaczyna przemierzać pokój.

– Posłuchamy tej płyty? – pyta Wes.

– Potraficie dochować tajemnicy? – pyta Numer 21.

– Jasne – odpowiada Wes.

– Pewnie, że tak – dołączam się.

– Kiedyś robiłem to z moim tatą – mówi Numer 21, nie przestając chodzić – i nigdy wcześniej nikomu o tym nie mówiłem.

– Co to jest „to”? – pyta Wes i rzuca mi nerwowe spojrzenie. Zastanawiam się, czy Wes dowiedział się jakoś, że rodzice Russa zostali zamordowani.

– Kiedy mieszkaliśmy jeszcze w Kalifornii, tata zabierał mnie czasem tam, gdzie nie ma domów ani świateł, żebyśmy mogli zobaczyć całe mnóstwo gwiazd. Często jeździliśmy do pewnego miejsca na wybrzeżu. Na mały klif, z którego roztaczał się widok na Ocean Spokojny. Parkowaliśmy auto i szliśmy wzdłuż krawędzi tak daleko, aż traciliśmy drogę z oczu, żeby reflektory samochodowe nie psuły nastroju.

Numer 21 zwalnia kroku.

– Rozkładaliśmy koc, kładliśmy się i włączaliśmy magnetofon ustawiony pomiędzy naszymi głowami. Przyglądaliśmy się gwiazdom i tata grał swoją muzykę.

Podnosi płytę CD.

Na zdjęciu okładkowym stoi czarny mężczyzna ubrany w nieziemski kostium w stylu faraona i długą pelerynę. Za nim widnieją gwiazdy i chyba Saturn – planeta otoczona pierścieniem.

– Płyta nazywa się *Space Is the Place* i zawiera ścieżkę dźwiękową do filmu, który według mojego taty jest dość marny. Sam nigdy go nie widziałem. Jej autorem jest muzyk jazzowy Sun Ra i jego Intergalactic Solar Arkestra. Sun Ra twierdził, że jego muzyka może przenosić ludzi w kosmos. Miałem nadzieję, że może moglibyśmy poudawać, że patrzymy na gwiazdy i słuchamy tej płyty razem. Zobaczymy, co się stanie. Tak jak robiłem to z tatą.

Wes spogląda na mnie rozbawiony, a ja wzruszam ramionami, dając mu znak, że piszę się na to.

Czemu nie?

Zwłaszcza że to może pomóc wyjaśnić, dlaczego Russ jest Numerem 21.

Jestem też bardzo ciekawy, jak brzmi ta muzyka.

– Okej – mówi Wes, ale w jego głosie pobrzmiewa wahanie.

Numer 21 uśmiecha się i przestaje chodzić tam i z powrotem.

– Będzie się wam podobało. *Space Is the Place!* Kosmos to jest to! Okej, ułóżcie się wygodnie na podłodze. Spójrzcie na gwiazdy. I nic nie mówcie, dopóki nie skończy się cała płyta. To jedyna zasada. Będziecie wiedzieć, kiedy nadejdzie koniec, bo włączę wtedy światło.

Wes rzuca mi kolejne niepewne spojrzenie, ale ja leżę już na podłodze, więc robi to co ja.

Numer 21 zaciąga rolety, wyłącza światło i podczas gdy jego gwiazdy zaczynają świecić tajemniczym zielonym blaskiem, uruchamia odtwarzacz CD i kładzie się między nami.

Płyta rozpoczyna się dziwnymi dźwiękami z kosmosu i głosem kobiety, która powtarza: „Nastąpił koniec świata. Nie wiesz o tym jeszcze?”.

Potem rozlegają się bardzo osobliwe pulsujące dźwięki i kwiczące echa, które brzmią, jakby ktoś mordował trąbkę.

Jednak kiedy patrzę tak na zieloną konstelację, mam wrażenie, że naprawdę jestem w przestrzeni kosmicznej, co jest niezwykle, bo skąd miałbym w ogóle wiedzieć, jakie to uczucie.

Reszta utworu składa się głównie z nagrań bębnów afrykańskich.

Brzmi to mniej więcej, jakby ktoś zrzucił pianino po schodach.

Sun Ra prawi kazania o przeznaczeniu, „mitach ciągle żywych”, zasilaniu swojego statku siłą muzyki – wszystko przy dźwiękach bliższych bardziej zepsutemu komputerowi niż jazzowi.

Przez pewien czas jakaś kobieta śpiewa ładnie o „lepszemu jutrze” i zachęca nas do „zapisania się do Outer Spaceways Incorporated”, jeśli uznamy, że „Ziemia jest nudna”.

Potem zaczyna się piosenka o faraonie, który siedział na tronie, kiedy rządził czarny człowiek, i zastanawiam się, co to ma wspólnego z

kosmosem. Wkrótce jednak zdaję sobie sprawę, że cała płyta jest o kulturze afroamerykańskiej i o tym, jak w kosmosie miałyby ona większe szanse na rozwój.

Muzyka ani trochę nie przypomina piosenek N.E.R.D, ale jest bardzo ciekawa. Leżę sobie, słuchając i przyglądając się wymyślonemu przez Numer 21 kosmosowi, i czuję trochę, jakbym był w transie, bo rzeczywiście wydaje mi się sobie, że podróżuję przez odległe galaktyki. Jest to bardzo przyjemne.

Nigdy nie brałem narkotyków, ale wyobrażam sobie, że zażywanie kwasu przypomina w jakiś sposób słuchanie w ciemności *Space Is the Place* przy jednoczesnym wpatrywaniu się w konstelacje z fluorescencyjnych naklejanych gwiazdek.

Ostatni utwór to piosenka tytułowa. Jest wesoła i dzięki niej czuję, że naprawdę chciałbym się udać w przestrzeń kosmiczną, gdzie „nie ma rzeczy niemożliwych”.

Słuchając tej płyty, łatwo zrozumieć, skąd Numer 21 zaczerpnął swoją filozofię i te wszystkie dziwne przebrania.

Wes i ja ani piśniemy przez cały ten koncert, a kiedy nagranie się kończy, Numer 21 włącza światło.

Wes i ja siadamy i mrugamy.

– To było coś... innego – stwierdza Wes z kwaśną miną, jakby naprawdę chciał powiedzieć: „Co to, do cholery, było?”.

– I co myślicie? – odzywa się Numer 21.

– O czym? – pyta Wes.

– O kosmosie. Chcecie lecieć ze mną?

Wes unosi brwi.

– A dokąd ty właściwie chcesz się wybrać?

– Na Saturna, a potem dalej – odpowiada Numer 21. – Czarny człowiek i kosmos! Tam są teraz moi rodzice.

– Finley też? Czy może kosmos jest tylko dla czarnych? – pyta Wes.

Słyszę sarkazm w jego głosie.

– Obecność Finleya działa uspokajająco – mówi Numer 21. – Zrobimy wyjątek. Będzie naszym białym kosmicznym podróżnikiem.

Uśmiecham się. To wszystko szaleństwo. Russ być może żartuje,

udaje, próbuje nas nabrać, ale Wes czuje się niezręcznie.

– Okej – postanawia Wes. – Polecimy razem z tobą w przestrzeń kosmiczną. Kiedy odlatujesz?

– Wcześniej, niż ci się wydaje.

– No tak – mówi Wes. – Rozumiem. Finley i ja musimy już iść. No wiesz, praca domowa i w ogóle. Zobaczymy się jutro rano?

– Znakomicie – odpowiada Numer 21. – Tak się cieszę, że podejmiecie ze mną tę podróż. Będziemy częściej słuchać Sun Ra, żeby przyzwycząić się do przebywania w kosmosie. Niedługo znów przećwiczymy podróżowanie w przestrzeni pozaziemskiej.

Chcę zapytać Russa o muzykę i o to, dlaczego właśnie tę płytę miał w zwyczaju słuchać z ojcem pod gwiazdami na skraju klifu, ale Wes wyszedł już z pokoju, a ma mnie podwieźć do domu. Postanawiam więc zapytać Russa jutro, kiedy będziemy sami. I tak łatwiej nam rozmawiać tylko we dwóch.

Na dole żegnamy się z państwem Allen.

– Odwieźć was do domu? – proponuje pan domu.

– Mieszkam za rogiem – odpowiada Wes. – Mój dziadek odwiezie Finleya.

Przecznicę od domu Allenów Wes mówi:

– Myślę, że to poważna sprawa. Ta muzyka była nienormalna. Nie wierzę, że leżałem tam przez cały ten czas i jej słuchałem. On albo jest psycholem, albo się nami bawi.

Jestem zaskoczony. Wes nie uważał, że to było ciekawe doświadczenie?

– Albo robi to, co musi, żeby jakoś przetrwać kolejny dzień – mówię.

– To znaczy?

Nie mam okazji odpowiedzieć, bo słyszę, jak ktoś za nami wykrzykuje moje imię. Odwracam się i dostrzegam Russa, który biegnie ku nam ile sił, a za plecami powiewa mu peleryna.

– Finley! Finley! Zaczekaj!

Wes i ja wymieniamy spojrzenia. Jest zaniepokojony tak samo jak ja. Kiedy Numer 21 dobiega do nas, kładzie mi dłoń na ramieniu i przez dłuższą chwilę próbuje złapać oddech.

– Co się dzieje? – pyta Wes.

– Dziadek po nas podjedzie.

Widzę reflektory cadillaca pana Allena zbliżające się w naszą stronę.

– Mówiłem ci – mówi Wes. – Nie potrzebujemy transportu.

– Właśnie dzwonił trener – tłumaczy Russ, dysząc. – Zdarzył się wypadek.

– Co się stało? – pyta Wes. – Mów!

Russ ignoruje Wesa, kładzie drugą dłoń na moim ramieniu i zagląda mi w oczy. Dostrzegam Russa, którego widziałem w jego urodziny, kiedy na dachu mojego domu opowiadał o swoim tacie. Prawdziwego Russa – nie Numer 21.

– Chodzi o Erin – wyjaśnia Russ. – Jest w szpitalu. Potracił ją samochód.

– Co? – mówi Wes. – Jak to?

– Nie wiem – odpowiada Russ.

Ktoś znów wpycha mi palec do gardła. Nie mogę oddychać.

Podjeżdża pan Allen, opuszcza szybę i mówi:

– Szybko, wsiadajcie.

Jadę teraz najgorszymi ulicami Bellmont, widząc odbicie swojej pozbawionej wyrazu twarzy w oknie – moja twarz nałożona na nasze beznadziejne miasto.

Oddychaj.

Próbuj oddychać, mówię do siebie.

Robi się to jednak coraz trudniejsze.

– Co się stało? – W końcu mogę wydusić z siebie jakieś słowa. – Nic jej nie jest?

Nikt jednak nie odpowiada, nawet pan Allen, co jest złym znakiem. Naprawdę złym.

ERIN

*Jeśli masz słowa, zawsze istnieje szansa,
że znajdziesz sposób.*

Seamus Heaney

Pan Allen wysadza mnie, Russa i Wesa przed izbą przyjęć, po czym jedzie zaparkować. Automatyczne drzwi otwierają się i zamykają za nami, a ja wymiotuję do kosza w poczekalni.

Czuję się, jakby wypadały mi wnętrzności.

Kiedy łapię oddech, patrzy na mnie pół poczekalni. Znajduje się tam około dwudziestu chorych i osłabionych ludzi siedzących na krzesłach oraz jeden bezdomny, który chodzi tam i z powrotem na końcu poczekalni, krzycząc:

– Będę wdzięczny, jeśli w ogóle ktoś mi pomoże! Będę wdzięczny, jeśli w ogóle ktoś mi pomoże!

Druga połowa wpatruje się w telewizor powieszony w rogu. Leci program o rekinach. Zerkam w samą porę, by zobaczyć wielkie szczęki białego żarłacza, które zaciskają się na lwie morskim.

Russ kładzie mi dłoń na plecach.

– Dobrze się czujesz?

Znów wymiotuję, po czym spoglądam na kolegów.

Nie wiem, jak się czuję.

– Słuchaj – mówi Wes – będziesz musiał skłamać i powiedzieć, że jesteś członkiem rodziny, bo inaczej cię nie wpuszczą. Wiem, bo kiedy moja siostra urodziła dziecko, przyjaciele chcieli ją odwiedzić i w szpitalu powiedzieli, że wpuszczają tylko najbliższą rodzinę. Powiedz im, że jesteś Rod. Na pewno nie pozwolą wejść ani mnie, ani Russowi, więc musisz wziąć się w garść.

Ręka Wesa też leży na moim ramieniu.

– Musisz być silny dla Erin. Musisz być mężczyzną. Okej? – pyta.

Potakuję, bo powinienem, ale czuję się, jakbym znów miał zwymiotować.

Przy recepcji Wes mówi pielęgniarce, że jestem bratem Erin. Tak jak przewidywali, on i Russ muszą zostać w poczekalni, podczas gdy ja zostaję zaprowadzony na oddział pourazowy. Stoję pod drzwiami pokoju Erin przez kilka sekund, zanim wchodzę do środka.

Koszmar.

Lewa noga Erin jest usztywniona, a jej szyję podtrzymuje

plastikowy kołnierz.

Jej prawa ręka jest cała zabandażowana.

Na twarzy ma czerwony opatrunek, który kiedyś był biały.

Wokół oczu ma czarnofioletowe cienie.

Jej skóra naprawdę jest napuchnięta i błyszcząca, jakby pod oczami ktoś wysmarował ją wazeliną.

Pani Quinn siedzi przy jej łóżku na kółkach, więc może nie jest to łóżko. Nie wiem.

Trzymają się za ręce.

Erin jęczy, a jej policzki są mokre od łez.

– Zostawię cię z rodziną – mówi pielęgniarka.

Przez długi czas stoję zupełnie nieruchomo, tylko patrzę i zastanawiam się, czy to się dzieje naprawdę.

Ciało Erin jest zrujnowane.

Włosy pani Quinn są napuszone i rozczochrane, a jej oczy małe i przestraszone. Wpatruje się w okno, mimo że zaciągnięto rolety. Ani Erin, ani jej mama na początku mnie nie zauważają.

Podchodzę do drugiej strony łóżka i biorę Erin za rękę. Nie ściska jej.

Nasze spojrzenia się spotykają. Erin jest do siebie niepodobna z powodu opuchlizny, ale rozpoznaję jej zielone jak koniczyna oczy.

Zaczyna mówić bardzo szybko:

– Finley, mam strzaskaną nogę. Nigdy nie będę w stanie grać. Nigdy. To koniec. Naprawdę. Zakończyłam sezon. Moja kariera koszykarska też się skończyła. Nie mam teraz szans na stypendium sportowe. Wiedzieli, że mnie potrącili. Widzieli moją twarz. Wleciałam im na maskę. Spadłam na ulicę i zostawili mnie tak, jakbym była martwym zwierzęciem. Wydawało mi się nawet, że przyspieszyli, kiedy... Ale to przecież nie może być prawda, co? Kto by coś takiego zrobił? I teraz nie mogę grać w kosza. Co będzie z moimi studiami? Jak ja się teraz wydostanę z Belmont? Powinnam była wcześniej wybrać uczelnię. Jak mogli mnie tam tak zostawić? Nie chcę, żebyś mnie taką widział, Finley. Pewnie wyglądam strasznie. Może powinieneś sobie pójść. Nie, nie idź. I ratownicy przecięli mi nowy sportowy stanik. Kupiłam go dopiero dwa dni temu i kosztował tyle pieniędzy, i...

– Ciii... – mówi pani Quinn. – Jesteś w szoku, skarbie. Zanim się obejrzysz, znów będziesz grać w kosza. Kupimy ci nowy stanik. Wszystko będzie dobrze.

Przez głowę przebiega mi tyle myśli, ale wszystkie wydają się bez sensu.

– Boli, Finley. Tak bardzo mnie boli. Nie mogę ruszyć nogą.

Kiedy Erin zaczyna płakać, wygląda jak małe dziecko w stanie skrajnego wyczerpania. Widzę ból, który ogarnia jej twarz i całe ciało.

Nawet płacz sprawia jej cierpienie.

Chcę jej powiedzieć, że będzie dobrze – że wkrótce znów będzie grać.

Chcę zapytać o wypadek. Jak to się stało?

Czy będzie jeszcze w stanie chodzić, nie mówiąc o grze w kosza?

Patrę na mamę Erin, szukając pomocy.

– Nie może dostać leków znieczulających, dopóki nie wykluczą urazów głowy. Niedługo zrobią jej jeszcze jedno prześwietlenie i kiedy stwierdzą, że nie ma uszkodzenia mózgu, podadzą jej środki przeciw-bólowe – wyjaśnia pani Quinn. – Musisz jeszcze troszkę wytrzymać, Erin.

– A co z jej nogą? – pytam. – Co powiedzieli lekarze?

Gdy pani Quinn nie odpowiada, przyglądam się jej twarzy. Sama wygląda na bardzo przestraszona. Nagle dociera do mnie, że jest gorzej, niż początkowo myślałem.

– Finley – mówi Erin.

Jej oczy są czerwone, ale nawet teraz przebłyskuje przez nie zieleń, nawet spomiędzy opuchlizny i siniaków – a może nawet bardziej z ich powodu.

– Będziesz znów moim chłopakiem? – pyta. – Potrzebuję, żebyś teraz nim był. Boję się. Naprawdę się boję. Proszę, bądź moim chłopakiem. Nie dam sobie rady sama. Proszę. Proszę.

Kiwam głową.

Oczywiście, że będę.

– Chcę, żebyś to powiedział – mówi, a jej głos jest bardzo delikatny, niemal dziecinny, zupełnie niepasujący do Erin. Naprawdę zaczynam się martwić.

- Od teraz znów jestem twoim chłopakiem.
- Więc mów do mnie. Opowiedz mi o czymś – prosi.
- Na przykład?
- O czymkolwiek, dzięki czemu nie będę myśleć o bólu.
- Zwymiotowałem, zanim tu wszedłem.
- Naprawdę? Nic ci nie jest?

– Wes i Russ są w poczekalni. Numer 21 kazał nam leżeć na podłodze w swoim pokoju w ciemności i słuchać płyty jazzowej o podróżowaniu w przestrzeni kosmicznej za pomocą muzyki, co było przedziwne, i nagle znalazłem się w szpitalu, i tak się o ciebie martwiłem, że aż zwymiotowałem. Dwa razy. Wyrzygałem nawet żółć.

– Jakie to romantyczne. Naprawdę wiesz, co zrobić, żeby dziewczyna poczuła się wyjątkowo – mówi Erin, uśmiechając się przez chwilę, co sprawia, że czuję się odrobinę lepiej. – Tęskniłam za tobą. Widzisz, do czego muszę się posunąć, żebyś zwrócił na mnie uwagę?

Próbuje się zaśmiać, ale sprawia jej to taki ból, że znów zaczyna płakać.

Erin wygląda tak źle, że boję się, że umrze.

– Wszystko będzie dobrze.

– Nieprawda. Wcale nie będzie, Finley. – Erin próbuje się uśmiechnąć, ale w rezultacie zaczyna mocniej płakać.

Mama gładzi ją po czole i mówi:

– Ciii... Wszystko jest w porządku. Naprawdę.

Nie wiem, co innego zrobić, więc zaczynam gładzić dłoń Erin niczym kota. Po minucie Erin krzyczy:

– Przestańcie mnie wszyscy dotykać!

Pani Quinn cofa rękę.

Próbuje spojrzeć Erin w oczy, ale ona z determinacją wpatruje się w sufit. Widzę, że nagle nie chce na mnie patrzeć i że powinienem być cicho.

Czekamy w ciszy przez długi czas, aż zabierają Erin do pomieszczenia, gdzie zrobią jej prześwietlenie mózgu.

Pani Quinn może jej towarzyszyć. Mnie pielęgniarka każe zostać.

Nie lubię być sam w szpitalu, wracam więc do poczekalni, żeby sprawdzić, czy nadal siedzą tam Wes i Russ.

Zastaję ich, gdy razem z panem Allenem oglądają program o wężach. Na podwieszonym telewizorze wąż z głową wielkości piłki futbolowej połyka właśnie jakiegoś czworonoga. To chyba pies, choć widzę tylko tylne łapy, które wystają z paszczy gada. Zastanawiam się, dlaczego w szpitalnych poczekalniach puszczają tego typu programy. Czy nie mogliby znaleźć czegoś pogodniejszego?

Pan Allen, Wes i Russ wstają na mój widok. Russ nie ma już na sobie peleryny.

– Co z Erin? – pyta pan Allen.

Kręcę głową i odpowiadam:

– Niedobrze.

– Co jej jest? – dopytuje Russ.

– Ma strzaskaną nogę i siniaki na całej twarzy. Prześwietlają jej głowę, żeby sprawdzić, czy nie ma żadnego urazu. Przez pewien czas mówiła jak nakręcona, potem bardzo się zezłościła i zaczęła na mnie wrzeszczeć, jakbym zrobił coś złego, kiedy ja tylko trzymałem ją za rękę.

– Jest w szoku – mówi pan Allen. – To minie. Niedługo będzie taka jak dawniej.

– Przykro mi – odzywa się Wes. – Cholera.

Numer 21 milczy.

Podnoszę wzrok i widzę, że wąż skończył połykać. Środkowa część gada ma kształt i rozmiar psa – wygląda prawie jak sztuczny.

– Zostanę tu – mówię. – Możecie jechać. Dzięki, że poczekaliście.

– Na pewno? – pyta Wes.

– Tak. Rodzice Erin pewnie mnie podwiozą.

– Powiedz Erin, że trzymamy za nią kciuki.

– Właśnie – dodaje Wes. – Przekaż jej to.

– Będziemy się za nią modlić – obiecuje pan Allen.

– Dzięki. – Wracam na urazówkę, ale Erin i jej mama nadal są na prześwietleniu.

Sam w szpitalu myślę o tym, jacy krusi są ludzie, jak każdy może w jednej chwili zniknąć na zawsze – przecież o mały włos nie straciłem Erin. Zaczynam sobie przypominać rzeczy, o których nie chcę pamiętać, gryzę więc skrawek skóry pomiędzy swoim kciukiem a palcem

wskazującym tak mocno, że ból powstrzymuje mózg przed wygrzebywaniem śmieci, które leżą gdzieś na dnie pamięci.

Kiedy Erin wraca do pokoju, ma podłączoną krop-lówkę i jest w półprzytomna.

– Z jej mózgiem wszystko w porządku – mówi pani Quinn. – Dostała morfinę.

Przyciągam krzesło i biorę Erin za rękę.

– Znów jestem twoim chłopakiem.

– To dobrze – odpowiada, uśmiecha się i zamyka oczy.

W końcu przyjeżdża mój trener wraz z trenerką dziewczyn, panią Battle, postawną i poważną kobietą, która zawsze chodzi w dresie. Dziś wieczorem ma na sobie granatowy strój z trzema srebrnymi paskami biegnącymi wzdłuż rękawów i nogawek. Rodzice Erin przekazują im wszystkie informacje.

Potrącenie z ucieczką z miejsca zdarzenia.

Strzaskana noga.

Poważna operacja rekonstrukcyjna.

Kiedy Quinnowie kończą tłumaczyć działanie metalowej szyny – zewnętrznej konstrukcji, która będzie trzymać kości Erin na swoim miejscu – zapada cisza.

Co właściwie można jeszcze powiedzieć?

Koniec sezonu dla Erin.

Trener ze smutkiem kręci głową.

Pani Battle marszczy brwi i mówi:

– Proszę przekazać Erin, że drużyna przyjdzie ją odwiedzić. – Jakby to miało naprawdę pomóc.

Wszyscy w osłupieniu kiwają głowami, po czym trener proponuje:

– Odwiozę cię do domu, Finley. Dajmy Quinnom trochę czasu dla siebie. Erin jest na środkach znieczulających i nie obudzi się aż do rana. Nic tu po tobie.

Spoglądam na Quinnów. Skóra wokół ich oczu jest zaczerwieniona, a zmarszczki pogłębione. Rzeczywiście wygląda na to, że chcą być sami, potakuję więc i wychodzę za trenerem ze szpitala.

Na parkingu żegnamy się z panią Battle, po czym wsiadam do pick-upa trenera.

Za szybą po stronie kierowcy cicho migają światła na ulicach Belmont. Widzę mężczyznę, który śpi na chodniku. Małe porzucone ognisko w metalowej beczce oświetla uliczkę jasną łuną. prostytutki w perukach, krótkich spódniczkach i futrzanych płaszczach przechadzają się pod estakadą.

– Muszę się zaopiekować dziadkiem – mówię, żeby przerwać ciszę. – Muszę go położyć do łóżka.

– Zawiozę cię do domu – odpowiada trener i nie dodaje nic więcej, co sprawia, że czuję się trochę dziwnie.

Jest późno, więc tata wyszedł już do pracy.

Trener opowiada dziadkowi o wypadku – jak Erin wracała po treningu, jak zza zakrętu wyłonił się samochód, kiedy Erin przechodziła przez ulicę, jak uderzył ją i odjechał.

Dziadek tylko kręci głową, bierze do ręki krzyżyk od różańca babci i mówi:

– Nienawidzę tego miejsca.

Zmieniam mu pieluchę, zanoszę go na górę i kładę do łóżka. Gdy gaszę światło, dziadek pyta:

– Co Erin powiedziała o wypadku? Trener mi czegoś nie powiedział?

– Powiedział wszystko.

– Nic więcej nie wiadomo? Jesteś pewny?

Zastanawiam się nad tym, odtwarzając w myślach słowa Erin.

– Powiedziała, że kierowca samochodu chyba trochę przyspieszył, kiedy ją zobaczył.

– Tak właśnie myślałem. – Staruszek kręci głową i wydycha powietrze przez połamane, krzywe zęby.

– Co?

– Może to nie był wypadek.

– To znaczy?

– Nie jesteś głupi, Finley. Przestań udawać, że nie rozumiesz, o co chodzi.

Myślę o tym przez moment i od razu uznaję, że dziadek bredzi. Dlaczego ktokolwiek miałby chcieć złamać Erin nogę?

W salonie trener pije jedno z piw dziadka, siedząc na kanapie.

– Chciałem z tobą porozmawiać – mówi.

Zanim zdążę się zastanowić, pytam:

– Nie uważa pan, że może ktoś celowo potrącił Erin, żeby odegrać się na Rodzie?

Trener bardzo szeroko otwiera oczy. Patrzy tak na mnie przez chwilę.

– Nie wiem i nie chcę wiedzieć. Ty też nie chcesz, Finley. Czy nie

mieszkaś tu od osiemnastu lat? Nie mieszaś się w to. To bezużyteczna wiedza. Nic nie poradzisz na takich bandziorów. Słyszysz? – Pije łyk dziadkowego piwa. – Siadaś.

Siadam.

– Bardzo mi przykro z powodu tego, co przydarzyło się Erin. Wielka szkoda. Straszna szkoda. – Trener przez chwilę patrzy na swoje dłonie, ale kiedy podnosi wzrok, uśmiecha się, co wygląda dziwnie.

– Z innych spraw: wszyscy już wiedzą. Nie musisz dłużej trzymać sekretu Russa w tajemnicy.

„Z innych spraw”? Czy trener tak właśnie zmienił temat?

– Już dzwonią do mnie z najlepszych uczelnianych programów sportowych. Dziś rano dzwonił Trener K****. Sam Trener K! Książę koszykówki. Russ naprawdę ma szansę zejść daleko, a ty pomagasz mu przetrwać ten ciężki dla niego czas, co bardzo ci się chwali. Chcę, żebyś wiedział, że szczerze to doceniam i że dostaniesz swój czas na boisku, nie martw się o to. Wiem, że to dla ciebie ciężka noc, Finley, i dlatego chciałem ci powiedzieć, że jestem z ciebie dumny. Zrobiłeś dobry uczynek, pomagając Russowi. Ale praca jeszcze nieskończona.

Wpatruję się w trenera. Wiem, że próbuje poprawić mi nastrój, ale kiedy Erin jest w szpitalu – a ja przed chwilą widziałem, jak bardzo cierpi, i jest jasne, że jej nadzieje na stypendium koszykarskie przepadły – to nie jest odpowiedni moment, żeby rozmawiać o Russie.

Dłonie zaciskają mi się w pięści i czuję, że twarz robi mi się czerwona.

– Chciałem cię tylko trochę odciążyć, zwłaszcza w świetle tego, o czym teraz pewnie myślisz, skoro Erin jest w szpitalu – podejmuje trener. – Nie jestem z ciebie niezadowolony. Wręcz przeciwnie. A lekarze naprawią nogę Erin. Resztą się nie przejmuj. Reszty nie możesz kontrolować. I zapomnij o tych pytaniach, które zadawałeś wcześniej, dobrze?

Kiwam głową, bo nie chcę ciągnąć tej rozmowy.

Trener upija jeszcze jeden łyk, po czym odstawia butelkę na stolik kawowy i żegna się ze mną. Wtedy zostaję sam.

Wyciągam się na kanapie i czekam na powrót taty, jakąś jego radę, ale zasypiam około trzeciej.

Zrywam się na dźwięk otwieranych drzwi.

Mrugam.

– Finley? – mówi tata. – Dlaczego śpisz na kanapie?

Moja twarz musi wyglądać strasznie, bo tata siada koło mnie i pyta:

– Co się stało?

Wybudzam się, przypominam sobie o wszystkim i relacjonuję mu, co się stało.

Już sama świadomość jest straszna, opowiedzieć o tym jest jeszcze gorzej.

Skreca mnie w żołądku.

Czuję się winny, ale nie wiem dlaczego.

Jestem zdezorientowany.

W końcu mówię:

– Uważasz, że ktoś mógł skrzywdzić Erin za to, jaki jest Rod i czym się zajmuje? Myślisz, że to mógł nie być wypadek?

Tata ma przestraszoną minę. Jego lewa powieka lekko drga.

– Kiedyś ty i Erin wyjedziecie z tego miejsca i nigdy nie wróćcie. Oby ten dzień nadszedł jak najszybciej.

Nie odpowiedział bezpośrednio na moje pytanie, ale wiem, że mówił kodem, tak jak ludzie stąd. Czyli potwierdził moje podejrzenia.

– Pomóż dziadkowi się oporządzić, a ja przygotuję śniadanie.

Robię, co mówi.

**** Trener K (Coach K) – Mike Krzyżewski, wybitny trener koszykówki, były gracz, obecnie współpracujący z Duke Blue Devils. Trener drużyny narodowej USA. W 2001 roku przyjęty do Basketball Hall of Fame.

Kiedy Numer 21 wysiada z cadillaca dziadka, z wyglądu bardzo przypomina Ziemianina. Ma na sobie ciemne dżinsy, koszulkę polo w stylu rugby z wielkim logo zawodnika na koniu i fajną skórzaną kurtkę – żadnego brązowego stroju, peleryny czy kasku. Po jego minie domyślam się, że nie usłyszę dziś o kosmosie.

– Cześć, Finley – mówi. – Wszystko okej?

Kiwam głową.

– Dowiedziałeś się czegoś nowego o Erin?

Kręcę głową.

– Moi dziadkowie się za nią modlą.

– Dzięki – odpowiadam, choć nie jestem pewien, czy wierzę, że modlitwa pomaga, głównie dlatego że dziadek, tata i ja przestaliśmy chodzić do kościoła, kiedy byłem mały.

– Przykro mi, że Erin tak cierpi i że nie będzie mogła grać w koszykówkę.

– Mnie też.

– Chcesz, żebym przesiedział dzisiejszy mecz?

Spoglądam na Russa.

– Dlaczego miałbym tego chcieć?

– Nie wiem.

– Podobno Trener K dzwonił zapytać o ciebie.

– Spotkałem Trenera K chyba z pięć razy – mówi Russ, jakby Trener K był pierwszym lepszym dorosłym, a nie szefem najlepszej drużyny uczelnianej w kraju. – Na obozach – dodaje.

To oznacza, że Russ był na letnich obozach rekrutacyjnych dla najlepszych zawodników szkół średnich w kraju. Uczestniczą w nich za darmo i mogą przy okazji poznać wielkie gwiazdy koszykówki.

– Czemu tu jesteś? – pytam. – Mógłbyś być teraz gdziekolwiek zechcesz. Przyjęłaby cię każda prywatna szkoła. Co ty tu jeszcze robisz?

– Chciałem być blisko dziadków – mówi Russ. – Poza tym... może muszę być w Belmont.

– W tej dziurze? Niby po co?

– Żeby być twoim przyjacielem – odpowiada.

Nie rozumiem, dlaczego to powiedział, więc puszczam to mimo uszu.

Jestem zmęczony, choć dopiero doszliśmy do szkoły. Kiedy tylko przechodzimy przez wykrywacze metalu, wszyscy zaczynają wypytywać mnie o Erin. Wracam do „trybu milczącego”.

Przez cały czas myślę o Erin i o tym, jak obcy ludzie operują jej nogę, tną ją, wkładają w nią śrubki czy coś, żeby połączyć kości. Boję się, że chirurdzy nie zrobią tego porządnie i Erin będzie kuleć, a może nawet gorzej. Nie mogę się skupić na żadnej lekcji. Gdy dostaję kartkę, żeby się zgłosić do gabinetu psychologa w czasie lunchu, nie przeszkadza mi nawet, że będę musiał porozmawiać z panem Gore'em, bo to oznacza, że na chwilę uwolnię się od Russa. Ciągłe pyta mnie, czy wszystko w porządku, co zaczyna się robić bardzo irytujące.

Kiedy siadam naprzeciw pana Gore'a, zauważam naklejkę z Uniwersytetu Duke'a nad szafką z dokumentami i ogarnia mnie złość, choć właściwie nie wiem dlaczego.

– Dobrze się czujesz? – pyta pan Gore.

Kręcę głową.

– Chcesz porozmawiać o czymś szczególnym? – Jego mokra włoszka jest nieco przyklepana z lewej strony, jakby pan Gore spał na boku, a rano nie miał czasu się uczesać.

– Mam dość Bellmont – mówię.

– To znaczy?

– Mam dość codziennego patrzenia na graffiti. Mam dość dilerów narkotykowych. Mam dość ludzi, którzy udają, że nie widzą tego, co się dzieje w sąsiedztwie. Mam dość tego, że dobrym ludziom dzieje się krzywda. Mam dość koszykówki. Mam dość wyświadczenia wszystkim przysług i bycia za to karanim. Po prostu chcę się stąd wydostać. Chcę uciec.

Słowa wyskakują ze mnie z łatwością, co trochę mnie dziwi. Pan Gore też wydaje się zaskoczony, zwłaszcza że nigdy nie rozmawiam z nim o niczym ważnym. Stara się nie uśmiechać, ale po jego minie widać, że cieszy się z tego, jakie to niby robi ze mną postępy. Może rzeczywiście tak jest.

– Jesteś zmęczony Erin? – Jego wzrok jest teraz pełen

podekscytowania.

- Nie.
- A mimo to zerwałeś z nią dla koszykówki.
- A co to ma wspólnego z tym, że jest teraz w szpitalu?
- Absolutnie nic.
- Dlaczego mnie pan tu wezwał?
- Bo się o ciebie martwię.

Pan Gore nachyla się do mnie. Ma spocone czoło, jakby się czymś denerwował albo rzeczywiście się o mnie martwił. Kiedy patrzę mu w oczy, widzę coś, co sprawia, że zaczynam się zastanawiać, czy może nie myliłem się co do niego przez cały ten czas. Trudno to wytłumaczyć. Minionej nocy nie spałem zbyt wiele.

- Wiesz, że grałem w kosza w liceum? – pyta.
- Naprawdę? – Trudno mi w to uwierzyć, ponieważ pan Gore jest bardzo chudy i kruchy z wyglądu, choć rzeczywiście jest wysoki.
- Grałem też na studiach, aż uszkodziłem kolano. Kiedyś robiłem niezłe wsady.

Próbuję sobie wyobrazić, jak pan Gore wsadza piłkę do kosza, i ten krótki filmik w mojej głowie sprawia, że zaczynam się śmiać.

- Kiedy byłem młody, całe moje życie kręciło się wokół koszykówki. A wiesz, co koszykówka daje mi teraz? – pyta.
- Co?
- Nic.

Zastanawiam się, co będę robić w wieku pana Gore'a, i nie widzę siebie grającego w koszykówkę. Nawet gdybym przeszedł na zawodowstwo, do tego czasu skończyłbym już karierę. Z jakiegoś powodu widzę siebie z Erin. Może się pobraliśmy. Jesteśmy starzy i wyglądamy śmiesznie, ale gdzieś z dala od Belmont, w jakimś przyzwoitym miejscu, nadal jesteśmy razem. Ciekawe, czy naprawdę tak będzie.

- Nie jesteś trenerowi nic winien – mówi pan Gore.

Patrzę na niego przez chwilę. Wydaje mi się inny, jakby był po mojej stronie. Może źle go oceniłem. Z jakiegoś powodu to, że mówi tak o trenerze, sprawia, że czuję się lepiej.

- Wyglądasz na zmęczonego, Finley.

- Niewiele dziś spałem.
- Chcesz się zdrzemnąć w moim gabinecie?
- Poważnie?

– Po południu mam kilka spotkań. Jeśli chcesz się trochę przespać, możesz tu zostać. Dam znać nauczycielom, że jesteś pod moją opieką. Tylko nie opowiadaj wszędzie, że prowadzę tu hotel. – Pan Gore puszcza mi tandetne oczko. – Zgoda?

Nie wiem, czy będę w stanie zasnąć w jego gabinecie, ale chcę zostać sam.

– Dziękuję – odpowiadam.

– Nie ma sprawy. Gdybyś mnie potrzebował, będę w sali konferencyjnej za ścianą.

Dwukrotnie klepie mnie po ramieniu i wychodzi, a wtedy zostaję sam.

Przez dwie godziny patrzę przez okno i myślę o Erin.

W połowie ostatniej lekcji, zanim Russ czy ktokolwiek inny mnie zauważy, wymykam się ze szkoły.

Przez parę godzin włóczę się po beznadziejnych ulicach Bellmont, po czym wracam do szkoły na mecz rezerwowych.

Kiedy idę wzdłuż trybun, zagaduje mnie Terrell:

– Jak się czuje twoja laleczka?

Zatrzymuję się i spoglądam mu w oczy.

– Nie nazywaj jej moją laleczką. Wiesz, że tego nie lubi. Mówiła ci setki razy. Okaż trochę szacunku – mówię, słysząc gniew w swoim głosie. Zaskakuje mnie to.

– W porządku, Finley – odpowiada Terrell. – Jezu!

Hakim i Sir wymieniają spojrzenia, po czym dalej obserwują mecz rezerwowego składu.

Terrell chciał być miły i czuję się trochę winny, że na niego nakrzyczałem, ale cieszę się też, że nazwał mnie Finleyem, a nie Białym Królikiem. Z jakiegoś powodu wydaje mi się to ważne.

– Nigdy więcej nie nazywaj jej moją laleczką. Okej? – dorzucam.

– Wyluzuj, Finley – mówi Terrell. – Przyhamuj.

Wiem, że Terrell daje mi do zrozumienia, że przekraczam granicę, zignorowałem hierarchię obowiązującą w Bellmont i powinienem pamiętać, gdzie moje miejsce, bo inaczej ktoś mi przypomni. Teraz jednak niezbyt się tym przejmuję. Najpierw odebrano mi miejsce w pierwszym składzie, a teraz Erin. Czy coś się jeszcze liczy?

Siadam.

Przysuwa się do mnie Russ.

– Gdzie zniknąłeś podczas lunchu?

– Byłem u pana Gore’a – mówię, patrząc na mecz rezerwowych. Nasza drużyna przegrywa piętnastoma punktami. Trener Watts prosi o czas i złości się na marną ofensywę.

– Atakujcie choć trochę! – wrzeszczy.

– Dobrze się czujesz? – pyta Wes.

– Tak – odpowiadam. – Chcę tylko obejrzeć mecz, okej?

Wes i Russ spoglądają na siebie i dają mi spokój, tak jak reszta chłopaków z reprezentacji.

Kiedy rezerwowi kończą mecz, rzucamy do kosza – trafiam za

każdym razem – a potem w szatni trener ogłasza pierwszy skład. Nie wyczytuje mojego nazwiska. Nikt nic nie mówi o mojej degradacji, ale ja już się tym tak bardzo nie przejmuję.

Podczas rozgrzewki widzę na trybunach dziadka i tatę, i myślę o tym, że tata przyjechał tu samochodem. Mógłbym do niego podejść i powiedzieć:

– Jedźmy do szpitala i sprawdźmy, co z Erin. – On pewnie kazałby mi grać, bo mam obowiązek wobec zespołu. Jednak zabrałby mnie, gdybym się uparł.

Russ wywołuje największy aplauz, gdy wybiega na boisko. Terrell spuszcza głowę. Gadki trenera o byciu drużyną nabiorą dla niego nowego znaczenia, skoro nie jest już zawodnikiem numer jeden.

Stoję za trenerem, kiedy ten omawia plan gry przeciw Brixton, naszemu dzisiejszemu rywalowi, ale właściwie w ogóle go nie słucham.

Potem z ławki rezerwowych obserwuję, jak Russ wygrywa rzut sędziowski, podaje piłkę do Hakima, który z łatwością trafia do kosza z dwutaktu.

– Czerwony dwadzieścia dwa! – wykrzykuje trener i drużyna płynnie przerzuca się na obronę *zona-press* 2-2-1.

Myślę o tym, co mówił pan Gore, że koszykówka nic już dla niego nie znaczy. Nagle zdaję sobie sprawę, że nie obchodzi mnie, czy wygramy ten mecz i czy w ogóle w nim zagram. To tylko mecz. Erin jest w szpitalu. Co ja tutaj robię?

Nigdy nawet sobie nie wyobrażałem, że koszykówka przestanie mieć dla mnie znaczenie, lecz teraz nie mogłaby mnie obchodzić mniej.

Wstaję i mówię:

– Przepraszam, trenerze, ale muszę iść.

– Co? – pyta trener. – Dokąd?

Idę, mijając przeciwną drużynę, w stronę dziadka i taty.

– Chcę jechać do szpitala – wyjaśniam. – Powinienem tam być, kiedy Erin się obudzi.

Trener Watts idzie za mną.

– Finley! Lepiej zabieraj tyłek na ławkę.

Dziadek patrzy na trenera Wattsa i mówi:

– Dziewczyna go potrzebuje.

– Wiesz, że nie ominą cię konsekwencje? – pyta tata.

– Ostatnia szansa – ostrzega trener Watts.

Publiczność na trybunach gapi się na mnie, jakby mi kompletnie odbiło.

Trener przeciwnej drużyny prosi o czas, żeby ustawić kontratak, i kiedy moi koledzy zbiegają z boiska, też wlepiają we mnie wzrok. Widzę zmartwienie na twarzy Russa.

– Powiniennem być w szpitalu, tato.

– W porządku – odpowiada.

Wyprowadzam wózek dziadka z sali gimnastycznej. Wieczór jest zimniejszy niż wewnątrz lodówki – jest jak w zamrażalniku.

Wsiadamy do samochodu i tata rusza.

– Jestem z ciebie dumny – odzywa się dziadek. – Ludzie liczą się bardziej niż mecze.

– Przykro mi – mówi tata, bo wszyscy wiemy, że przez to wyjście mogę już nigdy więcej nie zagrać. Gdybym zwyczajnie poprosił trenera przed meczem, żeby mnie zwolnił, pewnie by mi pozwolił spędzić z Erin trochę czasu, ale opuszczenie ławki w czasie pierwszej kwarty to skandal. Tata i trener wiedzą, że oznacza to mniej więcej, że rzuciłem drużynę.

– W porządku – odpowiadam i wysiadam z auta.

– Weź to. – Tata podaje mi banknot dwudziesto-dolarowy. – Zadzwoń po mnie, gdybyś chciał wrócić, a jeśli będę już w pracy, weź taksówkę.

Nie przelewa się nam, więc dwadzieścia dolarów to duża kwota. To sposób taty, by mi powiedzieć, że akceptuje moją decyzję – że mnie wspiera.

Mówię personelowi szpitalnemu, że jestem bratem Erin, wobec czego pozwalają mi do niej pójść, mimo że jest już po godzinach odwiedzin.

– Twoi rodzice są w kafeterii – mówi pielęgniarka i pokazuje mi, dokąd iść.

Państwo Quinn mają wzrok utkwiony w kubkach kawy. Gdy do nich podchodzę, spoglądają na mnie zmęczonymi oczami.

– Nie masz dziś meczu? – pyta pan Quinn.

– Czy mogę się zobaczyć z Erin?

Kiwają głowami.

– Postaraj się tylko nie obudzić jej, jeśli śpi – prosi pani Quinn. –
Potrzebuje odpoczynku.

Pani Quinn podaje mi numer pokoju Erin. Kiedy tam wchodzę, oczy Erin są zamknięte.

Po cichutku staję przy jej łóżku i patrzę, jak oddycha.

Opuchlizna na jej twarzy znacznie zmaląła.

Kroplówka podpięta do jej ramienia oznacza, że jest pod wpływem leków.

Jej uszkodzona noga jest ułożona w lekko zgiętej pozycji i przez przykrywające ją prześcieradło widzę wystające z niej elementy, które pewnie są częściami metalowego szkieletu, który będzie podtrzymywał jej nogę, gdy będzie zdrowieć. Jeszcze nie chcę widzieć jej ran, więc nie zerkam pod spód.

Myślę o bieganiu Erin, wchodzeniu na dach – o tym, jak używała kolan na wiele różnych sposobów. Prawie wszystko można zniszczyć. Wszystko jest kruche. Tymczasowe.

Ponieważ nie mogę się powstrzymać, nachylam się nad nią i całuję ją w czoło. Przez chwilę wydaje mi się, że widzę, jak się uśmiecha, ale jest ciemno, toteż nie mogę być tego pewien.

– Nie powinieś tu przebywać – szepcze pielęgniarka stojąca w drzwiach. – Dziewczyna potrzebuje snu.

Całuję Erin raz jeszcze. Na stoliku przy łóżku leży notatnik i długopis, więc skrobię szybką wiadomość:

Byłem tu.

Kochający Finley

Wychodzę za pielęgniarką.

– To twoja koleżanka z klasy? – pyta mnie.

– To moja dziewczyna.

Kiwa głową i mówi:

– Szczęściarz z ciebie.

– To prawda.

Choć chcę posiedzieć z Quinnami, z jakiegoś powodu idę do poczekalni i przyglądam się ludziom, których dzieci zostają tu na noc lub którzy czekają, aż ich bliscy wybudzą się po operacjach. Wyglądają pewnie na tak samo zmartwionych jak ja. Widzę mężczyznę i kobietę, którzy trzymają się za ręce i wzajemnie pocieszają. Starsza kobieta rozmawia z księdzem. Małe dziecko śpi z misiem pod pachą i kciukiem w ustach. Tylu ludzi z problemami i chorymi bliskimi.

Na moment, zanim odsyłają nas wszystkich do domów, jeszcze raz zerkam na Erin. Jest pogrążona we śnie, więc wracam taksówką do siebie.

Następnego ranka nad jajecznicą z bekonem pytam tatę, czy mógłbym darować sobie dziś szkołę, żeby pójść do Erin. Zanim mi odpowiada, dziadek go uprzedza:

– Możesz.

– Opuściłeś jak dotąd jakieś lekcje? – pyta tata.

– Nie. Idealna frekwencja. Co mi szkodzi jeden dzień?

– Na pewno nie chcesz porozmawiać z trenerem? – dopytuje się tata, patrząc na mnie.

– Myślę, że drużyna świetnie da sobie radę beze mnie.

– W porządku – mówi tata. – Nie podoba mi się, kiedy rezygnujesz z czegoś ważnego, ale w tych okolicznościach... Chciałem się tylko upewnić, że znasz konsekwencje i nie będziesz później żałował swojej decyzji. Przecież kochasz koszykówkę, Finley.

– Erin jest ważniejsza, prawda?

Dziadek wyciąga z kieszeni koszuli dwa dolary, podaje mi je i mówi:

– Kup Erin kwiaty, dobrze? Powiedz jej, że czekam, aż znów zagramy w wojnę.

– Dzięki, tak zrobię – odpowiadam, choć wiem, że kwiaty będą kosztowały więcej. To miły gest ze strony dziadka i bardzo go doceniam. Prawdopodobnie trzymał te dwa dolary od lat. Tata płaci za cały dom, a dziadek nie pracował od czasu, kiedy stracił nogi.

Russ pojawia się pod moim domem w drodze do szkoły, znów wyglądając bardzo zwyczajnie. Jakby Numer 21 naprawdę opuścił planetę.

– Jadę dziś do szpitala – informuję go. – Nie idę do szkoły.

– Naprawdę bardzo mi przykro, że to wszystko tak się potoczyło. Szczerze. – Strzela palcami jeden po drugim.

– Muszę teraz pomóc Erin, okej? W szkole trzymaj się Wesa. Z nim jakoś tam przetrwasz.

– Chodzi o coś więcej niż przetrwanie – mówi Russ. – Możemy porozmawiać wieczorem?

– Nie wiem. – Nie mam pojęcia, co się będzie działo w szpitalu. –

Muszę lecieć. Do zobaczenia, stary.

Russ kiwa głową, po czym rusza w stronę szkoły. Wydaje się samotny, idąc w pojedynkę, ale nie mogę teraz nic na to poradzić.

Tata zawozi mnie do szpitala i kupujemy kwiaty w sklepiku niedaleko kafeterii. Wybieram pojedynczą żółtą różę w plastikowej folii, bo wiem, że Erin lubi żółty kolor, a ten kwiat jest najtańszy. Wydaję dwa dolary dziadka, a tata dopłaca resztę.

Udajemy się do skrzydła szpitala, w którym leży Erin, i mówię kobiecie za biurkiem w recepcji, że przyjechałem zobaczyć moją dziewczynę. Nie muszę już kłamać, że jestem Rodem, bo w tej części szpitala obowiązują godziny odwiedzin.

Kobieta szybko zerka w kartę, śledzi listę palcem i mówi:

– Erin Quinn nie przyjmuje dziś gości.

– Jestem jej chłopakiem – mówię.

– Przykro mi – odpowiada kobieta.

– Czy może jej to pani zanieść i powiedzieć, że przyszedłem? – pytam. – Będzie chciała mnie zobaczyć, sama to pani powie, przysięgam.

– Pacjentka nie życzy sobie widzieć nikogo poza swoimi rodzicami. Taka jest jej wola.

– To nie żadna pacjentka – mówię i natychmiast zdaję sobie sprawę, jak idiotycznie to zabrzmiało, bo Erin przecież jest pacjentką. – To moja dziewczyna.

– Być może, ale nie chce cię dziś widzieć. Wróc jutro. Może zmieni zdanie.

– Czy możemy przekazać jej przez panią jakąś wiadomość? – pyta tata.

– Na to mogę się zgodzić. – Kobieta wzdycha, jakbyśmy kazali jej zrobić sto pompek lub coś równie szalonego.

– Ma pani kartkę? – pytam.

Przez moment kobieta wpatruje się w mnie zza okularów do czytania w neonowych zielonych oprawkach, po czym z płaskim kładzie na blacie notatnik.

Waham się, ale po chwili pytam:

– A nie ma pani może długopisu?

Kobieta kręci głową z taką siłą, że wprawia w falujący ruch tłuszcz na swojej szyi, lecz podaje mi długopis. Zastanawiam się, dlaczego jest taka zła, ale wtedy odzywa się ktoś za mną:

– Co za głupota! Dlaczego nie mogę wejść do mojej córki? Mam już dość czekania!

Kobieta w recepcji pewnie cały dzień musi wysłuchiwać krzyczących ludzi.

Piszę:

Erin,

dziadek przesyła ci różę. Czekaj, aż znów będziecie mogli zagrać w wojnę. Nie poszedłem do szkoły i jestem w poczekalni. Powiedz, żeby mnie wpuścili, i wtedy porozmawiamy.

Kochający Finley

Składam kartkę i wtykam ją pomiędzy łądygę róży a białą, przypominającą bawełnę roślinę, którą ją przyozdobiono.

Kiedy kobieta kończy rozmawiać z wrzeszczącym mężczyzną, mówi do mnie:

– Usiądź. Gdy trochę się tu uspokoi, jedna z pielęgniarek dostarczy kwiatek twojej dziewczynie. Jeśli będzie chciała cię zobaczyć, damy ci znać.

– Jak długo to...

– Nie wiem – ucina, nie podnosząc wzroku znad swoich list i kart.

– Chodź, Finley – mówi tata, po czym siadamy w poczekalni, gdzie grupka ludzi ogląda program śniadaniowy *Good Morning America*. Jakaś nieznana mi piosenkarka występuje na ulicach Nowego Jorku. Kiedy śpiewa, na zimnym powietrzu tworzą się chmurki jej oddechu. Nie wydaje się wiele starsza ode mnie, ale oto jest w telewizji. Jak to się dzieje?

Tata zasypia, a ja zastanawiam się, czy Erin naprawdę nie chce mnie zobaczyć. Zaczynam się martwić. Mam mętlik w głowie. Nie potrafię pojąć, dlaczego zabroniono mi kontaktu z nią.

W końcu pojawia się pani Quinn, która wygląda na wyczerpaną i

ma wymięte ubranie – pewnie dlatego że spędziła noc w szpitalu.

– Przykro mi, Finley, ale Erin nie chce cię dzisiaj widzieć – mówi.

– Dlaczego?

– Jest zmęczona po operacji i nie wygląda za dobrze, a wiesz, jakie są dziewczyny, kiedy w grę wchodzi pokazywanie się bez makijażu.

Pani Quinn kłamie, starając się złagodzić komunikat. Erin nigdy się nie maluje. Nie ma nawet odpowiednich kosmetyków.

– To miło z twojej strony, że przyniosłeś jej różę. Naprawdę ożywiła pokój. – Podaje mi liścik, po czym odchodzi.

Napisany jest ręką Erin.

Nie powinieś był wczoraj opuszczać meczu. Powinieneś być teraz w szkole. Zapomnij o mnie. Przeprasz trenera i ciesz się resztą sezonu. Nie przyjeżdżaj więcej do szpitala. Nie mogę się z Tobą zobaczyć.

Erin

Kilkakrotnie czytam liścik od Erin, ale go nie rozumiem. Jeszcze wczoraj niemal błagała mnie, żebym znów był jej chłopakiem, a teraz oznajmia, że nie może się ze mną zobaczyć?

Zaczynam czuć mdłości.

Nie wiem, co zrobić, zatem siedzę i czekam z nadzieją, że za chwilę wróci pani Quinn z uśmiechem na ustach i powie, że tylko żartowała. Ale pani Quinn nie wraca.

Program śniadaniowy się kończy. Następny jest jakiś talk-show i tata chrapie przez cały czas jego trwania, tuż koło mnie.

Budzi się w porze lunchu i pyta o Erin.

Podaję mu liścik.

– Pewnie jest zła przez to, co się stało. Nie jest już w szoku. Czuje ogrom sytuacji. Ale otrząśnie się z tego.

– Możemy tu zostać? – pytam. – Chciałbym tu posiedzieć, na wypadek gdyby zmieniła zdanie.

– Jeśli o mnie chodzi, zasnę wszędzie – mówi tata, po czym zamyka oczy.

Kiedy kończą się lekcje, pojawiają się pani Battle oraz drużyna dziewczyn z balonami i kartkami w dłoniach, ale im też nie wolno wejść,

co sprawia, że naprawdę martwię się o Erin.

Gdy mówię pani Battle, że Erin nie chciała mnie widzieć, ta odpowiada:

– No cóż, możemy w takim razie wrócić na salę na spóźniony trening.

Koleżanki Erin mają wkurzone miny, przez co robię się zły, bo przecież Erin nie zaprosiła ich tu na imprezę, prawda?

Zostawiają wszystkie upominki w recepcji i z powrotem ładują się do autobusu.

Razem z tatą jemy obiad w kafeterii.

– Wiesz co? – mówi tata, odgryzając kęs hamburgera. – Rodzina Erin może próbować cię chronić.

– To znaczy?

– Cóż, ten, kto ją potrafił, może ją obserwować – zauważa tata, po czym ostrożnie rozgląda się wokoło.

– Nic mnie to nie obchodzi. To nie moja sprawa, tato.

– Nie możesz tak po prostu się od tego odłączyć – odpowiada. – To tak nie działa.

– Ja i Erin nie prosiliśmy się do tego światka.

– Ja też nie – mówi tata, przez co robi mi się przykro, bo tata miał dość koszarne życie zupełnie nie ze swojej winy. – Mówię jedynie, żebyś był cierpliwy i nie zrobił niczego głupiego. Ty i Erin wyjedziecie kiedyś z Belmont. Daleko. Ja i twoja matka też powinniśmy byli to zrobić.

Tata od wielu lat nie wspomniał o mamie.

– Sądziłem, że nie powinniśmy o niej rozmawiać.

– Nie rozmawiamy. – Tata kończy hamburgera i rozmowa się urywa, bo nie wiem, co więcej powiedzieć.

Za biurkiem w recepcji siedzi teraz inna pielęgniarka, więc jeszcze raz próbuję dostać się do Erin. Jednak kolejny raz odmawiają mi wstępu, wobec tego wraz z tatą wracamy do domu.

Dziadek pije piwo i ogląda mecz Philadelphia 76ers.

– Jak Erin?

– Nie chciała się z nami zobaczyć – mówi tata.

– Przekazaliśmy jej żółtą różę z wiadomością – dodaję. –

Napisałem, że róża jest od ciebie i że chciałbyś z nią zagrać w wojnę.

– Trudno sobie poradzić z taką stratą. Pozbiera się jeszcze – mówi dziadek. – A teraz powiem ci coś dziwnego: Russ jest w twoim pokoju.

– Jak to? Po co?

– Chodzi o coś z gwiazdami – wyjaśnia dziadek i znów wlepia wzrok w telewizor.

Tata i ja wymieniamy zmieszane spojrzenia, po czym biegnę po schodach na górę.

Kiedy otwieram drzwi do swojego pokoju, Russ stoi na krześle z ręką wyciągniętą do góry niczym Statua Wolności.

Nie od razu to zauważam, ale po chwili zdaję sobie sprawę, że jest w trakcie zamieniania mojego sufitu w galaktykę. Zakleił fluorescencyjnymi gwiazdkami już dwie trzecie jego powierzchni.

– Niespodzianka – mówi Russ z wymuszonym uśmiechem.

– Co tu się dzieje?

– Chciałem zrobić dla ciebie coś miłego – odpowiada Russ. – Kupiłem ci więc twój własny kosmos.

Mimo wszystkiego, co się wydarzyło, uśmiecham się. Nikt nigdy nie kupił mi ani nie zaaranżował całej galaktyki.

– Pomożesz mi skończyć? – pyta Russ.

Kiwam głową, a potem na zmianę stajemy na moim krześle i rozmieszczamy konstelacje. Dobrze jest mieć się na czym skupić. Zapełniamy cały sufit, po czym Russ wyłącza światło. Wyciągamy się na podłozie i pławimy w dziwnej zielonej poświacie.

– Jak się czuje Erin? – pyta Russ.

– Niedobrze – odpowiadam. – Nie chciała mnie widzieć.

– Dlaczego?

– Nie wiem.

– Daj jej kilka dni. Czasem ludzie potrzebują trochę czasu i przestrzeni dla siebie.

Przez kilka minut patrzymy tylko na dziwną konstelację naszego autorstwa.

– Trener powiedział, że jeśli przyjdiesz na jutrzejszy trening, wszystko ci odpuści – odzywa się Russ. – Żadnych pytań, żadnej kary za opuszczenie dzisiejszego treningu i wyjście z wczorajszego meczu.

– Czy dlatego dziś przyszedłeś? Żeby przekazać wiadomość od trenera?

– Nie – mówi Russ. – Przyszedłem przykleić gwiazdki. Poprawić ci nastrój.

– Nie wiem – odpowiadam. – To znaczy, dziękuję. Doceniam życzliwe słowa. Ale Erin mnie teraz potrzebuje. Chciałbym móc coś dla niej zrobić.

– Kiedy byłem w ośrodku dla młodzieży, pewna kobieta czytała nam nocami. Siadałem wtedy i słuchałem. Nie pamiętam nawet tytułów tych książek, lecz to mi pomogło. Nigdy nie powiedziałem tamtej pani, że lubiłem, gdy nam czytała, ale naprawdę tak było. Może mógłbyś czytać Erin *Harry'ego Pottera*? Może chciałaby uciec do Hogwartu?

– Może – odpowiadam.

Miło jest posiedzieć z Russem, zwłaszcza po tym wszystkim, co się stało. Jakbyśmy mogli udawać, że wciąż jesteśmy dziećmi. Zastanawiam się nawet, czy to właśnie dlatego tak lubimy czytać książki o Harrym Potterze. Nie mam pojęcia.

Cieszę się, że Russ mnie odwiedził.

Cieszę się, że zrobił mi galaktykę.

Tata codziennie zawozi mnie do szpitala, a ja podchodzę do recepcji, trzymając pierwszy tom o Harrym Potterze, gotowy, żeby zabrać swoją dziewczynę do Hogwartu. Każdego dnia pielęgniarka oznajmia, że Erin nie chce mnie widzieć. Siedzę więc w poczekalni sfrustrowany i zły.

Pan Gore mówi, że jeśli będę uparcie przychodził, w końcu Erin mnie wpuści. Kiedy pytam go, skąd to wie, odpowiada:

– Prawdziwa miłość zawsze zwycięża. – Brzmi to banalnie, ale mam nadzieję, że pan Gore ma rację.

Nie idę na trening, co oznacza, że oficjalnie rezygnuję z gry w drużynie.

Trener nie przychodzi ze mną porozmawiać ani nie przesyła żadnych wiadomości przez Russa, więc zastanawiam się, czy jest na mnie zły. A może po prostu cieszy się, że Russ gra w jego drużynie. Może w jego oczach odegrałem już swoją rolę. Zabawne, jak jedno brutalne zdarzenie może sprawić, że spojrzysz na świat inaczej. Kiedy gangster potrąca samochodem twoją dziewczynę, koszykówka przestaje być taka ważna. Teksty trenera o tym, jak koszykówka jest lekcją życia, wydają mi się teraz głównianą gadką. A może jednak nauczyłem się dzięki koszykówce czegoś o życiu: obchodzisz innych ludzi tylko wtedy, gdy możesz pomóc im wygrać. Jeśli nie możesz tego zrobić, przestajesz się liczyć.

Mniej więcej po tygodniu pielęgniarka mówi, że Erin została przeniesiona do innego budynku na rehabilitację.

– Jakiego budynku? Gdzie? – pytam, ale słyszę, że to poufna informacja, przez co robię się tak wściekły, że wrywam się i biegnę korytarzem, by sprawdzić, czy mnie nie okłamują.

– Erin!?! – wołam, kiedy dobiegam do jej dawnego pokoju, lecz tam, gdzie powinna leżeć moja dziewczyna, śpi jakaś staruszka. Umieśniony pracownik ochrony chwytą mnie za ramię.

– Sugeruję, abyś skorzystał z wyjścia, nie robiąc scen. – Odprowadza mnie do drzwi i dodaje:

– Nie wracaj tu więcej.

Nie mam komórki, przechodzę więc na drugą stronę ulicy do budki telefonicznej pod supermarketem, ale oczywiście okazuje się, że ktoś oderwał słuchawkę, więc muszę czekać przed szpitalem na strasznym mrozie, aż tata po mnie wróci.

Zaczynam też przesiadywać po drugiej stronie ulicy od domu Quinnów. Każdego popołudnia wystaję na chodniku i czekam na powrót pana i pani Quinn, żeby się dowiedzieć, gdzie jest Erin, ale nie widzę ich całymi dniami. Czasem nawet budzę się w środku nocy i idę pod ich dom, żeby sprawdzić, czy samochód stoi na podjeździe. Nie stoi.

Tydzień później przed domem Erin pojawia się znak z napisem NA SPRZEDAŻ, a niedługo potem potężni gniewni zaczynają wnosić meble Quinnów do wielkiej ciężarówki.

– Dokąd zabieracie te wszystkie rzeczy? – pytam.

– Nie mogę powiedzieć – mówi mężczyzna z wytatuowaną na policzku pajęczyną.

Inny gość z grubą czerwoną szramą na szyi dodaje:

– Najlepiej stąd spadaj! Już!

Dziadek i tata mówią, że Erin najwyraźniej została ulokowana z rodziną w innym miejscu, ale przez kogo i dlaczego – tego nie wiem.

Pytam pana Gore'a, czy cokolwiek słyszał na ten temat. Sprawdza w systemie komputerowym szkoły i znajduje informację, że Erin będzie się uczyć w domu. Nie wie nic więcej.

Idę do sali gimnastycznej, żeby dowiedzieć się czegoś od trenera, zanim rozpocznie się trening.

– Co pan wie o Erin? – pytam, bo trener zna prawie wszystkich w naszej okolicy i słyszy różne rzeczy. – Wie pan, gdzie ona jest?

– Skąd ja mam niby coś wiedzieć? – Trener kręci głową. – Mówiłem ci, żebyś nie zadawał zbyt wielu pytań. Uważaj na siebie, Finley. I przykro mi, że tak to się wszystko potoczyło, ale sam dokonałeś wyboru.

Trener odwraca się do mnie plecami, co oznacza, że nie chce się mieszać w sprawy irlandzkiej mafii. Nie ma mi nic więcej do powiedzenia. Po tym wszystkim, co zrobiłem dla Russa, muszę walczyć ze sobą, żeby mu nie przyłożyć. Czuję się zdradzony, choć zdaję sobie sprawę, że trener nie mógłby mi zbytnio pomóc, nawet gdyby chciał

podjąć to ryzyko.

Pewnej nocy o czwartej nad ranem, kiedy cała okolica śpi, włamuję się do domu Quinnów. Na niebie nie ma księżycy i niewiele widzę. Mieli w zwyczaju zostawiać klucz pod trzecią płytą chodnikową w ogrodzie, szukam jej zatem na czworakach, licząc płyty na ścieżce i przeszukując palcami piasek, aż w końcu znajduję klucz.

Wszystkie rolety są zaciągnięte, więc po wejściu do środka mogę włączyć latarkę, nie bojąc się, że ktoś mnie zobaczy.

W środku nic jednak nie zostało – nawet żaden śmieć.

Nic.

Oświetlam każdy skrawek podłogi we wszystkich pomieszczeniach, sprawdzam każdą szafę, a nawet piwnicę i strych.

Po Quinnach nie ma ani śladu.

Jakby zapadli się pod ziemię.

Znów zbiera mi się na wymioty.

Stoję w pokoju Erin, który nadal nią pachnie. Brzoskwiniowy szampon. Jej zniknięcie wydaje się niemożliwe. Skontaktowałaby się ze mną, gdyby tylko mogła, co znaczy, że nie pozwolono jej tego zrobić. Siadam na wykładzinie w kolorze groszku między czterema kóleczkami, w których stały kiedyś nogi łóżka. Chowam twarz w dłoniach.

Gdzie jest teraz Erin?

Jak to możliwe, że straciłem to, co najlepsze w moim życiu?

Czuję się, jakbym został sam na świecie.

Wychodząc, zatrzymuję klucz, choć nie wiem dlaczego. Może po to, żeby mieć przy sobie jakąś część Erin.

Przez kilka dni chodzę otumaniony, nie odpowiadając na niczyje pytania na temat mojego samopoczucia.

Potrafię myśleć tylko o Erin.

To, że nie wiem, gdzie ona jest, budzi we mnie taki gniew, że tracę głowę i pewnego popołudnia po szkole wpadam do pubu Irlandzka Duma. Nie myślę o konsekwencjach, po prostu wchodzę do środka. To moja ostatnia szansa, ostatnie miejsce, w którym mogę znaleźć Roda Quinna.

Przy barze siedzi sześciu facetów w czarnych skórzanych kurtkach, którzy popijają piwo.

Przechodzę pomiędzy stołami do bilardu. Barman dostrzega mnie pierwszy. Ma siwe włosy i krzywy nos, ale też ciepłe niebieskie oczy, które wydają się mówić, żebym obrócił się na pięcie, zanim zobaczą mnie mężczyźni na barowych krzesłach.

– Przepraszam – mówię.

Wszyscy się odwracają. Nikt się nie uśmiecha.

– Czy mogę rozmawiać z Rodem Quinnem? To ważne.

Mężczyźni zerkają na siebie spod przymrużonych powiek, czym dają mi do zrozumienia, że nie powinienem był wymieniać tego imienia.

– Czas na ciebie, mały – mówi barman.

– Szukam siostry Roda, Erin. To moja dziewczyna.

– Nie powinieneś był tu przychodzić – odzywa się jeden z mężczyzn.

– Znaj swoje miejsce, McManus. Nie bierz przykładu z dziadka. Bądź taki jak ojciec.

– Po prostu chcę wiedzieć, gdzie jest Erin. – Cały się pocę i trzęsą mi się ręce, ale nie obchodzi mnie, czy coś mi się stanie. Muszę znaleźć Erin.

Jeden z chudszych i gładko ogolonych mężczyzn łapie mnie za kark, pcha w stronę automatu telefonicznego na ścianie, wrzuca dwie dwudziestopięciocentówki i mówi:

– Zadzwoń do ojca i powiedz, skąd ma cię odebrać.

– Gdzie jest Erin? – pytam.

– To nie jest zabawa, chłopcze.

– Gdzie ona jest?

Mężczyzna tak mocno ściska mnie za kark, że uginają się pod mną kolana.

– Dzwonź do ojca. Ja jestem najmilszym z tych gości. Jeśli chłopaki przy barze zaczną się tobą interesować, pożałujesz.

Wystukuję numer do domu. Odbiera dziadek.

– Dziadku, tata musi gdzieś po mnie przyjechać.

– Gdzie jesteś? – pyta dziadek.

Kiedy się waham, mężczyzna grzmi:

– Powiedz staruchowi z kikutami, gdzie jesteś.

– Jestem w Irlandzkiej Dumie.

– Coś ty narobił, Finley? – pyta dziadek.

– Czy tata może po mnie przyjechać?

Mężczyzna bierze ode mnie słuchawkę i mówi:

– Przyjedźcie po dzieciaka i dopilnujcie, żebym go tu więcej nie widział. – Odwiesza słuchawkę i wyrzuca mnie na zewnątrz, po czym odpala papierosa.

Przez kilka minut stoimy na chodniku w ciszy.

– Gdzie ona jest? – pytam w końcu.

– Siostra Roda naprawdę zawróciła ci w głowie, co?

– Kocham ją. To moja najlepsza przyjaciółka.

– Urocze – mówi. Rzucił peta na ulicę i odpala kolejnego papierosa. – Jeśli chcesz ją jeszcze zobaczyć, sugeruję, żebyś dał sprawie trochę przycichnąć. Pogadaj z dziadkiem. On wie, jak to działa.

– A czy mogę porozmawiać z Rodem? Proszę.

– Nie poddajesz się, co? – mówi. – Nie zdajesz sobie sprawy, ile masz szczęścia, że siedziałem dzisiaj przy tym barze.

Tata zatrzymuje samochód przed wejściem i wysiada.

– Lewis?

– To twój szczeniak, Padric?

Tata przetyka ślinę i kiwa głową.

– Wpadł do knajpy i zaczął żądać informacji na temat swojej dziewczyny, więc przywołałem go do porządku, zanim inni się do niego wzięli. Ale gdyby mnie tu dziś nie było, ta historia nie skończyłaby się szczęśliwie.

– Dziękuję – mówi tata i wyciąga rękę. Lewis przyjmuje ją i przyciąga tatę do siebie w męskim uścisku. Klepiąc tatę po plecach, szepcze mu coś do ucha.

– Wsiadaj do samochodu, Finley – nakazuje tata. Kiedy odjeżdżamy, pyta:

– Co ty sobie myślałeś?

– Co on ci szepnął do ucha?

– Że teraz jestem mu winny przysługę. Wiesz, co to znaczy?

Kiwam głową. Oznacza to, że w przyszłości ojciec będzie musiał zrobić coś dla Lewisa.

– Lewis to mój stary kumpel. Wychowywaliśmy się razem. Miałeś

dziś kupę szczęścia. Ale musisz z tym skończyć. Nie możesz bez przerwy zadawać pytań. Musisz być cierpliwy.

Nie chcę rozumieć ani słowa z tego, co mówi. Jestem tylko dzieckiem. Nie jestem członkiem irlandzkiej mafii, czy jak oni się tam dziś określają – albo jak zabraniają ludziom na siebie mówić.

Kiedy docieramy do domu, dziadek siedzi na wózku przy kuchennym stole. Różaniec babci jest ciasno owinięty wokół jego pięści, ale dziadek nie pije i wygląda na trzeźwego. Kręci głową, patrząc na mnie.

– Odbiło ci!?

– Ja tylko...

– Nie dowiesz się teraz, gdzie jest Erin! – ryczy dziadek. – Rozum ci odebrało? Mało się napatrzyłeś na moje kikuty przez ostatnie dziesięć lat? Co z tobą? Ci mężczyźni poderznąliby ci gardło za głupiego dolara.

Dziadek nigdy wcześniej tak na mnie nie grzmiał. Głos mu drży. Po raz pierwszy widzę go takiego wściekłego. Słysząc nawet jego irlandzki akcent.

Tata kładzie dłoń na ramieniu ojca, a ten wydaje z siebie ciężkie westchnienie.

– Słuchaj, Finley – teraz dziadek mówi już spokojniej. – Czasem gość może wyrwać się z organizacji, jeśli wykona porządne zadanie. Coś, czym zasłuży sobie na emeryturę. Jeśli Rod zrobił coś takiego, mógł sobie przysporzyć bardzo wpływowych wrogów, przez co on i jego rodzina musieli zniknąć. Być może nie zawinęli się wystarczająco szybko, co wyjaśniałoby wypadek Erin. To tylko przypuszczenia, Finley. Nie powtarzaj tego nikomu. Musisz być mądry. Znam Erin. Skontaktuje się z tobą, gdy będzie bezpieczna. Ale twoje rozpytywanie tylko wszystko wszystkim utrudnia.

Patrzę na tatę. Kiwa głową, co oznacza, że przyznaje dziadkowi rację.

– Więc powinienem czekać, aż Erin się odezwie? – pytam. – Mam siedzieć beczynnio?

– To najlepsze, co możesz zrobić – mówi dziadek.

– I najbezpieczniejsze – dodaje tata. – Dla ciebie i dla nas.

Jak mogę siedzieć beczynnio?

Pewnego ranka po drodze do szkoły Russ pyta mnie, czy możemy porzucać do kosza u mnie za domem tylko we dwóch. Mówi, że to mógłby być nasz rytuał. Pytam go, dlaczego potrzebujemy rytuału, na co on odpowiada:

– Wydajesz się inny, nieobecny. Jakbyś nie był sobą. Może rzucanie do kosza raz czy dwa razy w tygodniu mogłoby pomóc?

Kiedy przychodzi do mnie pod wieczór po treningu, oznajmiam mu, że właściwie to nie chcę rzucać do kosza.

– Skończyłem z koszykówką – mówię.

– Tylko dziesięć rzutów, a jeśli nie będziesz miał ochoty na jedenasty, dam ci spokój na zawsze, okej?

Wzdycham.

– No dalej – zachęca Russ. – Tylko dziesięć razy.

Idę z nim za dom i bierzemy piłkę z garażu.

– Źle mi z tym, że zabrałem twoje miejsce – mówi Russ. – Zwłaszcza po tym, co przydarzyło się Erin. Jej wypadek, zniknięcie... To naprawdę na mnie podziałało. Jakbym się wybudził. Nie wiem dlaczego, ale tamtej nocy w szpitalu coś we mnie zaskoczyło i ruszyłem do przodu, lecz ty zaczęłaś się cofać. Mam wrażenie, że teraz zmierzamy w przeciwne strony, i żałuję, że nie spędzamy już razem tyle czasu. Tobie wszystko się skomplikowało, a jakimś cudem mnie idzie bardzo dobrze, a przynajmniej lepiej, niż jeszcze na początku roku wydawało mi się możliwe. Myślę, że to nie jest w porządku.

Nie wiem, co na to odpowiedzieć, więc nie odpowiadam. Oczywiście ma rację. Od tygodni rozmyślam o tym, jak niesprawiedliwa jest ta sytuacja, ale kiedy Russ tak rzeczowo to stwierdza, czuję się dotknięty. Jakaś część mnie wydaje się zazdrosna. Inna część mnie jest po prostu przygnębiona.

– Chodzi o to, że trener miał rację – mówi Russ. – Gra w kosza ma na mnie dobry wpływ. Lubię zasady. Lubię grę. Dzięki piłce nie myślę o tym, co zdarzyło się w Los Angeles. Gra to też moja przyszłość. Chcę ci podziękować za to, że mnie wspierałeś, kiedy tkwiłem w przejściowej fazie.

Tak teraz nazywa to kosmiczne przedstawienie? Zupełnie zapomniał o tym, jak był Numerem 21. Jakby koszykówka okazała się dla niego lekarstwem – powrotem do normalności.

– Myślę, że koszykówka pomogłaby i tobie – mówi Russ. – Rozumiem, że masz dość trenera, lecz może ty i ja moglibyśmy...

– To tylko gra. Może to twoja przepustka do pieniędzy i sławy, i cieszę się razem z tobą, ale mnie już nie zależy na koszu. Naprawdę mi nie zależy.

– Rzuć tylko te dziesięć razy. Założę się, że będziesz chciał rzucić i jedenasty – mówi Russ, obracając piłkę w dłoniach.

– W porządku. – Łapię piłkę i rzuca. Trafia do kosza. Russ zbiera ją, podaje mi i znów trafiam. Powtarzamy schemat, znajduję rytm i zaczynam czuć, jak mocno bije mi serce, a mięśnie się rozluźniają. Pudłuję za piątym i siódmym razem, i kończę z wynikiem osiem na dziesięć.

– I? – pyta Russ.

Zastanawiam się. Rozumiem, dlaczego Russ musi grać w piłkę. Rozumiem, że gra da mu wiele możliwości. Rozumiem nawet, dlaczego pomaga mu to psychicznie – oddala jego umysł od trudnych pytań. Mnie koszykówka nie pomoże jednak w podobny sposób. A rzucanie do kosza przypomina mi tylko boleśnie, że Erin już tu nie ma.

– Nie rzucę po raz jedenasty.

– Przepraszam – mówi Russ. – Nie chcę, żeby koszykówka nas poróżniła.

– Nie jest tak.

– To co teraz?

– Położę się na dachu i będę patrzył na te kilka gwiazd, które widać na niebie – mówię.

– Mogę iść z tobą?

– Jasne.

Wspierając się o płot, wspinamy się na dach garażu i patrzymy na trzy gwiazdy, które przebijają się przez cienką warstwę smogu.

– Czujesz czasem, jakbyś nie był wewnątrz tą samą osobą, którą jesteś na zewnątrz? – pyta Russ.

– Cały czas.

– Ja też – mówi.

Leżymy w ciszy.

– Przykro mi, że koszykówka się dla ciebie skończyła – odzywa się

Russ.

– Cieszę się, że tobie pomaga – odpowiadam i naprawdę tak czuję.

Dni mijają bardzo powoli i jednocześnie niesamowicie szybko.

Wiecie, co mam na myśli?

Może to jak sen, gdzie czas nabiera jakby nowego znaczenia.

Nie wiem.

Życie robi się niewyraźne, zniekształcone, rozciągnięte, chaotyczne. Trudno to wytłumaczyć.

Chodzę do szkoły.

Odrabiam prace domowe.

Rozmawiam z dziadkiem, tatą, Russem, panem Gore'em.

Wiele rzeczy się dzieje, ale właściwie nic nie pamiętam.

A przynajmniej nic, o czym warto wspomnieć.

Przez cały czas czuję się otępiały.

Pusty.

Smutny.

Czasem zły.

Głównie smutny.

Trochę wkurzony.

Niewiele wart.

Zmęczony.

Oszukany.

Samotny.

Bez przerwy myślę o Erin.

Gdzie się podziewa?

Czy jest gdzieś, gdzie jest lepiej?

Czy się do mnie odezwie?

Czy o mnie zapomniała?

Co się stanie?

Niewiedza jest ciężka.

Jest beznadziejna.

Bellmont jest dla mnie jak więzienie.

Jestem tu, chodzę ulicami, oddycham, istnieję, ale mam wrażenie, że moje życie toczy się gdzie indziej – w jakimś lepszym miejscu.

Tam, gdzie jest Erin, gdziekolwiek to jest.

Myślę o niej w każdej sekundzie każdego dnia.

Erin.

Erin.

Erin.

Erin.

Erin.

Erin.

Erin.

Dlaczego się do mnie nie odezwała?

Dlaczego?

Później w trakcie sezonu Russ i ja znów siedzimy na dachu, obserwując gwiazdy, co jest jedyną rzeczą, którą wspólnie robimy. Przychodzi do mnie po każdym meczu, choć nigdy nie rozmawiamy o koszykówce. Czasem w ogóle nic nie mówimy, tylko patrzymy w przestrzeń kosmiczną. Podśluchałem kolegów z klasy rozmawiających o tym, jak świetnie radzi sobie drużyna. Nie potrzebuję jednak wiedzieć na ten temat nic więcej.

– Okej, teraz naprawdę się o ciebie martwię – stwierdza Russ.

Na zewnątrz jest zimno jak w zamrażarce, ale mam to gdzieś. Mroźne szczypanie w palcach i na twarzy sprawia mi przyjemność.

Russ jest owinięty moją kołdrą.

Niebo jest zachmurzone, więc nie widać gwiazd.

– Dlaczego? – pytam, choć znam odpowiedź. Russ ostatecznie porzucił zabawę w Numer 21 i powrócił do bycia Russem Allenem, megagwiazdą koszykówki. Ponieważ prowadzi w konferencji we wszystkich kategoriach, nikomu nie przeszkadza, że przez lwią część roku szkolnego zachowywał się jak świr. Trener miał rację. Russ potrzebował koszykówki bardziej niż ja. Gra niczym pijawka wchłonęła w siebie całe jego szaleństwo, bo teraz wygląda na to, że wszystko z nim w porządku, podczas gdy ja włączę się codziennie po szkole, jakbym był na innej planecie.

– Jesteś zły i przygnębiony już od jakiegoś czasu. Mam wrażenie, że ci się pogarsza.

– Więc idziesz do Duke'a? – pytam, starając się zmienić temat.

W zeszłym tygodniu odbyła się oficjalna konferencja prasowa. Dziennikarze nagrali Russa, jak podpisuje kontrakt, przyjmując stypendium. Wszyscy na świecie wiedzą, że idzie na Uniwersytet Duke'a, więc zadałem głupie pytanie.

Russ kiwa głową.

– Ani słowa od Erin?

– Nie.

– Nie minęło wiele czasu.

– Minęły ponad dwa miesiące.

– Już?

Najgorsze jest to, że nikt inny nie wydaje się zauważać, że Erin już tu nie ma. Jej drużyna nie wygrała bez niej zbyt wielu spotkań i choć na początku było wiele plotek, życie w szkole toczyło się dalej, tak jak wszystko w Belmont. Jakby żadne z nas nie miało najmniejszego znaczenia. Każdy mógłby zniknąć, a nic zbytnio by się nie zmieniło. Jakby nasze życia się nie liczyły.

– Nienawidzę Belmont – oznajmiam. – Naprawdę nienawidzę.

– To wyjeżdż stąd. Świat jest bardzo duży, Finley – mówi Russ, jakby przemawiał przez niego pan Gore. – Jest tyle fajnych miejsc. Wiem o tym. Zanim tu trafiłem, wiele podróżowałem.

– Jak niby mam stąd wyjechać?

– Pewnego dnia nadarzy się twoja szansa. Pomyśl o Harrym Potterze. Jego życie jest koszmarne, ale pewnego dnia dostaje list, wsiada do pociągu i wszystko się u niego odmienia. Staje się lepsze. Magiczne.

– To tylko fikcja.

– Tak jak my. My też jesteśmy fikcją – mówi Russ.

– Co masz na myśli?

– Gdzieś pewnie istnieją ludzie, którzy nie uwierzyliby, że to wszystko nam się przydarzyło, gdyby napisać o tym książkę.

– Przepraszam, że jeszcze nie przyszedłem popatrzeć, jak grasz w kosza. Jakoś nie mogę.

– Nie ma sprawy. Wes jest na ciebie trochę wkurzony, że rzuciłeś nasz klub książki.

Wzruszam ramionami. Nie jestem dumny z tego, że olałem Wesa, ale od wypadku Erin nie zachowywał się jak przyjaciel. Wszyscy w szkole wiedzą, że za jej zniknięcie odpowiada irlandzka mafia, a ponieważ jestem ostatnim ogniwem łączącym Erin z Belmont, ludzie boją się przebywać w moim towarzystwie. Wes trzymał się na dystans. Nie mam do niego pretensji.

– Chciałbym cię gdzieś zabrać, kiedy skończy się sezon – mówi Russ. – W pewne wyjątkowe miejsce.

– Gdzie?

– To niespodzianka.

– Czy to ma coś wspólnego z Erin?

– Nie, z kosmosem. Myślę, że ci się to spodoba.

Jestem zaskoczony, że wspomniał o kosmosie, bo od dłuższego czasu nie poruszał tego tematu.

– Myślisz, że Erin się ze mną skontaktuje?

– Tak. Kiedyś to w końcu zrobi.

– Dlaczego jeszcze się nie odezwała?

– Nie wiem. Tylu rzeczy w życiu się nie dowiemy. Powiedział mi to terapeuta.

– Czujesz się teraz lepiej?

Russ spogląda na szare niebo.

– Nie nazywasz już siebie Numerem 21 – zauważam. – Nie mówisz, że twoi rodzice fruwać nad nami w statku kosmicznym. Nie opowiadasz o opuszczeniu tej planety i nienosisz zwariowanych strojów.

– Nie określiłbym tego lepszym samopoczuciem. Powiedziałbym raczej, że teraz nie muszę się przed nikim ukrywać.

– Bo tak dobrze idzie ci w grze?

– Bo moje życie toczy się dalej.

– Więc to była tylko zabawa. Kosmiczna bajka. Zmyśliłeś ją, żeby ludzie nie zamęczali cię pytaniami o to, co się stało?

– Tak samo jak ty udajesz, że nie mówisz.

– To nie to samo. Nie okłamuję ludzi. Było mi ciężko mówić... Zbyt ciężko.

– Może. Ale mnie było ciężko być Ziemianinem. Ostatnio więcej się odzywasz. Więcej niż wtedy, gdy cię poznałem. Czy to znaczy, że lepiej się czujesz?

Wiem, co sugeruje, i może ma rację. Może obaj gramy pewne role, żeby jakoś przetrwać.

– Co się stało z twoimi rodzicami? – pytam.

– Co się stało z twoją mamą?

Nie jestem jeszcze gotów, by o tym rozmawiać, i wygląda na to, że Russ też nie, bo przez długi czas siedzimy na dachu w ciszy, aż w końcu pod dom podjeżdża jego dziadek.

– Ciąg dalszy nastąpi – mówi Russ.

Zostaję na dachu jeszcze przez kilka godzin, a potem kładę się do łóżka w dziwnej zielonej poświacie galaktyki, którą ofiarował mi Russ.

Drużyna przegrywa mistrzostwa stanowe jednym punktem. Podobno Terrell spudłował ostatni rzut. Russ i wszyscy pozostali oplakują porażkę przez kilka tygodni, uczniowie przemierzają szkolne korytarze ze spuszczoneymi głowami, nauczyciele marszczą czoła, cała szkoła zdaje się przygnębiona. Ale życie toczy się dalej i Russ przypomina sobie, że chce mi coś pokazać.

W sobotę, jakiś miesiąc po wielkiej przegranej, przyjeżdża po mnie wraz z panem Allenem.

– Gotowy na niespodziankę? – pyta Russ.

– Jasne.

Wsiadam na tylne siedzenie cadillaca i patrzę, jak za szybą, w której widzę swoje odbicie, przemyka brzydota Belmont.

Russ czyta z kartki wskazówki dojazdu, a jego dziadek za nimi podąża.

Mniej więcej po godzinie jazdy autostradą zjeżdżamy na drogę pełną drzew i mijamy konie, a nawet krowy. Widzę pałki kukurydzy, pola nieznanymi mi roślin, długie pasma ziemi, gdzie nie widać domów, lamp ulicznych ani niczego, co zrobiły ludzkie ręce.

Nigdy wcześniej nie byłem w takim miejscu i wiercę się, kręcąc głową to w prawo, to w lewo, żeby niczego nie przegapić.

Wiatr wpadający przez szybę jest ciepły i pełen zapachów, które wydają się tak żywe, że wciąganie ich wszystkich w płuca prawie boli.

– Obornik – mówi pan Allen, kiedy dobiega nas ohydny smród.

– Co to takiego? – pytam.

– Krowie gównu – rzuca Russ.

– Nawóz – wyjaśnia pan Allen. – Wspomaga uprawę roślin.

Nawet obornik mi nie przeszkadza, bo jest inny od wszystkiego, co dotąd znałem – inny niż zapach ścieków Belmont. Żeby było jasne: nie lubię smrodu obornika, ale lubię być na wsi.

Jedziemy wyboistą polną drogą przez las i zaczynam się trochę denerwować, że mógłby się nam tu zepsuć samochód, bo wokół nas w promieniu wielu kilometrów nie ma żywego ducha.

Wtedy jednak zauważam coś, co przypomina stację paliw. Na

tablicy zewnętrznej widnieje napis: RAJ DLA OBSERWATORÓW GWIAZD! Na końcu znajduje się wykrzyknik, co sprawia, że miejsce zapowiada się wyjątkowo ekscytująco. Zatrzymujemy się przy stacji. Pan Allen napełnia bak, a ja idę za Russem do środka, gdzie na wytartych drewnianych podłogach stoją regały z jedzeniem i sprzętem turystycznym. Za ladą siedzi mężczyzna o czerwonej twarzy.

– Witam panów – mówi i podnosi różową dłoń.

– Mamy rezerwację na nazwisko Allen – oznajmia Russ.

– Jasne! Wybraliście piękną noc. Żadnych chmur. Ale nacieszycie oczy!

– Sprawdzaliśmy pogodę przez cały tydzień.

– Co powiecie na miejsca widokowe numer dwanaście?

– Pasuje – odpowiada Russ.

Pan Allen wchodzi do sklepu i staje koło nas.

Mężczyzna wypisuje coś na kartce papieru, po czym każdemu z nas wręcza broszurkę.

– Oto zasady obserwacji. Jeśli to nie nagły wypadek, nie uruchamiajcie reflektorów samochodowych aż do świtu. Jeżeli w środku będziecie włączać oświetlenie, musicie szczelnie zasunąć rolety. Poza waszym stanowiskiem obowiązuje całkowity zakaz używania latarek i oświetlenia innego rodzaju. Po zmierzchu stosujemy ton biblioteczny, co oznacza, że musicie porozumiewać się szeptem. Jeśli będziecie krzyczeć lub hałasować, zostaniecie wyproszeni. Poza tym życzymy miłego spektaklu. Proszę, aby każdy z was podpisał regulamin, jeśli akceptujecie zasady.

Pan Allen podaje mężczyźnie kartę kredytową. Wszyscy podpisujemy regulamin, otrzymujemy mapy nieba i wracamy do samochodu.

– Co to za miejsce? – pytam. – Co będziemy oglądać?

– Zobaczysz – mówi Russ.

Jedziemy dalej polną drogą i mijamy kilka drewnianych znaków wskazujących nieutwardzone drogi, które prowadzą w las.

Kiedy znajdujemy numer dwunasty, pan Allen skręca w lewo i jedziemy polną drogą tak wąską, że gałęzie smagają samochód jak bicze.

– Obym nie zobaczył jutro na samochodzie żadnych zarysowań, bo

inaczej ktoś o imieniu Russ będzie przez cały dzień polerował i woskował cadillaca – mówi pan Allen.

Droga skręca na prawo i dojeżdżamy do dziwnie wyglądającej konstrukcji, która przypomina skrzyżowanie domu z latarnią morską. To ośmiokątna wieża, wznosząca się ponad las. Na jej szczycie znajduje się wielka balia. Budowla przypomina pionek szachowy o wyglądzie warowni.

– A niech mnie – mówi pan Allen, ale się uśmiecha.

– Chodźmy! – rzuca Russ.

Wchodzimy przez drzwi na dole i wspinamy się po krętej klatce schodowej do pokoju z czterema łózkami i dwoma oknami, w których wiszą ciężkie zasłony – zaciemniające rolety, jak rozumiem. Jest tam też mała łazienka. Tylko zlew i toaleta, bez prysznic.

Russ idzie jeszcze wyżej, a ja za nim, aż musimy popchnąć wielką klapę w suficie. Otwiera się na niebo i wychodzimy przez właz na taras widokowy, otoczony wysoką drewnianą balustradą. Mam wrażenie, że stoimy w wielkim drewnianym kubku. Podłoga wyłożona jest czymś, co przypomina matę do zapasów. Moje stopy zapadają się w niej na dwa centymetry.

– My śpimy dziś tutaj – mówi Russ. – Łóżka w środku są dla emerytów.

Rozglądam się i nie widzę nic prócz zielonych wczesno-wiosennych listków na drzewach i czubków dwunastu wież widokowych, oddalonych od siebie mniej więcej o sto metrów, tworzących okrąg.

– To niesamowite – mówię.

– A co ja ci powtarzałem? – odpowiada Russ. – Nie tylko Belmont jest na świecie, prawda?

Zbiegamy po schodach i wnosimy turystyczną lodówkę i inne zapasy do pokoju sypialnego.

Wejście po schodach zabiera panu Allenowi trochę czasu, a gdy w końcu staje na samej górze, rozgląda się i stwierdza:

– Nigdy nie widziałem tylu drzew.

– Kto by pomyślał, że po dwóch godzinach jazdy samo-chodem można się znaleźć w takim miejscu? – dziwię się.

Russ uśmiecha się z dumą.

Jemy kanapki z tuńczykiem, które zrobiła nam pani Allen, i pijemy piwo korzenne, patrząc, jak zachód słońca rozlewa się na czerwono nad czubkami drzew.

– Nie chcę schodzić po schodach w ciemności, więc położę się na dole z książką. Bawcie się dobrze i nie podchodźcie za blisko do balustrady, zgoda? – mówi pan Allen, po czym znika we włazie.

Na górze robi się coraz chłodniej. Wieje silny wiatr, a drzewa robią dużo szumu.

– Słyszysz szmer liści? – pytam.

– Fajne, co? Nadszedł chyba czas na „ton biblioteczny” – zauważa Russ, rysując w powietrzu znaki cudzysłowu. – Założę się, że dźwięk bardzo się tu niesie.

Leżymy oparci o nasze plecaki, a łopatki zapadają mi się w matę.

– To miejsce jest naprawdę wyjątkowe – mówię. – Dzięki, że mnie tu przyprowadziłeś.

Russ kiwa głową, po czym obaj przyglądamy się pomarańczoworóżowej poświacie na zachodzie.

Leżymy tak w ciszy przez piętnaście minut, po czym ni stąd, ni zowąd Russ mówi:

– Powiedz mi, co się stało z twoją mamą, a ja powiem ci, co się stało z moimi rodzicami.

– Po co?

– Bo tak robią przyjaciele: rozmawiają ze sobą i słuchają.

– To nie ma znaczenia.

– Ma.

– Nie powinienem o tym rozmawiać.

– Nie ufasz mi? – pyta Russ.

– Ufam.

– Więc? Jesteśmy tu tylko ja i drzewa.

– Dlatego mnie tu przywiozłeś?

– Częściowo. I wolałbym o tym porozmawiać, zanim rozpocznie się spektakl.

– Gwiazdy?

– Tak.

- Bez przerwy oglądamy je z mojego dachu.
- Tu jest inaczej. Zobaczysz – odpowiada. – Porozmawiajmy o tym, co się stało naszym rodzicom. Naprawdę myślę, że to może pomóc. Ja cały czas rozmawiam ze swoim terapeutą. Ty też pewnie powinieneś z jakimś porozmawiać.
- Rozmawiam z panem Gore'em.
- To dobrze. A teraz porozmawiaj ze mną.
- To przygnębiająca historia.
- Tak jak moja.
- Nie jestem tego pewien.
- Będziemy mówić bibliotecznym tonem, więc to i tak się nie liczy.

Uśmiecham się. Biblioteczny ton. Chcę poznać historię Russa i nie zależy mi na utrzymaniu w sekrecie tajemnicy dziadka, zwłaszcza że Erin zniknęła. Może złe rzeczy przydarzają się w okolicach takich jak moje właśnie dlatego, że nikt o nich nie mówi. Ale mimo to jestem zaskoczony, kiedy słyszę swój „biblioteczny ton”. Gdy opowiadam tę historię po raz pierwszy w życiu.

Opowiadam Russowi, jak mój dziadek ukradł pieniądze bandzirom, dla których pracował, żeby mogli z babcią wrócić do Irlandii. Miała raka w terminalnym stadium i chciała umrzeć w ojczyźnie. Oboje urodzili się w hrabstwie Cork – nadal mamy tam rodzinę – ale byli zbyt biedni, by wrócić do domu. Nigdy nie byłem w Irlandii. Powrót do kraju przed śmiercią był dla mojej babci bardzo ważny. Z desperacji i żalu dziadek ukradł pieniądze i zabrał ją, myśląc, że będą bezpieczni poza granicami Ameryki. Jedyne problem był taki, że reszta jego rodziny nadal mieszkała w Belmont. Mój dziadek źle oszacował bezwzględność swoich współpracowników. Gangsterzy, którzy go zatrudniali, zabrali mnie, by się do niego dostać – żeby zmusić go do powrotu z Irlandii.

- Jak to „zabrali cię”? – pyta Russ bibliotecznym tonem.

Pozwalam sobie przywołać to wspomnienie. W tym momencie znów czuję się, jakby ktoś wpychał mi palec do gardła. Zaczynam się pocić.

- Mój dziadek zadawał się ze złymi ludźmi, ludźmi jak brat Erin,

Rod. Pewnie trudno ci to sobie wyobrazić.

– Więc cię porwali?

Przelykam ślinę.

– Z nikim o tym nie rozmawiałem, nawet z Erin.

– Rozmowa jest dobra. Możesz mi zaufać.

Szukam na niebie pierwszych gwiazd, a gdy nie dostrzegam żadnych, mówię mu, co pamiętam.

Pamiętam mężczyzn w kominiarkach, którzy porwali mnie w środku nocy, krzyki rodziców i odgłosy ciosów wymierzonych tacie.

Pamiętam, jak zostałem wrzucony do bagażnika – ręce, które związane mi za plecami, okropną skarpetę w ustach, taśmę, którą oklejono mi głowę.

Pamiętam, że długo leżałem w ciemnym pomieszczeniu, sikając w majtki, bo tak się bałem, przez – jak mi się zdawało – tygodnie, czując tylko zapach wyschniętego moczu i kurzu, głód i pragnienie, aż nagle znów byłem z tatą, tylko że był pogrzeb mamy, a dziadek nie miał nóg.

Pamiętam, że oczy taty były bardzo czerwone – jak mięso surowego hamburgera – a na twarzy nadal miał fioletowe i żółte siniaki. Pamiętam, jak tata powiedział mi, że mama poszła na policję, próbując mnie uratować, i dlatego nie żyje, a potem zakazał mi komukolwiek o tym powiedzieć. Nie wolno mi pisnąć ani słowa, bo inaczej wszyscy zostaniemy zabici.

– Kazał mi siedzieć cicho, więc siedziałem, bojąc się, że powiem nie to, co trzeba, i stracę też tatę i dziadka.

– I wtedy przestałeś się odzywać? – pyta Russ.

– Tak. Wtedy też zacząłem grać w koszykówkę.

– Cholera.

– Nie pamiętam, jak wyglądała moja mama – mówię. – Mam zdjęcia, ale nie mogę sobie jej przypomnieć poza fotografiami. Rozumiesz, o co mi chodzi?

– Czasem wydaje mi się, że nie pamiętam głosu mojego taty – mówi Russ. – Zapachu mamy. Tylu innych rzeczy.

– Co im się stało?

Drzewa na zachodzie są jakby obrysowane różowym neonem. To ostatnie promienie dzisiejszego światła.

Russ robi głęboki wdech.

– Napadnięto ich w samochodzie. Mama i tata pojechali, żeby posłuchać, jak ich przyjaciel gra na saksofonie w barze w podejrzonej dzielnicy. Jakies ćpyny strzeliły obojgu w głowę i uciekły z kilkuset dolarami, biżuterią mamy i zegarkiem taty. Zupełnie przypadkowy akt przemocy. Zupełnie niesprawiedliwy. Głupi. Wystarczający, żeby chcieć się wymeldować choć na chwilę z tej rzeczywistości i mówić ludziom, że jesteś z kosmosu.

– Co widzisz – pytam, nie do końca wiedząc, z jakiego powodu – kiedy starasz się przypomnieć sobie rodziców razem? Jakie jest twoje najpiękniejsze wspomnienie?

Russ zastanawia się przez kilka chwil.

– Chyba to, kiedy pojechaliśmy zobaczyć, jak tata gra z zespołem stylizowanym na staroświecki big-band, i w połowie koncertu solista poprosił mamę, żeby dołączyła do niego na scenie i zaśpiewała z nim piosenkę. Byłem zaskoczony, bo nie wiedziałem nawet, że mama umie śpiewać. Nie chciała podejść, lecz publiczność zaczęła bić brawo, więc mama stanęła na scenie i powiedziała: „Znacie moją piosenkę, chłopcy”. Tata przerzucił się na trąbkę, bo umiał grać na każdym instrumencie, i wtedy mama zaśpiewała *I'm Beginning to See The Light* Elli Fitzgerald. Tata stał przy niej i jakby komunikowali się przez muzykę. Mama śpiewała, tata grał na trąbce, ale wpatrywali się w siebie przez cały czas i widziałem, że są bardzo zakochani. Publiczność klaskała przez pięć minut, gdy skończyli, co zawstydziło mamę. Wiedziałem, bo kręciła głową i nie chciała na nikogo spojrzeć. „Ty śpiewasz?”, zapytałem ją, kiedy siadła koło mnie, a ona na to, że kiedyś śpiewała, bardzo dawno temu. Gdy oglądaliśmy resztę występu, myślałem o innych rzeczach, których nie wiedziałem o swoich rodzicach. Wie się tylko tyle, ile ktoś ci pozwoli.

Kiedy robi się jasne, że Russ skończył opowiadać, mówię:

– To piękne wspomnienie.

– Nie masz podobnego o swoich rodzicach?

Przez chwilę zastanawiam się nad tym poważnie.

– Nie. Nie takiego jak to.

Russ nie odpowiada, dlatego martwię się, że żałuje, że podzielił się

ze mną swoim najlepszym wspomnieniem, skoro ja nie mam się mu czym zrewanżować. Nie chce, żeby było mu przykro, więc mówię:

– Ale kiedyś może opowiem komuś, jak oglądałem gwiazdy z najlepszym rozgrywającym NBA Russiem Allenem, kiedy nie był jeszcze taki sławny.

– Nie rozmawiajmy o koszykówce, dobrze?

Russ nie mówi nic więcej, co oznacza dla mnie, że naprawdę ciężko było mu opowiadać o swoich rodzicach.

Niebo z granatowego robi się czarne i wtedy ni stąd, ni zowąd nad nami zaczynają migotać miliony gwiazd, a Russ szeptem:

– Spektakl rozpoczęty.

Wygląda to niemal tak, jakby ktoś włączył światło, bo przed chwilą na niebie to tu, to tam widniało tylko kilka gwiazd, a teraz jest ich nieskończoność – jakby nad nami eksplodował gigantyczny diament.

– Jakie to piękne – mówię, bo nigdy wcześniej nie widziałem czegoś takiego.

– Za każdym razem, kiedy myślę sobie, że świat jest paskudny, że życie nie ma żadnego znaczenia, przypominam sobie, że to tu jest i zawsze na mnie czeka – mówi Russ. – Zawsze mogę spojrzeć w kosmos i się zachwycić, bez względu na to, co się dzieje. A gdy spoglądam w górę, moje problemy robią się takie małe. Nie wiem czemu, ale zawsze czuję się wtedy lepiej.

– I to wystarcza? – pytam. – Samo patrzenie na gwiazdy?

– Chyba tak – odpowiada Russ.

Spodziewam się, że zaczniesz nazywać wszystkie konstelacje, ale tego nie robi.

Leżymy w ciszy pod przepastnym niebem, napawając się okruszkami światła nad nami, i ja też pod ogromem wszechświata czuję się niewielki.

Zastanawiam się, czy Erin także patrzy dziś na gwiazdy i może siedzi gdzieś na dachu, myśląc o mnie.

Zastanawiam się, czy moja mama jest w niebie albo po prostu gdzieś tam, u góry – może nawet w pośmiertnym statku kosmicznym, tak jak wyobrażał sobie Numer 21.

– Jak sądzisz, dlaczego się poznaliśmy? – pytam. – Myślisz, że

miałem ci pomóc wrócić do koszykówki? Czy to było przeznaczenie?

– Poznaliśmy się, bo moich rodziców zamordowały ćpuny – mówi.
– Gdyby rodzice żyli, nadal byłbym w Los Angeles. Poza tym to nie wiem.

– Ale z jakiegoś powodu tu jesteś – szepczę.

– Ty też – cicho odpowiada mi Russ.

Całą noc leżymy obok siebie w milczeniu, wpatrując się w niemożliwą, zachwycającą wspaniałość wszechświata, i nie wydaje mi się, by którykolwiek z nas zasnął choćby na minutę.

W rocznicę morderstwa mojej mamy, jak co roku, tata, dziadek i ja zanosimy kwiaty na jej grób – grób Cathy McManus.

Czerwcowe słońce.

Niebieskie niebo.

Na cmentarzu nie ma nikogo prócz nas.

Stojąc tak i przyglądając się niekończącym się rzędom nagrobków, mam wrażenie, jakbyśmy byli ostatnimi ludźmi na ziemi.

Jak okiem sięgnąć, białe i szare płyty nagrobne tworzą na ziemi linie, a każda z nich zawiera niewielką porcję informacji. Nazwisko i imię, przeżyte lata, czasem ładny cytat. Za mało, by pomóc komuś zrozumieć, kim byli ci ludzie. Zastanawiam się, czy każdy, kto tu leży, ma historię skomplikowaną jak ta mojej mamy.

Jak co roku przypominam sobie o porwaniu, myślę o odwadze, jaką musiała wykazać mama, żeby pójść na policję, i żałuję, że nie miałem szansy poznać ją lepiej.

Siedząc na wózku przed grobem, dziadek rozmawia z mamą i bez przerwy powtarza, jak bardzo ją przeprasza. Płacze i jest jednym wielkim wyrzutem sumienia.

– Jeśli tylko natrafi się okazja, by wyjechać z Bellmont, nie wahaj się – mówi tata.

Na jego twarzy widoczne jest napięcie. Jego oczy otaczają zmarszczki. Patrzy na dziadka w bardzo dziwny sposób. Jakby go kochał i nienawidził jednocześnie.

– Słyszysz? – pyta tata.

– Tak.

Kiedy byłem mały, myślałem, że chodzimy na grób mamy, bo ona w jakiś sposób naprawdę tam jest – jakbyśmy szli spędzić trochę czasu z jej duchem czy coś. Teraz zdaję sobie sprawę, że chodzimy, żeby dziadek mógł wyrazić swój żal.

Myślę o mamie.

To może zabrzmieć głupio, ale jedyną rzeczą, którą naprawdę pamiętam, jest to, że uwielbiała zielone dropsy z dziurką w środku marki Life Savers. Nazywała je irlandzkimi kołami ratunkowymi. Niemal

codziennie kupowała nową rolkę i pozwalała mi zjeść tyle, ile tylko było trzeba, by dostać się do pierwszego zielonego, którego zjadała sama.

To był nasz mały rytuał.

Chodziliśmy do sklepiku na rogu po jej codzienną porcję irlandzkich kół ratunkowych.

To głupie wspomnienie, ale właśnie takie mam.

Prawda jest taka, że zawsze bardzo się denerwuję, kiedy widzę, jak ktoś je te dropsy, albo kiedy zauważę je w sklepie. Boję się, że jeśli zbyt dobrze się im przyjrzę, odkryję, że zielone dropsy nie istnieją. Boję się, że być może zdam sobie sprawę, że zmyśliłem jedyny szczegół o mamie, który pamiętam, i wtedy nie pozostanie mi już absolutnie nic.

Może to głupie, że się tym martwię, ale taki już jestem. Taki się urodziłem.

Tata nigdy, przenigdy nie mówi o mamie.

Nigdy też nie je dropsów – a przynajmniej nigdy nie widziałem, by je jadł.

Gdy opuszczamy cmentarz, tata spędza resztę dnia z dziadkiem. Ja spędzam go sam na dachu, mając nadzieję, że Erin prześlizgnie się przez okno w moim pokoju i się do mnie przytuli, jak robiła już tyle razy wcześniej. Ale Erin nie przychodzi.

Rankiem, dzień przed zakończeniem liceum, kiedy jemy jajecznicę i bekon w kuchni, dziadek podaje mi czystą białą kopertę.

– Co to?

– Otwórz – mówi tata.

Rozdzieram kopertę i wyciągam zawartość. Jest tam jakiś bilet z napisem AMTRAK.

– Amtrak? – pytam.

– To pociąg. Wiesz, co to pociąg, prawda? – pyta dziadek.

– Dlaczego dajecie mi bilet na pociąg?

– To prezent na zakończenie roku – mówi tata.

– Dokąd?

– Przeczytaj na bilecie – mówi dziadek.

– New Hampshire? Dlaczego kupiliście mi bilet do New Hampshire?

– Nie kupiliśmy go – mówi dziadek.

– Przeczytaj list – dodaje tata.

Rozkładałam kartkę papieru i od razu rozpoznaję charakter pisma Erin. Serce niemal mi eksploduje i od razu pocę się jak mysz. Erin! Wstaję i wychodzę do salonu.

– Dokąd idziesz? – pyta dziadek rozbawionym tonem.

Finley,

nawet nie wiesz, jak bardzo za Tobą tęsknię. Nie wyobrażasz sobie, jak bardzo chciałam się z Tobą skontaktować przez ostatnie sześć miesięcy. To była tortura. Mam nadzieję, że nie myślisz, że nie chciałam się z Tobą zobaczyć w szpitalu. Nie miałam wyboru. Nie chciałam ryzykować – czego pewnie już się domyśliłeś.

Nie mogę wyjaśnić Ci w tym liście zbyt wiele. Nie wolno mi.

Jestem w miejscu, które zupełnie nie przypomina Belmont. Tu jest pięknie. Ludzie są dla siebie mili. Można samemu chodzić ulicami po zmroku. Wszystko jest takie czyste! Można jeść z chodnika. Tyle gwiazd!

Wszędzie drzewa! Mam swoje własne maleńkie mieszkanie, jeśli jesteś w stanie w to uwierzyć. I jestem już zapisana do niewielkiego college'u. Zaczynam naukę jesienią, ale nie będę mogła grać w kosza. Wszystkim się zajęto. Tylko tyle mogę powiedzieć w tym liście. Aha, i nazywam się teraz Katie Reidy. Podoba Ci się? Będziesz się mógł do tego przyzwyczaić?

Chciałbyś przyjechać ze mną mieszkać?

Poważnie. Okazuje się, że Twoja rodzina nadal ma kilku przyjaciół, bo jak to oni mówią, wszystkim się zajęto.

Nie możesz nikomu powiedzieć, dokąd się wybierasz, i będziesz musiał zmienić nazwisko. Zastanawiałam się nad Lucasem Williamsem. Co ty na to? Podoba Ci się? Ładnie brzmi, nie sądzisz?

Mam wystarczająco dużo pieniędzy, żebyśmy oboje prowadzili wygodne życie. Mógłbyś się tu zapisać na studia albo znaleźć sobie pracę.

Wszystko Ci wytłumaczę, jeśli przyjedziesz. Mam nadzieję, że przyjedziesz. Kocham Cię. Proszę, wsiądź do pociągu. Po prostu przyjeźdź. Zaufaj mi. Proszę.

Kochająca dziewczyna, znana wcześniej jako Erin

Biegnę z powrotem do kuchni.

– Co to jest? To nie żart?

– To szansa, żeby się stąd wydostać i zacząć od nowa – wyjaśnia tata. – Wolny od rodzinnej przeszłości. To szansa, żeby żyć.

– Skąd przyszedł ten list?

– Nie zadawaj pytań – przypomina dziadek. – To naprawdę coś. Prawdziwa okazja. Żadnych haczyków.

– A skąd wiemy, że to nie pułapka?

– Pułapka? Chyba naoglądałeś się filmów – mówi dziadek. – Gdyby chcieli zrobić ci krzywdę, to przyszliby po ciebie do domu. Nie kupiliby ci biletu na pociąg, żeby załatwić cię w New Hampshire.

– Co zrobiłeś, żeby do tego doszło? – pytam.

– Nic – odpowiada tata. – Obiecałem tylko milczenie.

– Nie jestem głupi – mówię.

Tata i dziadek spoglądają na siebie.

– Powiedzmy, że niektórzy ze starszych członków nadal mają wyrzuty sumienia z powodu tego, co ci się przydarzyło, gdy byłeś mały – wyjaśnia dziadek. – Szanują to, że trzymaliśmy język za zębami, kiedy tyle lat temu gliny przyjechały nas przesłuchać. Są pewne reguły, ale nie wszyscy ci faceci to potwory. Większość z nich robi, co może, kiedy ma okazję.

– Pociąg odjeżdża za dwie godziny, więc musisz zdecydować teraz – mówi tata. – Jeśli pojedziesz, nie możesz wrócić do Belmont. Nigdy. I będziesz musiał być bardzo ostrożny, gdy będziesz się z nami kontaktował. Wytłumaczą ci zasady i nie będziesz miał innego wyboru, jak tylko je przyjąć.

– Dlaczego?

– Takie są warunki. Nie wolno nam pytać dlaczego.

Przypominam sobie, co Russ powiedział o tym, że nie zawsze wszystko wiadomo.

Siedząc przy stole naprzeciw dziadka i taty, zauważam, jak uderzające jest podobieństwo między nimi. Zastanawiam się, czy wyglądam jak ich młodsza wersja. Trzy pokolenia McManusów.

– Czyli wyjeżdżam za mafijne pieniądze? – pytam cicho.

– Po prostu wyjeżdżasz – odpowiada dziadek. – Nikt się tobą nie zaopiekuje na całe życie. Dostajesz tylko bilet, by stąd wyjechać, i szansę, żeby zacząć od nowa gdzieś, gdzie będzie ci lepiej.

Zastanawiam się nad stroną etyczną. Czy naprawdę chcę przyjąć mafijne pieniądze, nawet jeśli to tylko odrobina, aby móc się stąd wynieść? Czy mógłbym siebie później znieść? Czy należy mi się to po tym, co mi się przydarzyło?

– A jeśli nie pojedę? – pytam.

Tata wzrusza ramionami.

– Wtedy pójdziesz do miejscowego studium i będziesz mieszkał w Belmont jeszcze przez minimum dwa lata. I być może na zawsze stracisz swoją najlepszą przyjaciółkę. To najprawdopodobniej twoja jedyna szansa.

– Czy będą z nią Rod i państwo Quinn?

– Nie wiem – mówi dziadek.

Oczywiście, że chcę zobaczyć Erin. Co do reszty, nie mam pojęcia. Jak mogę dokonać wyboru pomiędzy dwoma mężczyznami, którzy mnie wychowali – jedyną moją rodziną – a dziewczyną, która była ze mną od podstawówki? Łatwo wybrać pomiędzy Belmont a byle jakim innym miejscem na ziemi, bo nie mam ochoty zgnić w szeregowcu, zapijając się na śmierć. Zdecydowanie chcę się stąd wydostać, ale nie mogę porzucić dziadka i taty.

– Co powinienem zrobić?

Patrzą sobie na dłonie. W oczach mają łzy. Już zdecydowali i dlatego dali mi kopertę. Ale ostateczny wybór należy do mnie.

Dzwoni dzwonek do drzwi.

– To Russ – mówię.

– Nic mu nie mów – upomina mnie tata.

Idę przez salon do drzwi, szczypiąc się w rękę, by się upewnić, że to mi się nie śni.

Kiedy otwieram drzwi, Russ zerka zza siatkowego ekranu.

– Hej, co jest?

– Nie idę dziś do szkoły – mówię. – Nie będzie mnie na zakończeniu.

– Czemu? Jesteś chory?

Nie chcę okłamywać Russa, zwłaszcza że wiem, że to może być ostatni raz, gdy z nim rozmawiam.

– Co się dzieje, stary? Wszystko w porządku?

Zastanawiam się, co powiedzieć, żeby zrozumiał, i kiedy przychodzą mi do głowy właściwe słowa, zaczynam się uśmiechać.

– Właśnie dostałem bilet do Hogwartu.

– Co?

– Być może pojedę pociągiem w magiczne miejsce, które jest dużo lepsze niż to. Nie mów mugolom, okej? Ale chcę, żebyś wiedział, że

dam sobie radę.

Russ mruży oczy, stojąc za siatkowymi drzwiami, zanim odwzajemnia uśmiech.

– W końcu się odezwała.

– Nie potwierdzam, nie zaprzeczam.

– Kompletnie nie wiem, co się dzieje, ale wydaje mi się, że powinienem cię uściskać.

– Zgoda. – Wychodzę za próg.

Russ i ja przytulamy się do siebie. Prawdziwie. Cztery ręce. Ciasny uścisk, by wyrazić to, czego nie możemy powiedzieć albo czego już nie powiemy.

– Nigdy więcej cię nie zobaczę, prawda? – pyta Russ.

– Nie wiem.

– Bądź dla siebie dobry, Finley. Życzę ci pięknego życia.

– Ja tobie też: wielu bezchmurnych, gwieździstych nocy i kilku uniwersyteckich koszykarskich rekordów – mówię.

Russ spogląda mi w oczy w ten sam sposób jak wtedy, gdy po raz pierwszy się spotkaliśmy po jego przyjeździe do Belmont – jakby się ze mną porozumiewał – po czym uśmiecha się smutno i odchodzi.

Patrzę, jak idzie ulicą i kilka razy ciska pięścią w powietrze, co biorę za znak aprobaty, jakby cieszył się razem ze mną. Wracam do kuchni.

– Wsiądziesz do tego pociągu? – pyta tata.

Boję się zostawić rodzinę. Ciężko mi wyobrazić sobie, że będę gdzie indziej niż w Belmont. Wtedy przypominam sobie noc, którą spędziłem z Russem na wsi, i to, że na świecie są inne, lepsze miejsca, więc mówię:

– Bardzo chciałbym zobaczyć się z Erin.

Dziadek kiwa głową i wygląda przez okno. Z zaskoczeniem patrzę, jak zamyka oczy, przekłada w palcach różaniec babci i zaczyna bezgłośnie wypowiadać słowa. Nigdy wcześniej nie widziałem go, gdy się modli.

Tata i ja idziemy na górę i pakujemy moje rzeczy. Nie jest tego dużo. Wciskam ubrania i buty do sportowej torby. Ściągam z sufitu kilka gwiazdek. Biorę oprawioną fotografię mamy, taty i mnie sprzed wielu

lat, po czym zabieram z garażu piłkę, bo może Erin będzie chciała ze mną porzucić.

Dziadek i tata zawożą mnie do Filadelfii na stację 30th Street i po drodze wyjaśniają, że w New Hampshire odbierze mnie pewien mężczyzna i że mam nie zadawać mu żadnych pytań – absolutnie żadnych. Zawiezie mnie do Erin, ale nie odezwie się do mnie ani słowem. Będę wiedział, że to on, bo zwróci się do mnie *per* Lucas.

– To jakieś szaleństwo – mówię. – Zaczynam trochę panikować.

– Nic ci nie będzie.

– Już i tak przeżyłeś najgorszą część swojego życia – dorzuca dziadek. – Jedź, żeby być z Erin. To dobra dziewczyna i cię kocha. Jest kluczem do twojego szczęścia. Możesz mi ufać. Wiem, bo twoja babcia była jeszcze lepszą kobietą. Dałbym wszystko, żeby teraz z nią być. Wszystko.

Parkujemy przed wielkim białym budynkiem. Wszędzie pełno samochodów, głównie taksówek, i ludzi.

– Finley – mówi dziadek, zanim wysiadam z auta. Odwracam się i z zaskoczeniem dostrzegam, że staruszek cały się trzęsie. – Przepraszam.

– W porządku, dziadku.

– Twoja babcia chciałaby, żebyś to miał. – Dziadek ściąga z szyi różaniec babci i wyciąga do mnie rękę, tak że krzyżyk dynda mi tuż przed twarzą. – Może tobie przyniesie szczęście.

– Nie mogę go wziąć. – Nie wiem nawet, do czego służy różaniec i jakie modlitwy odmawia się na poszczególnych koralikach, a te wisiały na szyi dziadka od śmierci babci.

– Weźmiesz go, Finley. Załóż go na szyję pod koszulę. Choćbyś miał go mieć na sobie tylko przez jeden dzień w życiu, niech to będzie dziś. Przekaż go swoim dzieciom, gdy nadejdzie pora.

Zakładam różaniec i otwieram tylne drzwi, żeby przytulić dziadka. Kiedy jego policzek dotyka mojego, czuję, że jest mokry.

Tata niesie moją torbę i piłkę, a ja idę za nim przez część gastronomiczną, po czym wkraczam do pięknej sali z wysokim sufitem i potężnymi kolumnami. Przypomina mi trochę Instytut Franklina, gdzie oglądałem w IMAX-ie film o naprawie teleskopu Hubble'a. Przypominam sobie, jak Numer 21 zdenerwował się w kinie i wyszedł,

kiedy zobaczył prom kosmiczny. Jak chciałem za nim wyjść, ale mi nie pozwolono.

Tata i ja sprawdzamy godziny odjazdu na tablicy, która zmienia się przez przerzucanie terkoczących płytek.

– To twój pociąg – mówi tata.

Kierujemy się do odpowiednich schodów i staję w kolejce, trzymając w dłoni bilet i list od Erin.

– Naprawdę czuję się, jakbym jechał do Hogwartu – mówię.

– Co to jest Hogwart?

– Nieważne. – Nagle żałuję, że nie powiedziałem tacie o Harrym Potterze, ale teraz nie pora na to. Może wyślę mu egzemplarz pocztą.

– Przepraszam, że nie potrafiłem dać ci lepszego dzieciństwa, Finley.

Powieki taty drżą i to w dodatku przy obcych ludziach. Naprawdę mam nadzieję, że się nie rozpłaczę, bo inaczej nie będę w stanie wsiąść do pociągu.

– Tato... – Nie umiem powiedzieć nic więcej.

– Jeśli kiedyś za nami zatęsknisz... Jeśli tak się stanie...

– Na pewno...

– Pomyśl o swoim starym ojcu w budce biletowej o trzeciej nad ranem i dziadku bez nóg, za to w pampersie, który cały czas pije piwo. Spraw sobie lepsze życie. Zrób, co tylko trzeba, żeby ci się dobrze żyło z Erin. Irlandczycy opuszczają swoje domy w poszukiwaniu lepszego życia od wielu, wielu lat. Jesteśmy w tym bardzo dobrzy. Więc niech Irlandczycy będą z ciebie dumni.

Przytulam tatę na pożegnanie i zaczynam czuć, że nadciąga koniec. Do oczu napływają mi łzy.

Wtedy pociąg rusza, więc najwyższy czas wchodzić do wagonu.

– Erin powie ci, jak najlepiej się z nami skontaktować, ale nie martw się o nas, okej? – mówi tata. – Bądź dobrym człowiekiem.

– Kocham cię, tato.

– My też cię kochamy. – Tata wkłada mi rękę do kieszeni, ale zanim zdążę sprawdzić, co tam włożył, podaje mi torbę i piłkę, kontroler prosi mnie o bilet i jestem już w połowie schodów, oglądając się przez ramię na tatę, który płacze i macha mi już na pożegnanie.

Peron wypełniony jest ciepłym, dusznym powietrzem i z zaskoczeniem odkrywam, że mój pociąg jest klimatyzowany.

Podpatrzywszy innych, wrzucam torbę na półkę nad fotelem i siadam.

Serce mi łomocze.

Nigdy w życiu nie jechałem pociągiem.

Zastanawiam się, czy spotkam po drodze przyjaciół, jak Harry Potter. Zaczynam się rozglądać, ale widzę tylko zmęczone, markotne twarze dorosłych.

Siadam na fotelu, jeszcze raz czytam list od Erin i staram się wzbudzić w sobie nadzieję. Zastanawiam się, czy New Hampshire jest tak piękne jak Raj dla obserwatorów gwiazd. Erin była i jest tak piękna, że i Bellmont wydawało się przy niej znośne, więc zamykam oczy i wyobrażam sobie jej twarz.

Pociąg rusza i wyjeżdżamy ze stacji.

Kobieta w specjalnej kolejowej czapce sprawdza mój bilet, co jest nawet fajne.

Patrzę na Filadelfię i kolejne miasta, których nie znam, a które pojawiają się za moim odbiciem w szybie.

Tyle musiało się wydarzyć, żebym się tu znalazł. Zastanawiając się nad tym, czuję się, jakby ktoś kopnął mnie w głowę, i nagle myślę o niebywałych gwiazdach, które z Russem widzieliśmy z wieży widokowej w lesie. Najczęściej nie wiemy „dlaczego”. To prawda.

Sięgam do kieszeni i wyciągam pięć banknotów studolarowych. Nigdy w życiu nie trzymałem w dłoni tylu pieniędzy. Niewykluczone, że tata oszczędzał je przez całe życie. Myślę o dziadku i tacie mieszkających beze mnie. Kto pomoże dziadkowi w łazience i będzie go kładł spać? Dlaczego wcześniej o tym nie pomyślałem? Uwielbiali towarzystwo Erin i moje. Dom będzie teraz taki pusty. Dziadek zacznie pewnie jeszcze więcej pić. Zaczynam czuć się winny z powodu wyjazdu i mam wrażenie, że zaraz się rozplaczę. Chwytam w garść swoją koszulę i cztery końce krzyżyka babci wbijają mi się w dłoń.

– Dokąd jedziesz? – pyta kobieta po drugiej stronie przejścia. Jest to potężna pani w fioletowej sukience i pasującym do niej kapeluszu.

– New Hampshire – odpowiadam, zanim przypomnę sobie, że mam

nic nie mówić.

– Bardzo tam ładnie.

– Mam nadzieję.

– Pierwszy raz?

– Tak.

– Będziesz grał w koszykówkę? – pyta, patrząc na leżącą koło mnie piłkę.

– Mam nadzieję. Z moją dziewczyną.

– Widzę, że wiele masz tych nadziei.

Uśmiecham się do niej.

– Nie ma w tym nic złego – mówi, po czym wygląda przez okno.

Nagle uderza mnie realność tego, co się dzieje. Aż coś łopocze mi w piersi. Jestem taki zdenerwowany. Tęsknię już za dziadkiem i tatą. Trudno mi to wszystko pojąć. Życie może zmienić się tak szybko. Może to właśnie czuł Russ, kiedy po raz pierwszy przybył do Belmont? Nic dziwnego, że wymyślił Numer 21.

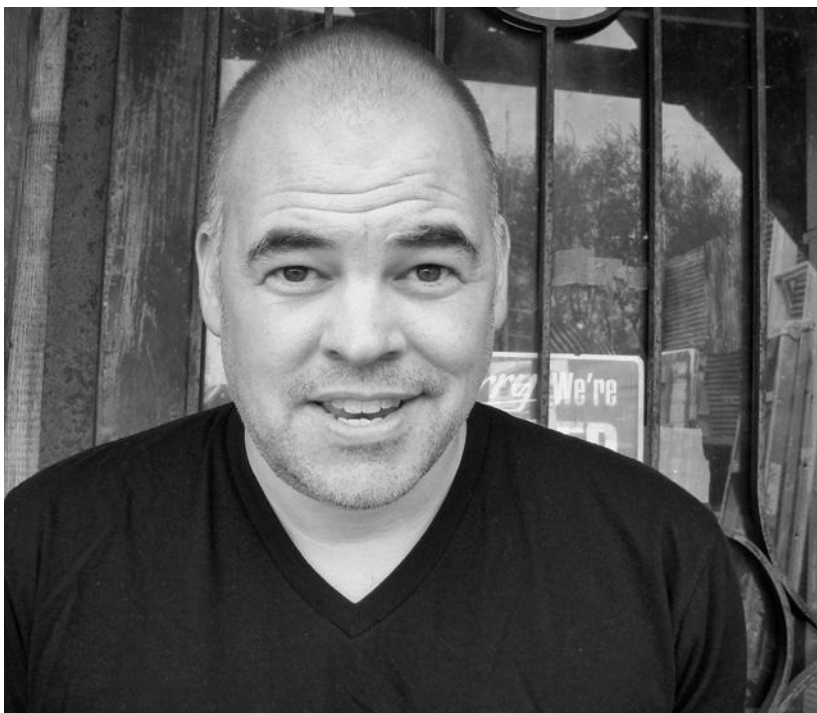
Nie chcę płakać w pociągu, więc zamykam oczy i wyobrażam sobie, jak gram w kosza przeciw Erin i znów jesteśmy małymi dziećmi na tyłach mojego domu, po cichu rzucającymi do starej, regulowanej obręczy.

To dobre wspomnienie, lecz teraz zmuszam się, by spojrzeć w przyszłość, na to, co stanie się, gdy dojadę do New Hampshire.

Zabiera mi to trochę czasu, ale w końcu widzę, jak rzucamy z Erin do kosza. Za drzewami zachodzi słońce, a na nieskończone wielkim niebie wyłaniają się pierwsze gwiazdy. Widzę, jak trzymamy się za ręce, robimy się coraz starsi, a nawet wychowujemy razem dzieci w miłej okolicy, której mieszkańcy nie muszą się martwić o to, o co my musieliśmy. I wtedy Erin i ja całujemy się na nowym dachu, pod tym samym, nieskończonym, niepoznanym niebem, i jakoś wszystko się układa.

PODZIĘKOWANIA

Wiele, wiele osób pomogło mi i inspirowało mnie w trakcie pisania, i wszystkim im dziękuję. Następujące osoby – w ten czy inny sposób – przyczyniły się do tego, że ta powieść znalazła się w waszych dłoniach: Doug Stewart i cały zespół Sterling Lord Literistic; Alvina Ling, Connie Hsu, Bethany Strout, Emma Ledbetter, Ames O’Neill i wszyscy w Little, Brown; Megan, Micah i Kelly, Mama i Tata, Barb i Peague, Wujek Pete, Big H i Dink, Roland Merullo, Evan -James Roskos, Mark Wiltsey, dr Len Altamura i Kate Cranston, Bill i Mo Rhoda, Tim i Beth Rayworth, Jean Wertz, Wally Wilhoit, Canadian Scott Caldwell, Peruvian Scott Humfeld, Heather Leah, Liz Jensen, Sara Zarr, Dave Tavani, Kent Green i Ernie Rockelman (*vel* Emerald Productions), Lars i Drea (L.A. Auto!), Scott Warnock, Drew Giorgi; i przede wszystkim moja żona / terapeutka / pierwszy czytelnik / redaktor / kibic / miłość mojego życia / muza / najlepsza przyjaciółka, Alicia Bessette (*vel* Al).



Matthew Quick (ur. 1973) to amerykański pisarz, finalista nagrody Fundacji Hemingwaya (Hemingway Foundation / PEN Award) w 2009 roku. Dorastał w New Jersey, a obecnie mieszka w Massachusetts ze swoją żoną – pianistką i pisarką Alicią Besette. Ukończył literaturę angielską na La Salle University. Rzucił pracę nauczyciela języka angielskiego, aby napisać swoją pierwszą powieść – *Poradnik pozytywnego myślenia*. Stała się ona w Polsce bestsellerem, a autor zyskał rzesze fanów swojego stylu pisania.

Inne książki jego autorstwa to *Sorta Like a Rock Star* (2010), *Forgive Me, Leonard Peacock* (2013) oraz mająca premierę w 2014 roku *The Good Luck of Right Now*. Prawa do ich ekranizacji już zostały zakupione przez największe wytwórnie filmowe świata.